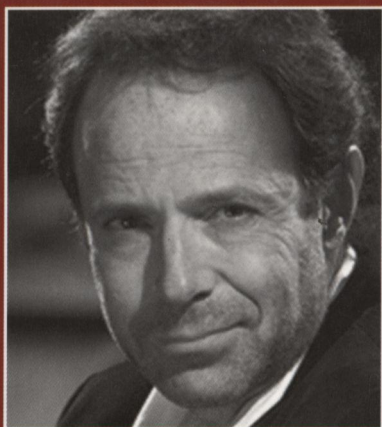


Dzieci

MARC LEVY

wolności





**Oparta na faktach historycznych
i wspomnieniach rodzinnych powieść
upamiętniająca życie i śmierć młodych
bojowników francuskiego Résistance.**

Nowy bestseller najpopularniejszego
pisarza Francji.



Dzieci

MARC LEVY

wolności

Z francuskiego przełożyła
KRYSTYNA SZEŻYŃSKA-MAĆKOWIAK



Jutro będę cię kochał, ale dziś jeszcze cię nie znam. Właśnie zacząłem schodzić po schodach starej kamienicy, w której mieszkałem, i muszę ci wyznać, że nie było mi spiesзно. Na parterze ręka, którą przesuwałem po poręczu, pachniała już pszczełim woskiem, bo dozorczyńni w każdy poniedziałek pastowała ją starannie do drugiego piętra, a do ostatniego co czwartek. Choć słońce ozłociło już fasady, chodnik był wilgotny po porannym deszczu. Pomyśleć, że kiedy szedłem lekkim krokiem, nie wiedziałem nawet, że istniejesz, ty, która miałaś podarować mi najpiękniejszy prezent, jaki człowiek może otrzymać od życia.

Wszedłem do kafejki przy ulicy Saint-Paul, choć nie miałem grosza przy duszy. Przy barze zebrało się nas trzech i żaden w ten wiosenny poranek nie mógłby uznać się za majątnego. A potem pojawił się mój ojciec, swoim zwyczajem trzymając ręce splecione na plecach. Jak zawsze elegancki oparł się o metalowy blat, zupełnie jakby mnie nie widział. Zamówił małą czarną, a ja zauważyłem na jego twarzy uśmiech, który nieudolnie przede mną ukrywał. Bębniąc palcami w blat, dał mi do zrozumienia, że kafejka jest „spokojna” i że teraz mogę do niego podejść. Otarłem się o jego marynarkę i poczułem jego

siłę, ale także ciężar przytłaczającego go smutku. Zapytał, czy jestem „nadal pewny”. Niczego nie byłem pewny, ale pokiwałem głową. Wtedy bardzo dyskretnie podsunął mi filizankę. Pod talerzykiem leżał pięćdziesięciofrankowy banknot. Odmówiłem, ale ojciec mocno zacisnął szczęki i warknął, że trzeba mieć pełny żołądek, żeby prowadzić walkę. Wziąłem banknot, a z jego oczu wyczytałem, że muszę już iść. Wcisnąłem czapkę na głowę, otworzyłem drzwi kafejki i znalazłem się na ulicy.

Mijając witrynę, obserwowałem ojca, który pozostał w środku, a on przelotnie zerknął na mnie, raz jeszcze się uśmiechnął i pokazał, że mam przekrzywiony kołnierzyk.

W jego oczach była szczególna moc, której nie zrozumiałem do dziś, wystarczy jednak, żebym zamknął powieki, myśląc o nim, a widzę jego twarz z tamtej chwili. Wiem, że ojca smuciło moje odejście, i domyślałem się, że przeczuwał, iż już nigdy się nie zobaczymy. Nie myślał wówczas o swojej śmierci, ale obawiał się mojej.

Wracam do tej chwili w kawiarni des Tourneurs. Mężczyzna musi mieć dużo odwagi, żeby grzebać własnego syna, popijając kawę z cykorią tuż obok niego, i żeby po prostu milczeć i nie powiedzieć: „Natychmiast wracaj do domu i bierz się za lekcje”.

Rok wcześniej matka poszła na komisariat po żółte gwiazdy dla nas wszystkich. Uznaliśmy to za sygnał exodusu i wyjechaliśmy do Tuluzy. Ojciec był krawcem i za nic na świecie nie naszyłby takiego paskudztwa na kawałek materiału.

Tamtego dnia, dwudziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, ja, osiemnastolatek, wsiadłem do tramwaju i pojechałem w stronę stacji, której nie było na żadnym planie — chciałem odnaleźć partyzantów.

Jeszcze dziesięć minut wcześniej miałem na imię Raymond, ale kiedy wysiadłem na pętli dwunastki, nazywałem się już Jeannot. Jeannot i kropka. O tej rzeńskiej porze dnia masa ludzi z mojego świata nie wie jeszcze, co ich czeka. Tata i mama nie mają pojęcia, że już wkrótce każdemu z nich wytatuują na przedramieniu numer, mama nie domyśla się, że na dworcowym peronie rozdziela ją z mężczyzną, którego kocha może nawet bardziej niż nas.

Ja także nie wiem, że za dziesięć lat rozpoznam w wysokiej na pięć metrów stercie okularów w muzeum w Auschwitz oprawki, które ojciec włożył do górnej kieszeni marynarki, kiedy widziałem go po raz ostatni w kafejce des Tourneurs. Mój młodszy brat Claude nie wie, że niedługo po niego przyjdę i że gdyby nie zechciał ze mną wyjść, gdybyśmy nie szli przez te lata we dwóch, to żaden z nas by nie przeżył. Siódemka moich kolegów — Jacques, Boris, Rosine, Ernest, Francois, Marius i Enzo — nie wiedzą, że umrą, krzycząc *Vive la France!* — niemal wszyscy z obcym akcentem.

Wydaje mi się, że moje myśli są niejasne, bo słowa kłębią się w głowie bezładnie, ale poczynając od tego poniedziałku, przez dwa kolejne lata, serce miało bić mi w piersi w rytm strachu. Bałem się przez dwa lata i jeszcze dziś zdarza mi się budzić nocą z tym paskudnym uczuciem. Ale ty, kochanie, śpisz obok mnie, chociaż w tej chwili o tym nie wiem. Dlatego opowiem ci drobny fragment mojej historii, którą przeżyłem z Charles'em, Claude'em, Alonsem, Catherine, Sophie, Rosine, Markiem, Emilem, Robertem — moimi przyjaciółmi: Hiszpanami, Włochami, Polakami, Węgrami, Rumunami — dziećmi wolności.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Najpierw musisz poznać kontekst naszego życia, bo jest on bardzo ważny, choćby dla zdania. Wyrwane z kontekstu zdanie, często traci lub zmienia sens, a przez nadchodzące lata tak wiele zdań zostanie wyrwanych z kontekstu, by służyć cząstkowym osądom i surowszemu potępieniu.

W pierwszych dniach września wojska hitlerowskie wtargnęły do Polski, a Francja wypowiedziała Niemcom wojnę i nikt nie wątpił, że nasza armia pokona wroga na granicach. Gwałtowne natarcie niewielkich dywizji pancernych zmiażdżyło Belgię, w ciągu kilku tygodni sto tysięcy naszych żołnierzy poległo na polach bitewnych Nordu i nad Sommą.

Na czele rządu stanął marszałek Petain, a w dwa dni potem generał, który nie chciał pogodzić się z klęską, wezwał z Londynu do walki. Petain wolał podpisać kapitulację, przekreślając w ten sposób wszystkie nasze nadzieje. Błyskawicznie przegraliśmy tę wojnę.

Ulegając nazistowskim Niemcom, marszałek Petain wciągnął Francję w jeden z najmroczniejszych okresów jej historii. Republika przestała istnieć, utworzono tak zwane państwo francuskie. Na mapie wyrysowano poprzeczną kreskę, dzieląc

naród na zamieszkujący dwa obszary — pomocny, pod okupacją, i południowy, kraj pozornie wolny. Ale panowała tam tylko względna wolność. Każdy dzień przynosił nowe dekrety, skazując na niepewność dwa miliony mężczyzn, kobiet i dzieci obcej narodowości, których pozbawiono praw do wykonywania zawodu, uczęszczania do szkoły, a wkrótce potem — po prostu do życia.

Obcokrajowcy, którzy pochodzili z Polski, Rumunii, Węgier, uchodźcy z Hiszpanii czy Włoch, byli jednak bardzo potrzebni narodowi dotkniętemu nagłą amnezją. Trzeba było przecież zaludnić Francję, gdyż przed ćwierćwieczem utraciła w okopach wielkiej wojny, pierwszej wojny światowej, dwa i pół miliona mężczyzn. Obcokrajowcy, a do nich zaliczali się niemal wszyscy moi przyjaciele, doznali już represji i prześladowań od lat stosowanych w ich krajach. Niemieccy demokraci wiedzieli, kim jest Hitler, kombatanci wojny domowej w Hiszpanii zaznali dyktatury Franco, Włosi — faszyzmu Mussoliniego. To oni byli pierwszymi świadkami ogromu nienawiści, wszelkiej nietolerancji, które pandemicznie wyniszczały Europę, tworząc przerażający korowód śmierci i cierpienia. Wszyscy już wiedzieli, że klęska to zaledwie przedsmak, że najgorsze dopiero nadejdzie. Kto jednak chciałby słuchać posłańców złych wieści? Dziś Francja już ich nie potrzebowała. I dlatego uchodźcy ze wschodu i południa zostali zatrzymani i internowani w obozach.

Marszałek Petain nie tylko się poddał, ale zamierzał zawrzeć pakt z dyktatorami Europy, a w zasypiającym pod okiem tego starca kraju już cisnęli się do władzy szef rządu, ministrowie, prefekci, sędziowie, żandarmi, policjanci i milicjanci pragnący dowieść swego zaangażowania w to odrażające dzieło.

2

Wszystko zaczęło się trzy lata wcześniej, dziesiątego listopada czterdziestego roku, jak dziecięca zabawa. Smętny marszałek Francji w otoczeniu grupy prefektów ze srebrnymi liśćmi laurowymi na mundurach otwierał w Tuluzie wizytację „wolnej strefy” kraju będącego jeńcem swej porażki.

Niepojętym paradoksem było, jak ów bezsilny tłum spoglądał z podziwem na unoszącą się buławę marszałka, na owo berło starego wodza, który powrócił do władzy, by wprowadzić nowy ład. Ale nowy ład Petaina miał być początkiem panowania nędzy, segregacji, denuncjacji, odrzucenia, mordy i barbarzyństwa.

Wśród osób mających już wkrótce stworzyć naszą brygadę byli i tacy, którzy już poznali obozy, gdzie francuski rząd stłoczył wszystkich obarczonych winą obcości — żydostwa czy komunizmu. W tych obozach na południowym zachodzie, czy to w Gurs, czy w Argeles, Noe, czy Rivesaltes, życie było potworne. Krótko mówiąc, dla każdego, kto miał tam przyjaciół lub członków rodziny, nastanie marszałka oznaczało kres tych marnych resztek wolności, jakie nam jeszcze zostały.

A ponieważ ludność gotowa była przyklasnąć marszałkowi,

musieliśmy uderzyć w dzwon, wyrwać ludzi z tak groźnego odrętwienia strachem, który ogarnia tłumy, każąc im z opuszczonymi rękami godzić się na wszystko, i milczeć, mając na usprawiedliwienie tchórzostwa tylko to, że tak samo postępuje sąsiad, więc właśnie tak trzeba.

Caussat, jeden z najbliższych przyjaciół mojego młodszego brata, podobnie jak Bertrand, Clouet czy Delacourt, ani myślał bezradnie opuścić ręce i milczeć, więc posępna parada, która miała się odbyć na ulicach Tuluzy, stała się tłem dla niezwykle istotnej deklaracji.

Dziś liczy się tylko, że na ów kondukt posypały się słowa prawdy, odważne i pełne godności. Tekst był niezręcznie napisany, mimo to wyraził to, co trzeba było powiedzieć. Poza tym, czy to ważne, co mówi, a co przemilcza taki tekst? Najważniejsze, żeby wymyślić dobry sposób rozrzucenia jak największej liczby ulotek i uniknąć zatrzymania przez siły porządkowe.

Moi koledzy obmyślili taki sposób. Parę godzin przed defiladą przeszli przez plac Esquirol objuczeni paczkami. Policja czuwała, któż jednak przejmowałby się niewinnie wyglądającymi nastolatkami? Wszyscy czterej dotarli w idealne miejsce, pod budynek na rogu ulicy Metz, wśliznęli się na klatkę schodową i pobiegli na poddasze, w nadziei, że nie ma tam żadnego strażnika. Horyzont był czysty, miasto leżało u ich stóp.

Caussat zmontował mechanizm, który wymyślił razem z kolegami. Na krawędzi dachu ułożyli na małym koźle deskę bujającą się jak huśtawka. Na jednym końcu deski ustawili stos kart maszynopisu z tekstem odezwy, na drugim kanister z wodą. Zrobili w nim niewielką dziurę i woda zaczęła spływać cienkim strumieniem do rynny, a oni pędzili już na ulicę.

Gdy zbliżał się samochód marszałka, Caussat uniósł głowę i uśmiechnął się. Odkryta limuzyna wolno sunęła ulicą. Kanister na dachu był już prawie pusty, ważył tyle, co nic, więc deska się przechyliła, a kartki wleciały. Ten dzień, dziesiątego listopada czterdziestego roku, wydarzył się pierwszej jesieni marszałka zdrajcy. Spójrz w niebo, kartki tańczą w powietrzu i ku radości dzielnych, pomysłowych gawroszy, kilka opadło na szybę auta marszałka Petaina. Tłum pochylał się i chwycił odezwy. Zapanowało zamieszanie, policjanci biegali jak szaleni, ale nawet patrząc na chłopaków, którzy bili brawo jak wszyscy wokół, nie domyślali się, że oni świętują właśnie swoje pierwsze zwycięstwo.

Błyskawicznie się rozdzielili i odeszli. Wracając wieczorem do domu, Caussat nie podejrzewał, że za trzy dni, wydany przez donosiciela, zostanie aresztowany i spędzi dwa lata w więzieniu w Nimes. Delacourt nie miał pojęcia, że kilka miesięcy potem zabiją go francuscy policjanci, gdy ukryje się w kościele w Agen przed pościgiem. Clouet nie przypuszczał, że w przyszłym roku rozstrzelają go w Lyonie. Nikt nie dowie się, gdzie na rozległym polu szukać grobu Bertranda. Po wyjściu z więzienia Caussat, którego płuca zniszczy gruźlica, dołączył do partyzantów. Ponownie zatrzymany został wywieziony do Buchenwaldu, gdzie zmarł w wieku dwudziestu dwóch lat.

Sama widzisz, że dla naszych przyjaciół wszystko zaczynało się jak zabawa gromadki dzieci, gra chłopców, którym nie dane było dorosnąć.

Muszę opowiedzieć ci o nich — o Marcelu Langerze, Janie Gerhardzie, Jacques'u Inselu, Charles'u Michalak, Jose Linarzie Diaz, Stefanie Barsonym i o tych wszystkich, którzy przyłączyli się do nich z biegiem czasu. To oni byli pierwszymi dziećmi wolności, oni założyli trzydziestą piątą brygadę. Po

co? Żeby wańczyć! I ważne są ich losy, nie moje, wybacz jednak, jeżeli czasami zawiedzie mnie pamięć, jeżeli coś pomieszam albo pomylę imiona.

Cóż jednak znaczą imiona, jak powiedział któregoś dnia mój kolega Urman, było nas niewielu, a w gruncie rzeczy, byliśmy jak jeden mąż. Żyliśmy w strachu, ukrywaliśmy się, nie wiedzieliśmy, co przyniesie nam jutro, i do dziś trudno nam ożywiać wspomnienie każdego dnia z tamtych lat.

3

Uwierz mi, wojna nigdy nie przypominała filmu i żaden z moich przyjaciół nie wyglądał jak Robert Mitchum, a gdyby Odette miała choćby nogi Lauren Bacall, pewnie próbowałbym ją pocałować, zamiast sterczeć jak idiota przed kinem. Tym bardziej że działo się to w przededniu tego popołudnia, kiedy dwaj naziści zabili ją na rogu ulicy des Acacias. Odtąd nienawidzę akcji.

Najtrudniej, choć wiem, że niełatwo w to uwierzyć, było dotrzeć do ruchu oporu.

Gdy odeszli Caussat i jego przyjaciele, obaj z bratem pograżyliśmy się w mrocznych myślach. W liceum, gdzie profesor historii i geografii snuł antysemityczne rozważania, a na filozofii uczniowie, z którymi biliśmy się w czasie przerw, nie szczędzili nam sarkastycznych uwag, życie nie było zbyt wesołe. Wieczory spędzałem przy radiu, czekając na wiadomości z Lon-

dynu. Tuż po rozpoczęciu roku szkolnego znaleźliśmy na ławkach małe ulotki zatytułowane „Walka”. Zauważyłem chłopca, który dyskretnie wymykał się klasy. Był uchodźcą z Alzacji, nazywał się Bergholtz. Pobiegnęłam za nim i dogoniłam go na dziedzińcu. Powiedziałem, że chcę robić to, co on, roznosić odezwy Resistance. Słyszając to, parsknął śmiechem, jednak zostałem jego pomocnikiem i przez najbliższe dni czekałem na niego na ulicy. Kiedy pojawiał się na rogu, ruszałem, a on przyspieszał kroku, żeby mnie dogonić. Razem wrzucaliśmy gaullistowskie gazetki do skrzynek na listy, czasem rozrzucaliśmy je, stojąc na pomoście tramwaju, a potem wyskakiwaliśmy w biegu i uciekaliśmy.

Któregoś wieczoru Bergholtz nie pojawił się na ulicze przed liceum, nazajutrz też nie przyszedł...

Odtąd po lekcjach razem z młodszym bratem, Claude'em, wsiadaliśmy do pociągu, który kursował ulicą Moissac. W tajemnicy udawaliśmy się do „Dworu”. Była to duża posiadłość, w której ukrywano trzydzieścioro dzieci. Ich rodziców deportowano, a skautki łączniczki przywiozły je tam i opiekowały się nimi. Claude i ja chodziliśmy do „Dworu” pracować w warzywniku, czasami udzielaliśmy najmłodszym lekcji matematyki i francuskiego. Wykorzystywałem każdą wizytę we „Dworze”, żeby błagać Josette, dyrektorę, o pomoc w nawiązaniu kontaktu z ruchem oporu, a ona niezmiennie wznosiła oczy ku niebu, udając, że nie rozumie, o czym mówię.

Ale któregoś dnia Josette wezwała mnie do swego gabinetu.

— Chyba mam coś dla ciebie. Idź na ulicę Bayard, pod numer dwadzieścia pięć. Bądź tam o drugiej po południu.

Przechodzień zapyta cię o godzinę. Odpowiesz, że zegarek ci stanął. Jeżeli zapyta: „Czy ty przypadkiem nie jesteś Jeannot?“, będzie to ten, z którym masz się spotkać.

I tak to się zaczęło...

Zabrałem ze sobą brata i pod numerem dwudziestym piątym, przy ulicy Bayard w Tuluzie, spotkaliśmy się z Jacques'em.

W szarym palcie, filcowym kapeluszu, z fajką w zębach, wyłonił się zza rogu ulicy. Wyrzucił gazetę do zawieszonoego na latarni śmietnika. Nie sięgnąłem po nią, bo nie tak było uzgodnione. Miałem czekać na hasło, na pytanie o godzinę. Przystanął obok nas, zmierzył wzrokiem, a kiedy odpowiedziałem, że zegarek mi nie chodzi, przedstawił się jako Jacques i zapytał, który z nas dwóch to Jeannot. Natychmiast zrobiłem krok do przodu, ponieważ chodziło o mnie.

Jacques sam rekrutował bojowników. Nikomu nie ufał i miał rację. Wiem, że te słowa nie wydają się szlachetne, ale nie wolno zapominać o sytuacji.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że za kilka dni pewien członek ruchu oporu, który nazywał się Marcel Langer, zostanie skazany na śmierć za przyczyną francuskiego prokuratora domagającego się jego głowy przed sądem. I nikt we Francji, w strefie wolnej czy nie, nie domyślał się, że po tym, jak jeden z naszych załatwił tego prokuratora przed jego domem, gdy wyszedł, by udać się na niedzielną mszę, żaden sąd nie ważył się już żądać głowy pojmanego członka Resistance.

Nie wiedziałem też, że sam zabiję pewnego łajdaka, wysokiego oficera milicji, donosiciela i mordercę wielu młodych bojowników. Wspomniany milicjant nie wiedział, że jego śmierć wisiała na włosku, bo tak potwornie bałem się strzelić, iż o mało się nie zsiakałem, że miałem już rzucić broń i gdyby

ta łachudra nie poprosiła o litość, chociaż sama nie okazywała jej nikomu, nie wzbudziłbym w sobie dość gniewu, żeby wpa-
kować mu w brzuch pięć kul.

Zabijaliśmy. Potrzebowałem wielu lat, żeby się do tego przyznać. Nigdy nie zapomina się twarzy tego, do kogo się strzela. Jednak nigdy nie zabiliśmy niewinnego, choćby największego durnia. Wiem o tym i moje dzieci też będą o tym wiedziały, i tylko to się liczy.

Na razie Jacques przygląda mi się, ocenia, niemal obwąchuje jak zwierzę, zdaje się na instykt, a potem staje przede mną. To, co powie w ciągu dwóch najbliższych minut, przewróci moje życie do góry nogami.

— Czego właściwie chcesz?

— Trafić do Londynu.

— W takim razie nic dla ciebie nie mogę zrobić — powiedział Jacques. — Londyn jest daleko, a ja nie mam tam żadnych kontaktów.

Myślałem, że się odwróci i pójdzie, ale on wciąż stał przede mną. Patrzył na mnie badawczo, więc odważyłem się na drugą próbę.

— A czy może pan skontaktować mnie z partyzantami? Chciałbym do nich dołączyć, żeby walczyć.

— To także niemożliwe — odparł Jacques, zapalając fajkę.

— Dlaczego?

— Bo mówisz, że chcesz się bić, a w partyzantce się nie walczy. Co najwyżej odbiera się przesyłki, przekazuje informacje, ale ruch oporu jest jeszcze bierny. Jeżeli chcesz walczyć, dołącz do nas.

— To znaczy?

- Jesteś gotów walczyć na ulicach?
- Chcę zabić nazistę, zanim umrę. Chcę mieć rewolwer.

Powiedziałem to z wielką dumą. Jacques wybuchnął śmiechem. Nie rozumiałem, co go tak rozbawiło, mnie ta rozmowa wydawała się raczej dramatyczna! I właśnie to rozśmieszyło Jacques'a.

— Za dużo się naczytałeś, będziesz musiał nauczyć się myśleć.

Ta ojcowska uwaga trochę mnie uraziła, ale nie chciałem dać tego po sobie poznać. Przecież od wielu miesięcy usiłowałem dotrzeć do Resistance, a teraz byłem bliski zniweczenia tych starań.

Próbowałem dobrać właściwe słowa, jednak nic nie przychodziło mi na myśl, chciałem go przekonać, że jestem kimś, na kim partyzanci będą mogli polegać. Jacques mnie rozszyfrował, uśmiechnął się, a w jego oczach dostrzegłem nagle iskierkę rozczulenia.

— Nie walczymy, żeby umrzeć, walczymy o to, żeby żyć, rozumiesz?

To niby banalne zdanie przyjąłem jak uderzenie pięścią. Były to pierwsze słowa nadziei, jakie usłyszałem od wybuchu wojny, odkąd żyłem pozbawiony praw, pozbawiony statusu, pozbawiony jakiegokolwiek tożsamości w kraju, który w przededniu klęski był moją ojczyzną. Brakowało mi ojca, rodziny. Co się stało? Wszystko wokół się zawałiło, ukradli mi życie tylko dlatego, że byłem Żydem, a to wystarczało, żeby wielu ludzi życzyło mi śmierci.

Za moimi plecami czekał Claude. Domyślał się, że dzieje się coś ważnego, więc tylko odkaszlnął, żeby przypomnieć o swojej obecności. Jacques położył mi rękę na ramieniu.

— Chodź, nie stójmy tu. Przede wszystkim musisz się na-

uczyc, że nigdy nie wolno stać w miejscu, bo wtedy najłatwiej zwrócić na siebie uwagę i wpaść. W tych czasach chłopak, który sterczy na ulicy, jest podejrzany.

Ruszyliśmy więc ciemną uliczką, a Claude poszedł za nami.

— Może znajdę dla was robotę. Dziś wieczorem pójdziecie przenocować na ulicę du Ruisseau piętnaście, do matki Dublanc. Będzie waszą gospodynią. Powiecie jej, że obaj jesteście studentami. Na pewno zapyta, co się stało z Jerôme'em. Powiedz, że przychodzicie na jego miejsce, bo wrócił do rodziny, na północ.

Domyślałem się, że to klucz, który zapewni nam dach nad głową, a może nawet ciepły pokój. Dlatego, bardzo poważnie odnosząc się do swojej roli, zapytałem, kim jest ten Jerôme, na wypadek, gdyby matka Dublanc chciała dowiedzieć się czegoś więcej o nowych lokatorach. Jacques natychmiast przypomniał mi, że żyjemy w brutalnej rzeczywistości.

— Zginął przedwczoraj dwie przecznice stąd. Jeżeli odpowiedź na moje pytanie, czy chcesz bezpośrednio zetknąć się z wojną, nadal brzmi „tak”, to powiedzmy sobie wprost, że właśnie jego zastąpisz. Dziś wieczorem ktoś do ciebie zapuka. Powie ci, że przychodzi od Jacques'a.

Sposób, w jaki to powiedział, nie pozostawiał wątpliwości, że nie jest to jego prawdziwe imię, wiedziałem jednak, że dołączenie do ruchu oporu oznaczało przekreślenie dawnego życia i odrzucenie własnego nazwiska. Jacques wsunął mi do ręki kopertę.

— Dopóki będziesz płacił komorne, matka Dublanc o nic nie zapyta. Idźcie zrobić zdjęcia, na dworcu jest zakład. A teraz znikajcie. Będziemy mieli okazję jeszcze się zobaczyć.

Jacques odszedł. U wylotu uliczki jego wysoka sylwetka rozpląnęła się we mgle.

— Idziemy? — zapytał Claude.

Zaprowadziłem brata do kawiarni, ale zamówiliśmy tylko coś, żeby się rozgrzać. Siedząc przy oknie, obserwowałem jadący szeroką ulicą tramwaj.

— Jesteś pewien? — zapytał Claude, unosząc do ust dymiącą filiżankę.

— A ty?

— Jestem pewien, że umrę, i nic poza tym.

— Wstępujemy do Resistance, żeby żyć, a nie żeby umrzeć.

Rozumiesz?

— Sam to wymyśliłeś?

— Przed chwilą usłyszałem to od Jacques'a.

— Skoro on tak mówi...

A potem zamilkliśmy na długo. Do sali weszło dwóch milicjantów. Usiedli, nie zwracając na nas uwagi. Bałem się, żeby Claude nie zrobił jakiegoś głupstwa, ale on tylko wzruszył ramionami. Burczało mu w brzuchu.

— Chce mi się jeść — powiedział. — Mam już dość ciągłego głodu.

Było mi wstyd, że mam przed sobą siedemnastoletniego dzieciaka, który nie najada się do syta, wstydziłem się swojej bezradności. Ale wieczorem będziemy w końcu mogli wstąpić do ruchu oporu, a wtedy, byłem tego pewien, wszystko się zmieni. Wiosna wróci, jak miał któregoś dnia powiedzieć Jacques. Ja także pewnego dnia zabiorę młodszego brata do cukierni i kupię mu wszystkie słodczyce świata, a on będzie się nimi objadał bez opamiętania, i to będzie najwspanialsza wiosna w moim życiu.

Wyszliśmy z kafejki i po krótkim oczekiwaniu w hali dworcowej udaliśmy się pod wskazany przez Jacques'a adres.

Matka Dublanc o nic nie pytała. Powiedziała tylko, że widocznie Jérôme'owi nie zależy na rzeczach osobistych, skoro

tak nagle wyjechał. Dałem jej pieniądze, a ona wręczyła mi klucz do pokoju na parterze. Okna wychodziły na ulicę.

— To pokój jednoosobowy! — dodała.

Wyjaśniłem jej, że Claude jest moim młodszym bratem i przyjechał na kilka dni. Matka Dublanc domyślała się chyba, że nie jesteśmy studentami, jednak dopóki lokatorzy regularnie płacili, nie interesowała się ich życiem. Pokoik nie prezentował się najlepiej — łóżko było stare, dzban na wodę i miska stanowiły jego podstawowe wyposażenie. Potrzeby załatwiała się w małym wychodku w głębi ogrodu.

Resztę popołudnia spędziliśmy w domu. Po zmroku ktoś zapukał do drzwi, ale nie z taką energią jak milicjanci, którzy przychodzą kogoś aresztować. To były delikatne uderzenia w futrynę. Claude otworzył. Do pokoju wszedł Emil, a ja natychmiast poczułem, że zostaniemy przyjaciółmi.

Emil był niezbyt wysoki i nie cierpiał, kiedy ktoś mówił, że jest niski. Do podziemia wstąpił przed rokiem i wszystko w jego zachowaniu dowodziło, że oswoił się z nowym życiem. Cechował go spokój, a dość szczególny uśmiech na twarzy sprawiał wrażenie, jakby nic poza tym nie miało znaczenia.

Kiedy miał dziesięć lat, uciekł z Polski przed prześladowaniami. Jako zaledwie piętnastoletni chłopak widział defiladę hitlerowskich wojsk w Paryżu i zrozumiał, że ci, którzy chcieli zabrać mu życie w jego kraju, przyszli tu za nim, żeby dokonać dzieła zniszczenia. Jego dziecinne oczy często były wytrzeszczone, a on jakby nie mógł do końca ich zamknąć. Może to powodowało, że jego uśmiech był tak niesamowity. Nie, Emil nie był mały, był krępy.

Emila uratowała dozorczyńni. Trzeba przyznać, że w tej smutnej Francji zdarzały się fajne kobiety. Wynajmowały mieszkania i patrzyły na nas inaczej, nie godziły się, żeby zabijano

porządnych ludzi tylko dlatego, że wyznawali inną religią. Dla tych kobiet nawet żydowskie dziecko było świętością.

Ojciec Emila otrzymał z prefektury pismo, zobowiązujące go do zakupienia żółtych gwiazd i naszycia ich na paltu, na wysokości piersi, w dobrze widocznym miejscu. W tym okresie Emil mieszkał z rodziną w Paryżu, przy ulicy Sainte-Marthe, w Dziesiątej Dzielnicy. Jego ojciec udał się do komisariatu w alei Vellefaux. Miał czworo dzieci, dano mu więc cztery gwiazdy dla nich, a także po jednej dla niego i jego żony. Zapłacił za gwiazdy i ze spuszczoną głową jak zwierzę, które napiętnowano rozpalonym żelazem, wrócił do domu. Emil nosił gwiazdę. I nawet kiedy zaczęły się łapanki, nie pomogło przekonywanie ojca, żeby podrywać te śmiecie. Ojciec Emila był legalistą, a poza tym wierzył w ten kraj, który go przygarnął. Tu nic złego nie mogło się stać uczciwym ludziom.

Emil zdołał wynająć małą służbówkę na poddaszu. Pewnego dnia, kiedy wychodził, podbiegła do niego dozorczyńni.

— Natychmiast wracaj do siebie, na ulicy łapia wszystkich Żydów, aż roi się od policji. Biegają jak wściekli. Musisz się ukryć.

Kazała mu zamknąć drzwi i nikomu nie otwierać. Powiedziała, że przyniesie coś do jedzenia. Po kilku dniach Emil wyszedł z domu bez gwiazdy. Udał się na ulicę Sainte-Marthe, ale w mieszkaniu rodziców nikogo nie zastał — ani ojca, ani matki, ani dwóch młodszych sióstr — sześć- i piętnastoletniej — ani brata, którego błagał, żeby nie wracał do domu przy Sainte-Marthe.

Emil nie miał już nikogo — aresztowano wszystkich jego przyjaciół. Dwaj, którzy uczestniczyli w manifestacji przy

bramie Saint-Martin, zdołali uciec ulicą Lancry, kiedy niemieccy motocykliści zaczęli strzelać z karabinów maszynowych do tłumu. Schwytano ich jednak. Zginęli rozstrzelani pod murem. Członek ruchu oporu, znany jako Fabien, w akcie zemsty zastrzelił nazajutrz niemieckiego oficera na stacji metra Barbès, to jednak nie wskrzesiło kolegów Emila.

Tak, Emil nie miał już nikogo poza Andre, ostatnim kolegą, z którym chodził na kurs księgowości. Poszedł do niego, licząc na pomoc. Drzwi otworzyła matka Andrego, a kiedy Emil powiedział jej, że zatrzymano całą jego rodzinę, że został zupełnie sam, wyjęła akt urodzenia syna, dała go Emilowi i poradziła, by jak najszybciej wyjechał z Paryża. „Może zdołasz jakoś wykorzystać ten dokument, może nawet uda ci się wyrobić dowód osobisty”. Andre zaczął nosić nazwisko Berte. Berte nie był Żydem, więc dokument ten stanowił doskonałą przepustkę.

Na dworcu Austerlitz Emil czekał, aż podstawią pociąg do Tuluzy. Mieszkał tam jego wuj. Kiedy pociąg nadjechał, wszedł do wagonu, ukrył się pod ławką i starał się nie poruszać. Pasażerowie w przedziale nie mieli pojęcia, że za ich nogami chowa się drżący o swoje życie dzieciak.

Pociąg ruszył, a Emil przez wiele godzin siedział skulony. Kiedy wjechali do strefy wolnej, Emil opuścił kryjówkę. Pasażerowie ze zdumieniem patrzyli na chłopca, który nie wiadomo skąd się tu wziął. Gdy przyznał się, że nie ma biletu, jakiś mężczyzna kazał mu natychmiast się schować — często jeździł tą trasą i wiedział, że żandarmi wkrótce przeprowadzą ponowną kontrolę. Obiecał powiedzieć mu, kiedy będzie już bezpiecznie.

Widzisz, w tej smutnej Francji były nie tylko wspaniałe dozorcynie i właścicielki domów, ale także szlachetne matki,

niezwykli podróżni, anonimowi ludzie, którzy na swój sposób stawiali opór, nie chcieli postępować jak sąsiedzi, łamali narzucone prawo, bo było to prawo haniebne.

*

Do tego pokoiku, który przed kilkoma godzinami wynajęła mi matka Dublanc, wszedł razem z całą swoją historią, z całą przeszłością, Emil. I chociaż jeszcze jej nie znałem, wyczytałem z jego oczu, że znajdziemy wspólny język.

— To ty jesteś ten nowy? — zapytał.

— To my — odparł mój młodszy brat, który miał już dosyć traktowania go jak powietrza.

— Macie zdjęcia? — zapytał Emil.

I wyjął z kieszeni dwie legitymacje, kartki żywnościowe i pieczętkę. Kiedy uporał się z papierami, wstał, odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem.

— A teraz pogadajmy o twoim pierwszym zadaniu. A właściwie, skoro jest was dwóch, o waszym pierwszym zadaniu.

Oczy mojego brata rozbłysły, a ja nie miałem pojęcia, czy to z głodu, który skręcał mu żołądek, czy z chęci działania, na które nie mógł się doczekać.

— Musicie ukraść rowery — powiedział Emil.

Claude ruszył w stronę łóżka z nosem na kwintę.

— I na tym ma polegać ta walka? Zwinąć komuś rower? Po to się tak starałem, żeby w podziemiu zrobili ze mnie złodzieja?

— A może ci się wydawało, że idąc na akcję, dostaniesz samochód? Rower jest najlepszym przyjacielem ludzi z podziemia. Zastanów się dobrze, czy nie za dużo od ciebie wymagamy. Nikt nie zwraca uwagi na faceta na rowerze. Możesz być zwyczajnym gościem, który jedzie do fabryki albo wraca po pracy do domu — zależnie od godziny. Rowerzysta wtapia się w tłum, łatwo się przemieszcza, wszędzie może się wśliznąć.

Robisz swoje i zmykasz na rowerze. Zanim ktoś zrozumie, co się właściwie stało, jesteś już na drugim końcu miasta. Jeżeli chcesz, żeby powierzano ci poważne zadania, zacznij od zdobycia roweru!

I tak udzielił nam pierwszej lekcji. Teraz trzeba było się zastanowić, gdzie zdobyć te rowery. Emil zdążył uprzedzić moje pytanie. Powiedział nam o kamienicy, gdzie w korytarzu stoją sobie grzecznie trzy rowery, których nigdy nie przywiązywano. Trzeba było natychmiast brać się do roboty, bo jeśli wszystko pójdzie dobrze, to pod wieczór mieliśmy się spotkać u kolegi, którego adres Emil kazał mi dobrze zapamiętać. Było to kilka kilometrów od nas, na przedmieściach Tuluzy, na małym nieczynnym dworcu w Loubers. „Pospieszcie się — ponaglał nas — musicie tam dotrzeć przed godziną policyjną”. Była wiosna, miało się ściemnić za kilka godzin, a kamienica z rowerami znajdowała się niedaleko. Emil wyszedł, a mój brat wciąż się dąsał.

Zdołałem jakoś przekonać Claude'a, że Emil ma rację, a poza tym prawdopodobnie wystawia nas na próbę. Braciszek trochę się złościł, w końcu jednak zgodził się pójść ze mną.

Wywiązaliśmy się z tej pierwszej misji na medal. Claude stanął na czatach na ulicy, bo za kradzież rowerów groziły nam nawet dwa lata więzienia. W korytarzu nie było nikogo i rzeczywiście stały tam trzy oparte o siebie rowery.

Emil kazał mi wziąć dwa stojące z brzegu, ale trzeci, pod samą ścianą, był to model sportowy z płomienistoczerwoną ramą i kierownicą o skórzanych rączkach. Kiedy odstawiłem pierwszy, przewrócił się z potwornym hałasem. Już sobie wyobrażałem, że będę musiał związać i zakneblować dozorczynię, ale na szczęście stróżówka była pusta i nikt nam nie przeszkodził. Rower, który tak bardzo przypadł mi do gustu, dość

trudno było wy dostać. Kiedy człowiek się boi, jego ręce tracą sprawność. Pedały były splątane i nie mogłem rozdzielić obu rowerów. Z ogromnym wysiłkiem, starając się zwolnić oddech i uspokoić serce, które tłukło się jak ptak w klatce, wyprowadziłem w końcu rowery. Brat który stał przy wejściu, wtykał już nos, by zobaczyć, dlaczego nie wychodzę.

- Do diabła, co się tak grzebiesz?
- Masz, zabieraj swój rower i nie marudź!
- A dlaczego nie dałeś mi tego czerwonego?
- Bo jest dla ciebie za duży!

Claude wciąż zrzędził, więc przypominałem mu, że wykonujemy robotę dla ruchu oporu i nie jest to odpowiednia chwila na kłótnie. Wzruszył ramionami i wszedł na rower. Po kwadransie, pedałując, ile sił w nogach, jechaliśmy wzdłuż torowiska prowadzącego na zamknięty dworzec w Loubers.

Drzwi otworzył nam Emil.

- Tylko popatrz na te rowery, Emilu!

Zrobił dziwną minę, jakby nasz widok go nie ucieszył, i wpuścił nas do środka. Jan, wysoki, smukły facet, przyglądał się nam z uśmiechem. W pokoju był także Jacques. Pogratulował nam obu, a na widok czerwonego roweru, który wybrałem, wybuchnął śmiechem.

- Charles przemaluje je tak, żeby nikt ich nie poznał — rzucił, śmiejąc się w najlepsze.

Wciąż nie rozumiałem, co go tak rozbawiło, a sądząc po minie, nie rozumiał tego także Emil.

Mężczyzna w podkoszulku zszedł po schodach. To on mieszkał na małym, opuszczonym dworcu i to on był majsterkowiczem brygady. Oznaczało to, że rozkładał i składał rowery, robił bomby, żeby wysadzać lokomotywy, tłumaczył, jak uszkadzać na bocznicach kokpity montowane w okolicznych fab-

rykach i jak podcinać kable w skrzydłach bombowców, żeby po ostatecznym montażu na terenie Niemiec hitlerowskie samoloty nie tak szybko wzbily się w górę. Muszę ci opowiedzieć o Charles'u, koledze, który stracił wszystkie przednie zęby podczas hiszpańskiej wojny domowej i który przemierzył tyle krajów, że pomieszał już języki, tworząc własny, trudny do zrozumienia dialekt. Muszę ci opowiedzieć o Charles'u, bo bez niego nie zdołalibyśmy dokonać tego, co zrobiliśmy przez następne miesiące.

Tego wieczoru siedzieliśmy w pokoiku na parterze starego dworca, najmłodszy z nas liczył siedemnaście, a najstarszy dwadzieścia lat. Wkrótce zamierzaliśmy podjąć walkę, toteż mimo gromkiego śmiechu na widok czerwonego roweru Jacques wyglądał na zaniepokojonego. Już niedługo miałem zrozumieć dlaczego.

Ktoś zapukał do drzwi. Do środka weszła Catherine. Catherine była śliczna, a widząc, jak patrzę na siebie z Janem, przysięgłbym, że są razem, chociaż było to niemożliwe. Żadnych miłości w podziemiu — to podstawowa zasada, powiedział Jan, kiedy siedział z nami przy stole. W razie aresztowania można zeznawać tak, żeby ocalić ukochaną osobę. „W ruchu oporu do nikogo się nie przywiązujemy”, tłumaczył. Mimo to sam przywiązał się do nas wszystkich, co zauważyłem już pierwszego wieczoru. Mój młodszy brat wcale go nie słuchał, opychając się omletem przygotowanym przez Charles'a. Chwilami przechodziło mi przez myśl, że jeżeli go nie powstrzymam, to zje nawet widelec. Widziałem, jak się gapi na patelnię. Charles też to zauważył, uśmiechnął się, wstał i przyniósł mu dokładkę. Przyznam, że omlety Charles'a były pyszne, zwłaszcza doceniały je nasze puste od dawna żołądki. Charles uprawiał mały ogródek warzywny na tyłach dworca, miał trzy kury,

a nawet króliki. Bo Charles był ogrodnikiem, a właściwie działał pod takim płaszczykiem. Ludzie z sąsiedztwa bardzo go lubili, mimo że mówił z okropnym akcentem. Dawał im sałatę, a poza tym jego ogródek był barwną plamą w tej szarej dzielnicy, więc sąsiedzi polubili tego malarza przyrody i nie przeszkadzał im nawet jego akcent cudzoziemca.

Jan mówił wyważonym głosem. Był niewiele starszy ode mnie, ale wyglądał na dojrzałego mężczyznę, a jego spokój wzbudzał szacunek. Pasjonowało nas to, co mówił, roztaczał wokół siebie swoistą aurę. Słowa Jana były wstrząsające — opowiadał o zadaniach wykonanych przez Marcela Langerę i pierwszych członków brygady. Już od roku działali w rejonie Tuluzy — Marcel, Jan, Charles i Jose Linarez. Przez tych dwanaście miesięcy rzucili granaty do sali, w której odbywał się bankiet dla hitlerowskich oficerów, podłożyli ogień na barce przewożącej benzynę, podpalili garaże pełne niemieckich ciężarówek. Przeprowadzili tyle akcji, że trudno było je choćby wyliczyć w ten jeden wieczór. Jan mówił o strasznych rzeczach, a jednak ten człowiek uosabiał czułość, której brakowało wtedy nam wszystkim — wszystkim opuszczonym dzieciakom.

Jan zamilkł, bo Catherine wróciła z miasta, przynosząc wiadomość o dowódcy brygady, Marcelu, którego osadzono w więzieniu Saint-Michel.

Wpadł w idiotyczny sposób. Poszedł na dworzec w Saint-Agne po walizkę przewożoną przez dziewczynę z brygady. W walizce były materiały wybuchowe, laski dynamitu, sześćdziesięciogramowe laski o średnicy dwudziestu czterech milimetrów o nazwie Ablonite EG. Ten mrozoodporny dynamit dostarczyli nam hiszpańscy górnicy zatrudnieni w kamieniołomach Paulilles.

Akcję zorganizował Jose Linarez. Nie zgodził się, żeby

Marcel wsiadł do pociągu kursującego między pirenejskimi wioskami. Dziewczyna i pewien hiszpański towarzysz sami pojechali do Luchon po przesyłkę. Mieli ją przekazać w Saint-Agne. Saint-Agne to raczej mała stacyjka niż dworzec z prawdziwego zdarzenia i w tym słabo zurbanizowanym regionie pojawiało się niewielu podróżnych.

Marcel czekał za szlabanem. Dwóch żandarmów pełniło wartę, wypatrując podróżnych, którzy przewozili żywność, by ją potem sprzedać na czarnym rynku. Kiedy dziewczyna wysiadła z pociągu, zerknęła ukradkiem na jednego z żandarmów. Czując, że i on ją dostrzegł, cofnęła się o krok, co natychmiast wzbudziło podejrzenia. Marcel, który wiedział, że nie ominie jej kontrola, skinął ręką, aby podeszła do szlabanu oddzielającego stację od drogi, wziął od niej walizkę i kazał zmykać. Żandarm bacznie obserwujący tę scenę, ruszył w stronę Marcela i kiedy zapytał, co jest w walizce, Marcel udawał, że nie ma klucza do zanika. Żandarm polecił mu iść z nim na posterunek i choć Marcel usiłował mu wytłumaczyć, że to przesyłka dla ruchu oporu i że musi go przepuścić, żandarm mu nie uwierzył i zabrał go na komisariat. Z raportu wynikało, że terrorysta przenoszący sześćdziesiąt lasek dynamitu został zatrzymany na dworcu Saint-Agne.

Sprawa była poważna. Przejął ją komisarz Caussie i przez kilka dni Marcela katowano. Nie wydał żadnego adresu ani nazwiska. Oddany służbie komisarz Caussie udał się do Lyonu, żeby zasięgnąć opinii zwierzchników. Nareszcie francuska policja i gestapo schwytały groźnego bandytę — cudzoziemca z materiałami wybuchowymi, Żyda i prawdopodobnie komunistę, czyli podręcznikowego terrorystę i przykład, który należało wykorzystać, żeby powściągnąć zapał ludności do współpracy z ruchem oporu.

Oskarżony Marcel trafił do wydziału specjalnego sądu w Tuluzie. Zastępca prokuratora, Lespinasse, skrajny prawicowiec, zaciekły antykomunista, oddany reżimowi Vichy, był do prowadzenia tej sprawy idealny, rząd marszałka mógł na nim polegać. On gotów był stosować prawo z całą surowością, nie biorąc pod uwagę żadnych okoliczności łagodzących i nie zważając na sytuację. Gdy Lespinasse otrzymał tę sprawę, dumny jak paw, obiecał sobie, że dostanie w sądzie głowę Marcela.

Tymczasem dziewczyna, która uniknęła aresztowania, uprzedziła o wpadce brygadę. Natychmiast nawiązano kontakt z prezesem izby adwokackiej Arnalem, jednym z najlepszych przedstawicieli palestry, dla którego wrogiem byli Niemcy. Arnal uznał, że czas stanąć po stronie bezpodstawnie prześladowanych ludzi. Brygada straciła Marcela, zyskała jednak sprzymierzeńca — człowieka wpływowego i powszechnie szanowanego w mieście. Kiedy Catherine wspomniała o honorarium, Arnal zdecydowanie odmówił przyjęcia zapłaty.

Ludzie podziemia długo będą pamiętać tragiczny poranek jedenastego czerwca czterdziestego trzeciego roku. Tego dnia losy wielu ludzi żyjących własnym życiem miały się ze sobą spleść. Marcel był w celi, spoglądał przez kraty, jak budzi się dzień, w którym ma być osądzony. Wiedział, że zostanie skazany, i nie robił sobie żadnych nadziei. W mieszkaniu, niedaleko od więzienia, stary adwokat, który miał go bronić, zbierał notatki. Gospościa weszła do jego gabinetu i zapytała, czy ma mu przygotować śniadanie. Ale tego ranka mecenas Arnal nie miał apetytu. Przez całą noc w uszach dźwięczał mu głos prokuratora, który domagał się głowy jego klienta. Przez całą

noc kręcił się w łóżku, dobierając mocne słowa, trafne i sprawiedliwe, by podważyć żądania oskarżyciela, zastępcy prokuratora generalnego Lespinasse'a.

I kiedy mecenas Arnal wciąż na nowo przerzuca notatki, groźny Lespinasse wchodzi do jadalni w swoim przytulnym mieszkaniu. Siada do stołu, rozkłada gazetę i pije poranną kawę, którą podała mu w jadalni przytulnego mieszkania żona.

Marcel w swojej celi także pije ciepłą breję przyniesioną przez strażnika. Woźny sądowy przed chwilą wręczył mu wezwanie na rozprawę przed Sądem Specjalnym w Tuluzie. Marcel patrzy przez okno — niebo jest już trochę wyżej. Myśli o córeczce, o żonie, gdzieś tam, w Hiszpanii, za górami.

Żona Lespinasse'a wstaje i całuje męża w policzek. Wychodzi na zebranie organizacji dobroczynnej. Prokurator sięga po płaszcz, potem przegląda się w lustrze, zadowolony ze swojego wyglądu i pewien wygranej. Zna swą mowę na pamięć. Czarny Citroën czeka przed domem, by zabrać go do sądu.

Na drugim końcu miasta żandarm wybrał tymczasem najlepszą z wiszących w szafie koszul — białą, z nakrochmalonym kołnierzykiem. To on aresztował oskarżonego i dziś ma składać zeznania. Wiążąc krawat, ten młody żandarm Cabannac poczuł, że pocałował mu się ręce. W tym, co miało się zaraz wydarzyć, było coś nie tak, coś paskudnego, i on, Cabannac, o tym wiedział. Zresztą, gdyby mógł cofnąć czas, pozwoliłby uciec temu facetowi z czarną walizką. Przecież wrogiem są szkopy, a nie tacy faceci. Ale Cabannac myśli o państwie francuskim, o jego mechanizmach administracyjnych. On jest tylko drobnym elementem tej maszyny, nie może zawieść. Żandarm Cabannac zna się na mechanice, bo ojciec wszystkiego go nauczył, także wpoił mu zasady moralne. W wolne dni lubi naprawiać motocykl w remizie ojca. Dobrze wie, że jeżeli jakaś część szwankuje, wysiada cały mechanizm. Dlatego spoconymi rękami

Cabannac przesuwa węzeł krawatu pod nakrochmalonym kołnierzykiem pięknej białej koszuli i rusza na przystanek tramwajowy.

Czarny citroen mknął ulicą i szybko minął tramwaj. Starszy pan, który siedział na drewnianej ławce na końcu wagonu, przeglądał notatki. Mecenas Arnal na chwilę uniósł głowę, a potem wrócił do lektury. Zapowiadał się trudny pojedynek, ale nic jeszcze nie było stracone. Trudno uwierzyć, żeby francuski trybunał mógł skazać na śmierć patriotę. Langer to odważny wartościowy człowiek, jeden z tych, którzy wzięli się do działania. Zrozumiał to, kiedy zobaczył go w celi. Więzień miał zdeformowaną twarz, pod oczami wystąpiła opuchlizna po uderzeniach pięści, popękane wargi obrzmiały i były sine. Mecenas zastanawiał się, jak wyglądał Marcel, zanim go tak urządzili, zanim jego posiniaczona twarz utraciła prawdziwy zarys. Cholera, ci ludzie walczą o naszą wolność — irytował się mecenas Arnal — chyba nie tak trudno to zrozumieć. Jeżeli sąd tego jeszcze nie zauważył, to najwyższy czas, żeby ktoś mu to uświadomił. Niech go skazą na więzienie, dla przykładu, zgoda, zachowamy pozory, ale nie na śmierć. Taki wyrok byłby niegodny francuskiego wymiaru sprawiedliwości. Kiedy tramwaj ze zgrzytem zatrzymał się na przystanku Pałac Sprawiedliwości, mecenas Arnal odzyskał wiarę konieczną, by dobrze bronić klienta. Wygra tę sprawę, stoczy pojedynek z przeciwnikiem, prokuratorem Lespinasse'em, i ocali życie temu młodemu człowiekowi. Marcel Langer, powtarzał szeptem, idąc po schodach.

Kiedy mecenas Arnal szedł długim korytarzem sądu, Marcel, przykuty kajdankami do żandarma, czekał w małym gabinecie.

Proces odbywał się za zamkniętymi drzwiami. Marcel siedział na ławie oskarżonych, ale Lespinasse nawet na niego nie spojrzał. Nie obchodził go człowiek, którego chciał skazać, wcale nie chciał go poznać. Miał przed sobą tylko kilka krótkich notatek. Zaczął od pochwały dla czujnego żandarma, który zdołał unieszkodliwić groźnego terrorystę, a następnie przypomniał sądowi o obowiązku stosowania prawa i troski o jego poszanowanie. Pokazując palcem oskarżonego, ale nie patrząc na niego, prokurator Lespinasse oskarża. Przytacza długą listę zamachów, których ofiarami padli Niemcy, a także przypomina, że Francja podpisała honorową kapitulację i że oskarżony, który w dodatku nie jest Francuzem, nie ma prawa podważać autorytetu państwa. Wskazywanie okoliczności łagodzących byłoby złamaniem słowa danego przez marszałka. „Skoro marszałek podpisał rozejm, uczynił to dla dobra narodu — ciągnie pełną żaru mowę. — I z pewnością żaden cudzoziemski terrorysta nie ma prawa tego oceniać”.

Żeby dorzucić szczyptę humoru do tej tyrady, przypomina, że Marcel Langer nie niósł walizki z petardami na święto Czternastego Lipca, lecz z materiałami wybuchowymi, których użyto by do zniszczenia niemieckiego sprzętu, a zatem do zakłócenia spokoju obywateli Francji. Marcel z lekka się uśmiecha. Jakże odległe wydają się lipcowe festyny z pokazami sztucznych ogni!

Przewidując, że obrona może uciekać się do argumentów natury patriotycznej, by wskazać okoliczności łagodzące, Lespinasse przypomina Wysokiemu Sądowi, że Langer jest bezpaństwowcem, że zdecydował się zostawić żonę i córeczkę w Hiszpanii, dokąd zresztą, choć był Polakiem i tocząca się tam walka nie była jego sprawą, przybył, żeby bawić się materiałami wybuchowymi. A Francja, w swej życzliwości, zechciała go przyjąć, jednak nie po to, by siał zamęt i chaos. „Jak apatryda może utrzymywać, że kierował się patriotycznymi

pobudkami?". I Lespinasse śmieje się szyderczo, zachwycony tą konstrukcją słowną oraz brzmieniem zdania. A potem, jakby obawiał się, że sąd cierpi na amnezję, przypomina akt oskarżenia i przywołuje paragrafy przewidujące karę główną za tego rodzaju czyny, i pochwała surowość obowiązujących przepisów. Następnie milknie i w końcu decyduje się zwrócić oczy na oskarżonego. "Jest pan obcokrajowcem, komunistą i terrorystą, a to aż trzy powody, z których każdy wystarczyłby, bym domagał się przed sądem skazania pana na karę śmierci". Tym razem zwraca się do sędziów i niewzruszonym głosem żąda głowy Marcela Langerera.

Poblady, mecenas Arnal wstaje w chwili, gdy zadowolony z siebie Lespinasse siada. Stary adwokat przymyka oczy i lekko wysuwając brodę, przytyka do ust splecione dłonie. Sędziowie milczą, nikt się nie porusza, a protokolant ledwie waży się odłożyć pióro. Nawet żandarmi wstrzymują oddech, czekając na to, co powie Arnal. Lecz mecenas Arnal nie jest w stanie mówić, robi mu się niedobrze.

Dopiero teraz zrozumiał, że tu nie obowiązują uczciwe zasady, że decyzja już zapadła. A przecież Langer powiedział mu to w celi, wiedział, że jest z góry skazany. Jednak stary adwokat wciąż jeszcze wierzył w sprawiedliwość i z uporem zapewniał klienta, że jest w błędzie, że będzie go bronił jak należy i że wygra proces. Mecenas Arnal czuł obecność Marcela za swoimi plecami, miał wrażenie, że słyszy jego szept: „Widzi pan, przecież mówiłem, ale nie mam do pana pretensji, bo po prostu nie mógł pan nic zrobić”.

W końcu, gdy unosi ręce, rękawy jego togi zdają się łopotać na wietrze. Nabiera powietrza i wygłasza mowę końcową. Jakże można chwalić działania żandarmerii, widząc na twarzy oskarżonego ślady brutalności, której padł ofiarą? Jak można po-

zwałać sobie na drwiny z Czternastego Lipca, gdy Francja nie ma dziś prawa czcić tego święta? I co tak naprawdę prokurator wie o cudzoziemcach, których oskarża?

Poznając Langerę w rozmównicy, mecenas miał szansę odkryć, jak bardzo ci tak zwani przez oskarżyciela bezpaństwowcy kochają kraj, który ich przygarnął. Otóż oni, jak Marcel Langer, gotowi są poświęcić życie w jego obronie. Oskarżony nie jest taki, jak go przedstawił prokurator. To szczerzy i uczciwy człowiek, kochający męża i ojciec. Nie wyjechał z Hiszpanii, żeby dokonać krwawego zamachu, lecz dlatego, że nade wszystko kocha ludzkość i wolność. Czy jeszcze wczoraj Francja nie była państwem praw człowieka? Skazanie Marcela Langerę na śmierć oznacza przekreślenie nadziei na lepszy świat.

Arnal mówił przez ponad godzinę i nie szczędził sił, ale jego głos nie przemawiał do trybunału, który już powziął decyzję. Smutny dzień jedenastego czerwca czterdziestego trzeciego roku! Wyrok zapadł, Marcel miał zginąć na gilotynie. Kiedy Catherine dowiedziała się o tym w biurze Arnala, zacisnęła usta, jakby ktoś zadał jej potężny cios. Adwokat przysięgał, że to jeszcze nie koniec, że pojedzie do Vichy, że będzie prosił o ułaskawienie.

*

Tego wieczoru na opuszczonym dworcu kolejowym, który służył Charles'owi za mieszkanie i warsztat, pojawiło się więcej ludzi. Po aresztowaniu Marcela dowodzenie brygadą przejął Jan. Catherine usiadła obok niego. Z ich oczu, gdy na siebie spojrzeli, wyczytałem, że się kochają. Mimo to oczy dziewczyny były smutne, a usta ledwie śmiały się rozchyłać, kiedy przekazywała nam, słowo po słowie, tragiczną wiadomość. To ona oznajmiła nam, że Marcel został skazany na śmierć na

żądanie francuskiego prokuratora. Nie znałem Marcela, ale podobnie jak wszyscy, którzy zebrali się przy stole, czułem przytłaczający ciężar na sercu, a mój brat całkiem stracił apetyt.

Jan krążył po pokoju. Inni milczeli, czekając, co powie.

— Jeżeli ośmielą się to zrobić, będziemy musieli zlikwidować Lespinasse'a, żeby obleciał ich strach, bo inaczej ta banda łotrów gotowa jest wysłać na gilotynę każdego partyzanta, jaki wpadnie w ich ręce.

— Kiedy Arnal będzie zabiegał o ułaskawienie, my możemy przygotować akcję — dodał Jacques.

— To wymaganie dużo więcej czasu — wyszeptał Charles w swoim dziwacznym narzeczu.

— A tymczasem mamy siedzieć z założonymi rękami? — obruszyła się Catherine, która jako jedyna zrozumiała, co Charles chciał powiedzieć.

Jan wciąż rozmyślał, krążąc po pokoju.

— Musimy działać natychmiast. Skoro oni skazali Marcela, my skazemy jednego z nich. Jutro zlikwidujemy na ulicy niemieckiego oficera i zaczniemy kolportować odezwę, w której wyjaśnimy, co pchnęło nas do tej egzekucji.

Nie miałem oczywiście dużego doświadczenia w działaniach o charakterze politycznym, ale po głowie płałał mi się pewien pomysł, więc wziąłem się w garść i zabrałem głos.

— Jeżeli chcemy naprawdę napędzić im strachu, lepiej byłoby najpierw rozrzucić ulotki, a dopiero potem załatwić niemieckiego oficera.

— Tak, a oni będą się mieli na baczności. Masz może jeszcze jakieś pomysły w tym stylu? — pochwycił Emil, wyraźnie mi nieprzychylny.

— Mój pomysł nie jest zły, pod warunkiem że obie akcje

dzielić będą tylko minuty i że zostaną przeprowadzone we właściwej kolejności. Zaraz wam to wytłumaczę. Jeżeli najpierw załatwimy szkopa, a potem rozrzucimy ulotki, wyjdziemy na tchórzy. W oczach społeczeństwa Marcel najpierw został osądzony, a dopiero potem skazany.

Wątpię, żeby „La Depeche” donosiła o arbitralnym wyroku na heroicznego partyzanta. Napiszą po prostu, że sąd skazał na śmierć terrorystę. Dlatego powinniśmy dostosować się do ich reguł gry, żeby miasto stanęło po naszej stronie, nie przeciwko nam.

Emil chciał mi wpaść w słowo, ale Jan gestem ręki nakazał mu milczenie. Moje rozumowanie było logiczne, musiałem tylko dobrać właściwe słowa, żeby wyjaśnić kompanom, co przyszło mi do głowy.

— Wydrukujmy już jutro rano komunikat informujący, że w ramach represji za wyrok na Marcela Langer Resistance skazała na śmierć niemieckiego oficera. Zapowiedzmy także, że wyrok zostanie wykonany po południu. Ja zajmę się oficerem, a wy w tym samym czasie rozrzucicie wszędzie ulotki. Ludzie błyskawicznie dowiedzą się o całej sprawie, natomiast informacja o zamachu będzie obiegała miasto znacznie wolniej. Gazety podadzą ją dopiero następnego dnia, więc zachowana zostanie właściwa chronologia wydarzeń, przynajmniej pozornie.

Jan spoglądał na twarze swoich żołnierzy. W końcu nasze oczy się spotkały. Wiem, że zgadzał się z moim rozumowaniem, choć z jednym wyjątkiem — drgnął, kiedy palnąłem od niechcienia, że sam ukatrupię tego szwaba.

Gdyby wahał się zbyt długo, miałem w zanadru niepodważalny argument: w końcu to był mój pomysł, a poza tym ukradłem już rower i wkupiłem się do brygady.

Jan spojrział na Emila, Alonsa, Roberta, a wreszcie na Catherine, która skinęła głową. Charles bacznie obserwował całą

scenę. Wstał, podszedł do schowka pod schodami i wrócił z pudełkiem na buty. Podał mi rewolwer.

— Lepiej, żeby twoja brać i ty spali ten wieczór tu.

Podszedł do mnie Jan.

— Będziesz strzelcem, a ty, Hiszpan — zwrócił się Alonso — staniesz na czatach. Mały pilnuje rowerów, mają stać przodem do kierunku uciezki.

I tyle. Ujęte w słowa wszystko wydaje się niewinne, tyle że teraz Jan i Catherine zniknęli w ciemnościach, a ja zostałem z rewolwerem i sześcioma kulami w garści, no i ze smarkatym bratem, który koniecznie chciał sprawdzić, jak to działa. Alonso pochylił się nade mną i zapytał, skąd właściwie Jan wie, że jest Hiszpanem, skoro przez cały wieczór nie odezwał się słowem. „A skąd wiedział, że ja będę strzelcem?” — odparłem, wznosząc ramionami. Nie odpowiedziałem na jego pytanie, jednak z milczenia mojego kompana wywnioskowałem, że moje pytanie zaabsorbowało go bardziej od własnego.

Tej nocy po raz pierwszy spaliśmy w jadalni Charles'a. Kładłem się ledwie żywy ze zmęczenia, ale też z piekielnym ciężarem na sercu. Ciężyła mi głowa brata, który odkąd pozabawiono nas rodziców, nabrał paskudnego zwyczaju wtulania się we mnie, a co gorsza, uwierał mnie rewolwer wsunięty do lewej kieszeni kurtki. Chociaż nie było w nim jeszcze sześciu kul, bałem się, że we śnie może przestrzelić głowę mojego braciszka.

Kiedy cały świat na dobre pogrążył się we śnie, wstałem i na palcach wyszedłem do ogrodu za domem. Charles miał psa równie pocziwego, co głupiego.

Pomyślałem o nim, ponieważ tamtej nocy dotyk wilgotnego nosa spaniela był mi niesamowicie potrzebny. Usiadłem na krześle, pod sznurkiem na bieliznę, spojrzałem w niebo i wy-

ciągnąłem z kieszeni spluwę. Pies podszedł obwąchać lufę, więc pogłaskałem go po łbie, mówiąc, że tylko on jeden może pozwolić sobie na wąchanie mojej broni, póki jestem żywy. Powiedziałem tak, bo w tamtej chwili po prostu musiałem dodać sobie animuszu.

Wieczorem, kradnąc rowery, wstąpiłem do podziemia, ale dopiero, kiedy usłyszałem pochrapywanie zakatarzonego dzieciaka — mam na myśli mojego brata — dotarło to do mnie. Jestem Jeannot w brygadzie Marcela Langerera i przez nadchodzące miesiące mam wysadzać pociągi, słupy elektryczne, uszkadzać skrzydła i silniki samolotów.

Należałem do grupy zaprzyjaźnionych ze sobą ludzi, którzy jako jedyni potrafili strącać niemieckie bombowce... jadąc na rowerze.

4

Obudził nas Boris. Dzień ledwie wstawał, mnie dokuczał głód, ale nie mogłem słuchać skarg żołądka, wiedziałem, że nie dostanę śniadania. Poza tym mam do wykonania zadanie. Może to strach spotęgowany głodem tak skręca mi trzewia. Boris siada przy stole, Charles już zabrał się do pracy. Czerwony rower przeistacza się na moich oczach — nie ma już skórzanych uchwytów, teraz kierownica po jednej stronie jest czerwona, po drugiej niebieska. Ale mniejsza o wygląd roweru, zaczynam myśleć rozsądnie, najważniejsze, żeby nikt nie rozpoznał, że jest skradziony. Gdy Charles sprawdza mechanizm przerzutki, Boris przywołuje mnie do siebie.

— Plany się zmieniły — mówi. — Jan nie chce, żebyście szli we trzech. Jesteście nowicjuszami, więc postanowił, że w razie problemów będzie z wami jako wsparcie ktoś doświadczony.

Nie wiem, czy to oznacza, że brygada jeszcze mi nie ufa, więc nic nie mówię i słucham Borisa.

— Twój brat tu zostanie. Ja pójdę z tobą i przygotuję ci ucieczkę. Teraz słuchaj uważnie, powiem ci, jak się to powinno odbyć. Istnieje metoda eliminacji wrogów i dokładne jej stosowanie jest bardzo ważne. Słuchasz mnie?

Skinałem głową, ale Boris musiał zauważyć, że przez moment błądziłem gdzieś myślami. A myślałem o bracie, o tym, że znowu zaczną się dąsać, kiedy mu powiem, że odsunięto go od akcji. I nawet nie będę mógł się mu przyznać, że zrobiło mi się lżej na sercu, gdy usłyszałem, że tego dnia nie musi narażać życia.

Otuchy dodało mi także i to, że Boris był studentem trzeciego roku medycyny, gdybym więc został ranny, może zdoła mnie uratować, chociaż to idiotyczne, bo przecież podczas takiej akcji najgroźniejsza nie jest rana, ale to, że dasz się złapać albo po prostu zabić, co na ogół wychodzi na jedno.

Właściwie muszę przyznać, że Boris miał rację, bo kiedy do mnie mówił, myślałem o czymś innym. Jednak na swoje usprawiedliwienie dodam, że zawsze miałem kłopotliwą skłonność do bujania w obłokach, a moi nauczyciele zarzucali mi, że jestem roztargniony. Było to, zanim dyrektor odprawił mnie do domu, kiedy przyszedłem na egzamin maturalny. Z moim nazwiskiem nie miałem co marzyć o maturze.

Dobrze, wracam do czekającej nas akcji, inaczej w końcu towarzysz Boris mnie obruga — on zadaje sobie tyle trudu, żeby wyjaśnić mi, jak to wszystko ma przebiegać, że będzie jeszcze gotów odebrać mi zadanie za brak subordynacji!

— Słuchasz mnie? — powtórzył.

— Jasne, że tak!

— Kiedy zauważymy cel, upewnisz się, że rewolwer jest odbezpieczony. Zdarzało się już, że nasi ludzie mieli poważne kłopoty, bo sądzą, że broń im się zacięła, kiedy głupio zapomnieli ją odbezpieczyć.

Pomyślałem, że to faktycznie głupie, ale kiedy człowiek się boi, naprawdę boi, staje się dużo mnie sprawny, zapewniam cię, że to prawda. Najważniejsze było jednak nie przerywać Borisowi i skupić się na tym, co mówił.

— To musi być oficer, nie zabijamy prostych żołnierzy.

Zrozumiałeś? Będziemy go śledzili, zachowując spory dystans, ale nie tracąc z oczu. Ja zajmę się okolicą, a ty podejdziesz do gościa, i wpakujesz w niego parę kul. Musisz dokładnie liczyć strzały, żeby zostawić jeden nabój. To bardzo istotne przy ucieczce, broń może ci się jeszcze przydać, nigdy nic nie wiadomo. Podczas ucieczki ja cię ubezpieczam. Ty skupiasz się wyłącznie na pedałowaniu. Gdyby ludzie próbowali stawać ci na drodze, zrobię, co trzeba, żeby cię chronić. Cokolwiek by się działo, nie odwracaj się! Pedałuj, ile sił w nogach, rozumiesz?

Usiłowałem powiedzieć „tak”, ale zaschło mi w ustach, a język miałem sztywny jak kołek. Boris uznał moje milczenie za zgodę i kontynuował.

— Kiedy będziesz już dość daleko, zwolnij i zachowuj się jak pierwszy lepszy rowerzysta. Musisz się zorientować, czy nikt cię nie śledzi, i żadną miarą nie wolno ci doprowadzić go do swojego mieszkania. Jedź na bulwary, zatrzymuj się dość często i sprawdzaj, czy nie rozpoznajesz twarzy, którą widziałeś już wcześniej. Nie licz, że to zbieg okoliczności, bo w naszym życiu to się nie zdarza. Kiedy będziesz pewny, że jesteś bezpieczny, i tylko wtedy, możesz wracać do domu.

Teraz nie było mi w głowie bujanie w obłokach, znałem plan działania na wyrwyki, wciąż pozostawał tylko jeden problem — nie miałem pojęcia, jak się strzela do człowieka.

Charles wrócił z warsztatu z rowerem, który przeszedł istotną przemianę. Usłyszałem, że najważniejsze, żebym mógł być pewien pedałów i łańcucha. Boris skinął na mnie ręką — już czas. Claude wciąż spał i zastanawiałem się, czy go obudzić. Gdyby mi się coś stało, dałyby się pewnie, że nawet się z nim nie pożegnałem przed śmiercią. Uznałem jednak, że lepiej niech śpi. Kiedy wstanie, będzie głodny jak wilk, a nie ma nic do przegryzienia, więc każda godzina snu oznaczała małe zwycięstwo nad głodem. Zapytałem, dlaczego nie idzie z nami Emil. „Daj spokój!”, mruknął Boris. Wczoraj ktoś mu ukradł rower.

Ten bałwan zostawił go w korytarzu bez blokady. Szkoda była tym dotkliwsza, że miał dość ładny model, ze skórzanymi uchwytami, dokładnie taki, jaki zwędziłem! Podczas naszej akcji miał się rozejrzeć i zwinąć coś nowego. Boris dodał, że Emil był z tego powodu wściekły!

*

Robota przebiegła tak, jak przewidział Boris. No, prawie. Niemiecki oficer, którego sobie upatrzyliśmy, schodził po schodach ulicy na placyk, gdzie królowała wespazjanka, jak nazywano tu popularne w mieście zielone budki pisuarów. My nazywaliśmy je ze względu na kształt, filizankami. Ponieważ jednak pomysł zrodził się w głowie rzymskiego cesarza imieniem Wespazjan, tak właśnie je ochrzczono. Prawdę mówiąc, miałem chyba szanse uzyskać maturę, gdyby w czerwcu czterdziestego pierwszego roku nie ciążył na mnie grzech żydostwa.

Boris dał mi znak — to miejsce było idealne. Mały placyk leżał poniżej ulic, w pobliżu nie było żywego ducha. Szedłem za Niemcem, który niczego się nie spodziewał. Byłem dla niego zwykłym człowiekiem, nawet dość podobnym do niego, mimo że on nosił nieskazitelny zielony mundur, a ja podniszczone łachy, no i łączyła nas chwilowo ta sama potrzeba. W wespazjance były dwie kabiny, a fakt, że idziemy po jednych schodach, najwyraźniej mu nie przeszkadzał.

Znalazłem się więc w pisuarze w towarzystwie niemieckiego oficera, którego miałem naszpikować ołowiem z mojego rewolweru (zostawiając, zgodnie z zaleceniem Borisa, jedną kulę). Kiedy odbezpieczałem broń, odezwało się moje sumienie. W ciężkiej rozterce zadałem sobie pytanie, czy można być godnym bojownikiem Resistance, reprezentować wszystkie jej szlachetne ideały, a zarazem ukatrupić faceta, który spuścił portki i znalazł się w tak przyziemnej sytuacji?

Nie mogłem zapytać o zdanie towarzysza Borisa, który czekał u szczytu schodów z rowerami, gotów zabezpieczać moją ucieczkę. Byłem sam i musiałem podjąć decyzję.

Nie strzeliłem. Po prostu nie mogłem pogodzić się z myślą, że pierwszy wróg, którego zabiję, szczał w chwili, gdy dokonywałem tego heroicznego czynu. Gdybym mógł o tym pomówić z Borisem, najprawdopodobniej uświadomiłby mi, że ów wróg służył w armii, która nie zadaje sobie żadnych pytań, kiedy strzela w głowy dzieciom, kiedy omiata ogniem z karabinów maszynowych smarkaczy na naszych ulicach, a przede wszystkim, kiedy masowo morduje ludzi w obozach śmierci. I Boris miałby rację, tyle że ja marzyłem, żeby zostać pilotem Royal Air Force, a ponieważ nie dysponowałem samolotem, chciałem w inny sposób ocalić honor. Zaczekałem, aż mój oficer odzyska wygląd człowieka godnego śmierci. Nie pozwoliłem, żeby zmylił mnie uśmiezek na jego twarzy, kiedy wychodził z pisuaru, a on nie zwrócił uwagi na fakt, że i tym razem idę za nim w stronę schodów. Pisuar znajdował się u wylotu zaułka, mogliśmy stąd wyjść tylko jedną drogą.

Nie słysząc strzałów, Boris prawdopodobnie zastanawiał się, co robię przez cały ten czas. Ale oficer wchodził po schodach przede mną, a ja nie mogłem przecież strzelić mu w plecy. Jedynym sposobem, żeby się odwrócił, było zawołać go, co stanowiło pewien problem, ponieważ moja znajomość niemieckiego ograniczała się do dwóch słów — *ja* i *nein*. Trudno — za kilka sekund facet znalazłby się na ulicy i wszystko by przepadło. Podejmowanie takiego ryzyka, żeby zmarnować cały trud w ostatniej chwili, byłoby szczytem głupoty. Wyprężyłem pierś i krzyknąłem na cały głos *Ja*. Oficer najwyraźniej zrozumiał, że mówię do niego, bo natychmiast się odwrócił, a ja wykorzystałem okazję, żeby wpakować mu w tors pięć kul, to znaczy strzelić, patrząc mu prosto w twarz. Ciąg dalszy przebiegał mniej więcej zgodnie z instrukcjami Borisa. Wsunąłem rewol-

wer za pasek u spodni, parząc się przy tym lufą, z której wypadło pięć kul z prędkością trudną do oceny przy mojej wiedzy matematycznej.

U szczytu schodów wskoczyłem na rower i zgubiłem rewolwer, który wysunął się zza paska. Dotknąłem stopą ziemi, żeby podnieść broń, ale głos Borisa, który wrzasnął: „Znikaj stąd, do diabła”, przywołał mnie do porządku. Pedałowałem do utraty tchu, przemykając między pieszymi, którzy biegli już w stronę uliczki, gdzie przed chwilą padły strzały.

Po drodze wciąż myślałem o straconym rewolwerze. W brygadzie broń była na wagę złota. W przeciwieństwie do partyzantów nie mogliśmy liczyć na zrzuty z Londynu. Było to naprawdę niesprawiedliwe, gdyż partyzanci nie robili dobrego użytku z przeznaczonych dla nich skrzyń, tylko składali je w kryjówkach z myślą o desancie aliantów, ten zaś, jak się wydawało, nie był zbyt bliski. Dla nas jedynym sposobem zdobycia broni było odbieranie jej wrogom, a w rzadkich przypadkach przeprowadzanie skrajnie niebezpiecznych akcji. Tymczasem ja nie tylko okazałem się zbyt nerwowy, żeby pomyśleć o zabraniu mausera, którego miał oficer, ale w dodatku straciłem własny rewolwer. Wydaje mi się, że myślałem tylko o tym, żeby zapomnieć, że jeśli nawet wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował Boris — to ja zabiłem człowieka.

*

Ktoś zapukał do drzwi. Claude, który leżał na łóżku z oczyma wbitymi w sufit, zachowywał się, jakby to do niego nie dotarło, można by pomyśleć, że słuchał muzyki, ale w pokoju było cicho, więc uznałem, że się dąsa.

Dla bezpieczeństwa Boris podszedł do okna i odchylił firankę, żeby zerknąć na ulicę. Wokół panował spokój. Otworzyłem drzwi i wpuściłem Roberta. Naprawdę nazywał się Lorenzi,

jednak my używaliśmy tylko imienia Robert, a czasem mówiliśmy o nim „Ołżyśmierć” i w tym przydomku nie było oczywiście żadnej złośliwości. Po prostu Lorenzi łączył w sobie sporo zalet. Po pierwsze, precyzję strzału — był w tym niezrównany. Za nic nie chciałym się znaleźć na linii strzału Roberta, bo jego niecelne próby można by zliczyć na palcach jednej ręki. Uzyskał zgodę Jana na stałe noszenie rewolweru przy sobie, podczas gdy my, ze względu na dręczący brygadę głód broni, musieliśmy zwracać sprzęt po każdej akcji, aby mógł służyć innym. Choć może się to wydawać dziwne, każdy z nas miał plan tygodnia, a w nim figurowały a to żuraw do wysadzenia na kanale, a to wojskowa ciężarówka do spalania, a to znowu pociąg do wykolejenia, posterunek do zaatakowania — lista była długa. Przy okazji dodam, że z każdym miesiącem liczba zadań, które wybierał dla nas Jan, była coraz większa. Rzadko zdarzały się nam wolne dni i w końcu poczuliśmy się wyczerpani.

Powszechnie mówi się o dobrych strzelcach, że są impulsywni, nawet wybuchowi. Robert był zaprzeczeniem tych wyobrażeń, cechowały go spokój i opanowanie. Podziwiany przez znajomych, z natury serdeczny, każdemu potrafił powiedzieć miłe, podtrzymujące na duchu słowo, co w tamtych czasach należało do rzadkości. A poza tym Robert zawsze wracał z wszystkimi swoimi ludźmi po wykonaniu zadania, więc świadomość, że to on cię ubezpiecza, bardzo uspokajała.

Pewnego dnia spotkałem go w kafejce przy placu Jeanne d'Arc, gdzie wpadaliśmy na dania z wyki — jarzyny nieco podobnej do soczewicy, a zwykle używanej jako pasza dla bydła, ale dla nas i tak dość dobrej. To niesamowite, ile może zdziałać wyobraźnia, kiedy człowiek jest głodny!

Robert siedział naprzeciwko Sophie, a z ich spojrzeń wy-

wnioskowałem, że także ta para się kochała. Pewnie jednak się myliłem, bo przecież Jan powiedział, że w ruchu oporu nie ma miejsca na miłość, bo to zbyt niebezpieczne. Kiedy myślę o kolegach, którzy w przededniu egzekucji pluli sobie w brodę, że przestrzegali tej zasady, serce ściska mi się z żalu.

Tego wieczoru Robert przysiadł na brzegu łóżka, a Claude nawet nie drgnął. Musiałem w końcu pomówić z moim braciszkiem o jego charakterku! Robert nie zwrócił uwagi na jego zachowanie i podał mi rękę, gratulując udanej akcji. Milczałem, targany sprzecznymi odczuciami, co, z powodu naturalnej skłonności do roztargnienia (tak piętnowanej przez nauczycieli), automatycznie pograżało mnie w długotrwałej ciszy, a także w głębokiej zadumie.

I kiedy Robert siedział przede mną, myślałem o tym, że wstąpiłem do Resistance, marząc o trzech rzeczach: dostać się do generała de Gaulle'a do Londynu, zaciągnąć się do Royal Air Force i zabić wroga, zanim zginę.

Gdy zrozumiałem, że dwa pierwsze marzenia są nierealne, powinienem się cieszyć, że spełniłem przynajmniej to trzecie, zwłaszcza że wciąż żyłem, a od akcji minęło już kilka godzin. W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Obraz niemieckiego oficera, który ze względu na toczące się śledztwo dotąd leżał na schodach z rozłożonymi rękami, w miejscu skąd widać było pisuar, nie dawał mi żadnej satysfakcji.

Boris kaszlnął, Robert nie wyciągnął do mnie ręki na pożegnanie, chociaż zawsze to robił, bo z natury był serdeczny. On chciał odzyskać broń. A ten rewolwer, który zgubiłem, należał właśnie do niego!

Nie miałem pojęcia, że Jan wysłał go jako drugiego osłaniającego, bo ktoś tak niedoświadczony jak ja mógłby mieć problemy, w chwili gdy trzeba będzie zabić, a potem sprawnie

zniknąć. Jak wspomniałem, Robert zawsze przyprowadzał ludzi z akcji. Wzruszyło mnie, że w przededniu wieczorem Robert oddał Charles'owi swoją broń, żeby ten mi ją wręczył, chociaż ledwie zwracałem na niego uwagę przy kolacji, tak byłem pochłonięty moją porcją omletu. A Robert, czując się odpowiedzialny za bezpieczeństwo moje i Borisa, zdobył się na tak szlachetny gest i dał mi tę broń, która nigdy się nie zacina, w przeciwieństwie do broni automatycznej.

Prawdopodobnie Robert nie widział końca tej akcji, kiedy Boris rozkazał mi natychmiast uciekać, więc nie zauważył, że jego rozgrzany rewolwer wysunął mi się zza paska, lądując na ulicy.

Kiedy w oczach Roberta pojawiło się zniecierpliwienie, Boris wstał, wysunął szufladkę jedynej szafy w tym pokoju, wyjął z rustykalnego mebla tę cenną broń i oddał właścicielowi, nie czyniąc żadnych uwag.

Robert schował rewolwer, jak należy, a ja skorzystałem z okazji, by nauczyć się, w jaki sposób wsuwać lufę pod sprzączkę pasa, żeby uniknąć oparzenia pachwiny i ponoszenia wynikających z tego konsekwencji.

*

Jan był zadowolony z naszej akcji, brygada nas zaakceptowała.

Jakiś facet z partyzantki rozmawiał z Janem przy kieliszku. Podczas tej rozmowy celowo pozwolił sobie na niedyskrecję, ujawniając szczegóły dotyczące fermy, na której przechowywano sporo broni z angielskich zrzutów. Nas takie składowanie doprowadzało do szału, bo broń, której brakowało nam na każdym kroku, zalegała gdzieś, w oczekiwaniu na desant alian-tów. Niech koledzy z partyzantki nam to wybaczą, ale Jan zdecydował, że wpadniemy do nich i sami się obsłużymy. Żeby

uniknąć bezsensownych sporów, a także powściągnąć głupią brawurę, poszliśmy nieuzbrojeni. Nie wspomniałem o istnieniu rywalizacji między ruchami gaullistowskimi a naszą brygadą, jednak ryzyko zranienia „kuzyna” z ruchu oporu, nawet przy niezbyt dobrych relacjach rodzinnych, było wykluczone. Mieliśmy jasne instrukcje — nie uciekać się do użycia siły. Gdyby sprawy się komplikowały, po prostu spadamy i kropka.

Akcja miała być przeprowadzona w rękawiczkach. Zresztą, gdyby udało się zrealizować plan Jana bez większego zamieszania, nie chciałbym być w skórze gaullistów w chwili informowania o tej wpadce Londynu, który mógłby uznać swoich podopiecznych za niedojdy i odciąć od źródła zaopatrzenia.

Kiedy Robert dał nam wskazówki, jak tę akcję przeprowadzić, mój braciszek udał, że nic go to nie obchodzi, ja jednak wiedziałem, że nie umknęło mu ani jedno słowo. Mieliśmy pojawić się na oddalonej o parę kilometrów od miasta fermie, powiedzieć gospodarzom, że przysyła nas Louis, że Niemcy wpadli na trop kryjówki i lada chwila tu będą; a my przyjechalibyśmy, żeby pomóc w przenoszeniu towaru, dlatego gospodarze mają nam wydać kilka skrzyń granatów i broni maszynowej. Po załadowaniu zdobyczy na małe przyczepki, które mieliśmy przy rowerach, mieliśmy zwinąć manatki i zniknąć. Sprawa była załatwiona.

— Do tej akcji trzeba sześciu ludzi — powiedział Robert.

Okazało się, że nie pomyliłem się co do Claude'a, bo usiadł na łóżku, jakby nagle zakończył sjęstę — z minuty na minutę, całkiem przypadkowo.

— Chcesz wziąć w tym udział? — zapytał Robert, patrząc na mojego brata.

— Biorąc pod uwagę doświadczenie w zdobywaniu rowerów, uważam się za doskonale przygotowanego do kradzieży broni. Najwyraźniej wyglądam na złodzieja, skoro proponujecie mi każdą taką akcję.

— Wręcz przeciwnie, wyglądasz na uczciwego chłopaka i dlatego świetnie się do tego nadajesz. Po prostu nie wzbudzisz podejrzeń.

Nie mam pojęcia, czy Claude uznał to za komplement, czy po prostu ucieszył się, że Robert zwrócił się bezpośrednio do niego, okazując uznanie, którego małemu tak brakowało. Zobaczyłem, jak z twarzy mojego młodszego brata znika napięcie. Wydawało mi się nawet, że się uśmiechnął. Niesamowite, jak odrobina uznania, choćby tylko szczypta, koi urażoną dumę. W rzeczywistości pozostawanie anonimowym dla ludzi, wśród których się żyje, jest znacznie bardziej dotkliwe, niż można by sądzić, bo to tak, jakby człowiek był niewidzialny.

Prawdopodobnie z tego samego powodu tak trudno nam było żyć w podziemiu. Staraliśmy się to sobie wynagrodzić, traktując brygadę jak rodzinę, jak społeczność, w której nasz byt staje się realny. Dla każdego z nas miało to ogromne znaczenie.

Claude powiedział „zgoda”. Z Robertem, Borisem i mną było nas wciąż o dwóch za mało. Dołączyli do nas Alonso i Emil.

Sześciu uczestników akcji powinno jak najszybciej wyruszyć do Loubers, gdzie miały być przygotowane dla nas rowery z przyczepkami. Charles prosił, żebyśmy przychodzili kolejno, nawet nie ze względu na ciasnotę w jego warsztacie, ale żeby nie zwracać uwagi sąsiadów na taki zlot rowerzystów. Mieliśmy się spotkać około szóstej przy wyjeździe z miasteczka w stronę miejsca zwanego Kamiennym Brzegiem.

5

Jako pierwszy pojawił się na fermie Claude. Trzymał się ściśle instrukcji Jana, który przekazał nam informacje uzyskane od człowieka z partyzantki.

— Przysyła nas Louis. Kazał mi powiedzieć, że tej nocy „woda będzie niska”.

— To wróży kiepski połów — odrzekł gospodarz.

Claude nie podważał tego wniosku, natychmiast przekazując wiadomość.

— Gestapo jest już w drodze, trzeba przenieść broń!

— Cholera, to straszne — krzyknął gospodarz.

Spojrzał na nasze rowery i zapytał: „A gdzie ciężarówka?”. Claude nie zrozumiał pytania, szczerze mówiąc, ja też nie, a myślę, że pozostali, stojący za mną, także nie wiedzieli, o co mu chodzi. Ale mój brat nie dał się zbić z tropu i odpowiedział niemal natychmiast: „Została za nami. Przyjechaliśmy, żeby przygotować transport”. Gospodarz poprowadził nas do stodoły. Tam, za belami siana, które piętrzyły się na kilka metrów w górę, ujrzeliśmy to, od czego wziął się potem kryptonim akcji „Jaskinia Ali Baby”. Na ziemi stały skrzynie pełne granatów, moździerze, steny, worki z pociskami, liny, dynamit, karabiny maszynowe i jakieś inne rzeczy.

W tym momencie uświadomiłem sobie dwa istotne problemy. Po pierwsze, źle oceniłem przygotowania do desantu aliantów. Zmieniłem punkt widzenia, zwłaszcza gdy zrozumiałem, że ta kryjówka jest zapewne tylko jedną z wielu tworzonych na terytorium kraju. Po drugie, dotarło do mnie, że grabimy broń, której prędzej czy później zabraknie partyzantom.

Wolałem nie dzielić się tymi refleksjami z towarzyszem Robertem, dowódcą akcji, może nie z obawy przed osądem zwierzchnika, ale raczej dlatego, że po głębszym przemyśleniu zdołałem uspokoić własne sumienie — dysponując sześcioma przyczepkami, nie uczynimy poważnego uszczerbku w zapasach partyzantki.

Żeby zrozumieć, co czułem, patrząc na tę broń, gdy sam wiedziałem już, jak cenny jest dla naszej brygady byle pistolet, i gdy lepiej pojąłem sens pytania „a gdzie ciężarówka”, wystarczy wyobrazić sobie mojego młodszego brata, który, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znajduje na talerzu chrupiące, złociste frytki, ale właśnie tego dnia cierpi na ból brzucha.

Robert wyrwał nas wszystkich z osłupienia i rozkazał przed przyjazdem ciężarówki załadować, co się da, na przyczepy. Wtedy jednak gospodarz zadał drugie pytanie i tym razem naprawdę nas zaskoczył.

— A co robimy z Rosjanami?

— Z jakimi Rosjanami? — zapytał Robert.

— Louis wam nie powiedział?

— Zależy o czym — wtrącił Claude, najwyraźniej nabierając pewności siebie.

— Ukrywamy dwóch rosyjskich jeńców, którzy uciekli z obozu nad Atlantykiem. Trzeba coś z nimi zrobić. Nie możemy pozwolić, żeby wpadli w ręce gestapo. Niemcy zastrzelą ich na miejscu.

To, co powiedział gospodarz, było dla mnie wstrząsające z dwóch względów. Po pierwsze, dotarło do mnie, że niechący

skazaliśmy na koszmar dwóch biedaków, którzy i tak wiele już wycierpieli, po drugie, jeszcze bardziej zadziwiło mnie, że gospodarz ani przez moment nie myślał o własnym życiu. Do listy wspianałych ludzi żyjących w tym niezbyt chlubnym czasie powinienem dopisać i takich jak on gospodarzy.

Robert zaproponował, żeby Rosjanie ukryli się na tę noc w lesie. Gospodarz zapytał, czy któryś z nas potrafi im to przekazać, bo jego znajomość języka niewiele się poprawiła, odkąd przyjął tych dwóch biedaków. Potem przyjrzał się nam uważnie i stwierdził, że woli sam się tym zająć. „Tak będzie bezpieczniej”, dodał. A kiedy szedł po nich, my załadowaliśmy przyczepy po brzegi. Emil wziął nawet dwa worki amunicji, która do niczego się nam nie przydała, ponieważ nie mieliśmy broni odpowiedniego kalibru, ale o tym powiedział nam dopiero Charles, kiedy byliśmy już u niego.

Zostawiliśmy gospodarza z jego rosyjskimi uciekinierami, mając wyrzuty sumienia, że tak go oszukaliśmy, i pedałowaliśmy, ile sił w nogach, byle jak najprędzej zaciągnąć przyczepy na nasz dworzec.

Przy wjeździe na przedmieścia Alonso nie zdołał ominąć wyboju i jeden z worków z nabojami spadł na ziemię. Przechodnie przystanęli, zdumieni widokiem takiego towaru rozsypującego się po jezdni. Dwaj robotnicy podeszli do Alonsa i pomogli mu pozbierać naboje, nie robiąc przy tym żadnych komentarzy.

Charles dokonał inwentaryzacji naszych zdobyczy i ukrył je w bezpiecznym miejscu. Potem przyszedł do nas, do jadalni, uśmiechnął się, odsłaniając bezzębną szczękę, i oświadczył w swoim żargonie: „Ta mnóstwo dobra robota. Starczyć może tego na dobra szto akcji”, co natychmiast przetłumaczyliśmy: „Dobra robota. Starczy tego na dobrą setkę akcji”.

6

Czerwiec przemijał w rytm naszych akcji i już dobiegał końca. Żurawie wyrwane z ziemi naszymi ładunkami wybuchowymi pochyliły się nad kanałami, żeby już się nie podźwignąć, pociągi wykolejały się, jadąc po torach, które przesunęliśmy, drogi, którymi sunęły niemieckie konwoje, były zatarasowane powalonymi przez nas słupami elektrycznymi. W połowie miesiąca Jacques i Robert zdołali podłożyć trzy bomby w Feldgendarmerii. Zniszczenia były znaczne. Prefekt regionu po raz kolejny apelował do ludności. Było to żałosne wezwanie do denuncjowania każdego podejrzanego o przynależność do organizacji terrorystycznej. W oficjalnym komunikacie szef francuskiej policji regionu Tuluzy piętnował osoby, które współdziałały z Resistance, w jego oczach były winne czynów godzących w ład społeczny i spokój porządkowych Francuzów. A owymi wichrzycielami, siewcami niepokoju, byliśmy my i nie obchodziło nas, co myśli prefekt.

Dziś poszliśmy z Emilem po granaty do Charles'a, mieliśmy bowiem dokonać akcji polegającej na wrzuceniu ich do centrali telefonicznej Wehrmachtu.

Kiedy szliśmy ulicą, Emil pokazał mi okno, w które mieliśmy celować, i na dany przez niego znak cisnęliśmy je. Widziałem, jak wzlatają, kreśląc niemal doskonały łuk. Wydawało mi się, że czas stanął w miejscu. A potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła i słyszałem chyba nawet, jak granaty toczą się po parkiecie, jak biegną Niemcy, prawdopodobnie rzucając się do najbliższych drzwi. Lepiej, gdy takie akcje przeprowadza się we dwóch, bo jedna osoba ma znikome szanse.

Biorąc pod uwagę porę dnia, wątpię, by Niemcom udało się szybko przywrócić łączność. Jednak wcale mnie to nie cieszy, bo mój młodszy brat musi się wyprowadzić.

Claude należy teraz do grupy i Jan uznał, że wspólne mieszkanie jest zbyt ryzykowne i narusza elementarne zasady bezpieczeństwa. Każdy z nas musi mieszkać sam, żeby nie narażać współlokatora w razie wpadki. Wiem, że bardzo odczuję nieobecność młodszego brata, zwłaszcza wieczorem. Nie będę teraz wiedział, kiedy wysyłają go na akcję. Dlatego, leżąc w łóżku z rękami pod głową, zacznę o nim rozmyślać, dopóki spokojny sen nie nadejdzie. Samotność i głód to źli kompani. Burczenie w brzuchu czasem zakłóci ciszę w pustym pokoju. I rzeczywiście, po przeprowadzce Claude'a, żeby zająć myśli czym innym, gapię się w żarówkę pod sufitem, a ona wkrótce zamienia się w blask słońca w okienku mojego angielskiego myśliwca. Pilotuję spitfire'a Royal Air Force. Lecę nad kanałem La Manche, wystarczy, że pochylę skrzydła, a widzę na ich końcu grzywy fal, które razem ze mną suną ku Anglii. Zaledwie kilka metrów dalej warczy samolot mojego brata, zerkam na maszynę, żeby się upewnić, że z silnika nie wydobywa się dym, który mógłby uniemożliwić nam powrót, ale przed nami widać już wybrzeże z jego białymi falezami. Czuję wdzierający się do kabiny wiatr, który świszczę mi pod nogami. Kiedy już wylądujemy, najemy się do syta przy stoliku w mesie oficerskiej... Pod oknami przejeżdża konwój niemieckich ciężarówek,

zgrzyt hamulców przywraca mnie do rzeczywistości, przypomina, że jestem sam.

Wsluchując się w niknący w ciemnościach warkot, wreszcie mimo dotkliwego głodu, zdobyłem się na odwagę i zgasilem żarówkę pod sufitem pokoju. W mroku powtarzam sobie, że się nie poddałem. Prawdopodobnie umrę, ale nie zrezygnowałem, a przecież i tak spodziewałem się, że umrę znacznie wcześniej, tymczasem wciąż żyję, więc — kto wie? Może w gruncie rzeczy to Jacques ma rację, że pewnego dnia znów nastanie wiosna.

*

Wczesnym rankiem przychodzi Boris — mamy przeprowadzić kolejną akcję. Kiedy pedałużemy w stronę starego dworca w Loubers, żeby pobrać broń, mecenas Arnal dociera do Vichy, aby walczyć o ułaskawienie Langerera. Przyjmuje go dyrektor wydziału kryminalnego i ułaskawień. Ma ogromną władzę i jest tego świadom. Słucha adwokata jednym uchem, myśląc o własnych sprawach — koniec tygodnia już blisko, więc zastanawia się, jak spędzi wolny czas, czy kochanka przyjmie go, ochoczo rozchylając ciepłe uda po dobrej kolacji, na którą zaprosił ją do restauracji. Dyrektor wydziału kryminalnego szybko przegląda akta przygotowane przez Arnala. Są tam spisane czarno na białym fakty, i nie są to fakty banalne. Wyrok nie jest srogi, mówi w końcu. Jest sprawiedliwy. Sędziom niczego nie można zarzucić, wypełniali swoje obowiązki, stosując prawo. Wyrobił sobie opinię, lecz Arnal wciąż nalega, godzi się więc, wobec powagi sprawy, zwołać komisję ułaskawień.

Później, przed jej członkami, będzie wypowiadał nazwisko Marcela tak, by podkreślić, że chodzi o cudzoziemca. I kiedy stary adwokat Arnal opuszcza Vichy, komisja odrzuca wniosek o ułaskawienie. A gdy stary adwokat Arnal wsiada do pociągu jadącego do Tuluzy, oficjalne pismo rusza w swoją drogę.

Wędruje do strażnika pieczęci, który niezwłocznie przekazuje je do gabinetu marszałka Petaina. Marszałek podpisuje dokument, los Marcela jest przesądzony — czeka go gilotyna.

*

Dziś, piętnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, razem z Borisem dokonaliśmy ataku na biuro szefa grupy „Kolaboracja” przy placu des Carmes. Pojutrze Boris rozprawi się z niejakim Rougetem, gorliwym kolaborantem, jednym z najlepszych donosicieli gestapo.

Wychodząc z Pałacu Sprawiedliwości na obiad, prokurator Lespinasse był w wyśmienitym nastroju. Rano zakończył się administracyjny obieg dokumentów. Decyzja o odrzuceniu prośby Marcela o ułaskawienie leży już na jego biurku, opatrzona podpisem marszałka. Dołączono do niej rozkaz wykonania egzekucji. Lespinasse przez całe przedpołudnie wpatrywał się w ten kawałeczek papieru mający zaledwie kilka centymetrów kwadratowych. Ta kwadratowa kartka jest dla niego nagrodą, medalem za zwycięstwo przyznany przez najwyższe władze państwowe. Nie po raz pierwszy Lespinasse zdobywa takie laury. Już w szkole podstawowej co roku przynosił ojcu nagrody zdobyte dzięki pilnej pracy i łaskawości nauczycieli, którym okazywał szacunek... Łaskawość... na to Marcel nie mógł, jak się okazało, liczyć. Lespinasse westchnął, sięgnął po porcelanowy bibelocik, który królowała na biurku, tuż za skórzaną podkładką. Przesunął kartkę i postawił na niej ozdóbkę. Nie mógł się rozpraszać, musiał dokończyć pisanie przemówienia na najbliższą konferencję, ale jego myśli biegły ku kalendarzowi. Otworzył go, przewracał kartki, dwa, trzy, czte-

ry — tak, to tu. Bez wahania zapisał słowa „egzekucja Langerera”, a powyżej „obiad z Armande”. Teraz strona wypełniła się spotkaniami, narysował więc na niej krzyżyk. Zamknął kalendarz i zajął się przygotowaniem mowy. Kilka linijek i oto znowu sięgnął po wystający spod porcelany papier. Otworzył kalendarz, by przed krzyżykiem dodać cyfrę „5”. O tej godzinie stanie przy bramie więzienia Saint-Michel. W końcu Lespinasse wsunął kalendarz do kieszeni, odsunął złotą gilotynę do papieru, ustawił ją na biurku równolegle do pióra. Było południe i zastępca prokuratora poczuł głód. Wstał, wygładził kanty spodni i wyszedł na pałacowy korytarz.

Na drugim końcu miasta mecenas Arnal położył na biurku taką samą kartkę, którą otrzymał rano. Do gabinetu weszła sprzątaczką. Arnal patrzył na nią, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

— Panie mecenasie, pan płacze? — szepnęła sprzątaczką.

Arnal pochylił się nad koszem na śmieci, żeby splunąć żółcią. Wstrząsnął nim spazm. Stara Marthe zawahała się, nie wiedziała, co robić. Ale po chwili górę wziął zdrowy rozsądek, bo stara Marthe miała troje dzieci i dwoje wnucząt i napatrzyła się na wymioty. Podeszła, położyła rękę na czole starego mecenasa. I za każdym razem, kiedy pochylał się nad koszem, ona także się pochylała. Podała mu białą, bawełnianą chusteczkę, a gdy ocierał usta, jej spojrzenie zatrzymało się na kartce i tym razem to w oczach Marthe zabłysnęły łzy.

*

Tego wieczoru spotkaliśmy się u Charles'a. Siedząc na podłodze Jan, Catherine, Boris, Emil, Claude, Alonso, Stefan, Jacques, Robert i ja, utworzyliśmy krąg. Przekazywaliśmy sobie

z ręki do ręki list, każdy próbował, ale nikt nie potrafił znaleźć właściwych słów. Co napisać przyjacielowi, który idzie na śmierć? Nie zapomnimy cię, szepnęła Catherine. Tak myśli tu każdy. Jeżeli walka ma nas doprowadzić do odzyskania wolności, jeżeli choć jedno z nas przeżyje ten czas, nie zapomni o Marcelu i pewnego dnia poda twoje imię innym. Jan słuchał tych słów, sięgnął po pióro i napisał w jidysz kilka zdań, które do ciebie adresowaliśmy. Teraz strażnicy, którzy powiodą cię na śmierć, nie będą mogli przeczytać tego listu. Jan złożył kartkę, Catherine wzięła ją i wsunęła do kieszeni. Jutro oddają rabinowi.

Nie byliśmy pewni, czy ten list dotrze do skazańca, Marcel nie wierzy w Boga i prawdopodobnie nie zechce obecności księdza ani rabina. Ale kto wie? Może w tym nieszczęściu choć przez chwilę los okaże nam przychyłność. Obyś przeczytał tych parę słów napisanych, żeby ci powiedzieć, że jeśli kiedyś będziemy znowu wolni, to w dużej mierze dzięki twojej ofierze.

7

Była piąta rano tego smutnego dwudziestego trzeciego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. W jednym z biur w więzieniu Saint-Michel Lespinasse gasił pragnienie w towarzystwie sędziów, dyrektora oraz dwóch katów. Pano wie w czerni dostali kawę, a ci, którym robi się gorąco, jak wstępują na gilotynę — kieliszek wytrawnego białego wina. Lespinasse raz po raz zerkał na zegarek. Czekał, aż wskazówka obiegnie tarczę. „Już czas — powiedział — proszę powiadomić Arnala”. Stary adwokat nie chciał się do nich przyłączyć, czekał więc samotnie na dziedzińcu. Gdy ktoś dał mu znak, ruszył wraz z całym konduktem, skinął ręką strażnikowi i wyprzedził pozostałych.

Pora pobudki jeszcze nie nadeszła, ale wszyscy więźniowie byli już na nogach. Wiedzieli, że jeden z nich ma zostać stracony. Rozległ się szmer, głosy Hiszpanów mieszały się z głosami Francuzów, a wkrótce także Włochów, Węgrów, Polaków, Czechów i Rumunów. Szept przerodził się w śpiew, który wzniósł się i nabierał siły. Mieszały się różne akcenty,

ale słowa były te same. To *Marsylianka* wypełniła wnętrze więzienia Saint-Michel.

Arnal wszedł do celi; Marcel się obudził, spojrzął na różowiące się w okienku niebo i natychmiast zrozumiał. Arnal wziął go w ramiona. Przez jego ramię Marcel znowu patrzył w niebo i uśmiechał się. Szepnął do ucha starego adwokata: „Tak bardzo kochałem życie”.

Po chwili pojawił się fryzjer — trzeba było odsłonić kark skazańca. Przy szczęku nożyczek pukle włosów osuwały się na glinianą podłogę. Kondukt kroczył już więziennym korytarzem, gdzie po *Marsyliance* rozbrzmiała *Pieśń partyzantów*. Marcel przystanął u szczytu schodów, odwrócił się, wolno uniósł pięść i krzyknął: „Żegnajcie, towarzysze!”. Na krótką chwilę wszyscy zamilkli. „Żegnaj, towarzyszu. Niech żyje Francja!”, odpowiedzieli zgodnym chórem. I znowu rozbrzmiała *Marsylianka*, ale wtedy już Marcel zniknął współwięźniom z oczu.

Ramię w ramię — Arnal w todze, Marcel w białej koszuli — szli na spotkanie śmierci. Patrząc na nich z tyłu, trudno było powiedzieć, który wspiera którego. Dowódca straży wyjął z kieszeni paczkę gauloise'ów. Marcel sięgnął po papierosa, zapalka paliła się, skwiercząc i rzucając blask na jego twarz. Kłęby dymu wydobyły się z ust skazańca, wszyscy ruszyli w dalszą drogę. W progu drzwi wiodących na dziedziniec dyrektor więzienia zapytał więźnia, czy podać mu kieliszek rumu. Marcel rzucił okiem na Lespinasse'a i pokręcił głową.

— Niech pan lepiej da ten rum tamtemu — powiedział. — Potrzebuje go bardziej niż ja.

Papieros upadł na ziemię, a Marcel skinął głową na znak, że jest gotów.

Podszedł rabin, ale Marcel uśmiechnął się, dając mu do zrozumienia, że go nie potrzebuje.

— Dziękuję, rabinie, ale wierzę tylko w lepszy świat dla ludzi i być może pewnego dnia ludzie taki tu stworzą. Dla siebie i dla swoich dzieci.

Rabin wiedział, że Marcel nie chce jego wsparcia, lecz miał zadanie do wypełnienia, a czas naglił. Dlatego, nie zważając na nic, ten nabożny mąż odepchnął Lespinasse'a i podał Marcelowi księgę, szepcząc przy tym w jidysz: „W środku jest coś dla pana”.

Marcel zawahał się, wziął księgę, przerzucił karty. Znalazł między nimi nabazgrany ręką Jana list. Powiódł po nim palcami, od prawej ku lewej, zamknął oczy i oddał księgę rabinowi.

— Proszę im powiedzieć, że dziękuję i że gorąco wierzę w zwycięstwo.

Kwadrans po piątej drzwi otwarły się na jedno z mrocznych podwórzcy więzienia Saint-Michel. Po prawej stronie wznosiła się gilotyna. Przez delikatność kaci ustawili ją właśnie tu, żeby skazaniec zobaczył ją dopiero w ostatniej chwili. Z wieżyczek strażniczych niemieccy wartownicy cieszą oczy widowiskiem, które trwa na dole. „Trzeba przyznać, że dziwacznymi są ci Francuzi, w końcu to my jesteśmy przecież ich wrogami”, drwi jeden z nich. Jego rodak wzrusza tylko ramionami i wychyla się, żeby lepiej widzieć. Marcel wstępuje na gilotynę, odwraca się jeszcze do Lespinasse'a i mówi: „Moja krew spadnie na pańską głowę”, potem uśmiecha się i dodaje: „Umieram za Francję i lepszą ludzkość”.

Bez niczyjej pomocy Marcel ułożył się na desce, ostrze opadło ze świstem. Arnal wstrzymał oddech, wpatrując się w zasnuite lekkimi obłokami niebo, które wyglądało jak jedwabny szal. U stóp mecenasa bruk na dziedzińcu spłynął krwią. A kiedy wkładano zwłoki Marcela do trumny, kaci zajęli się już myciem gilotyny. Na ziemię rzucili kilka garści trocin.

Arnal odprowadził przyjaciela do miejsca ostatecznego spoczynku. Wyszedł na czoło konduktu. Otwarto bramę, wóz ruszył w drogę. Na rogu ulicy adwokat minął Catherine, ale jej nie rozpoznał.

Ukryte w bramie Catherine i Marianne obserwowały kondukt. Stukot końskich kopyt ucichł w oddali. Strażnik wywiesił na bramie więzienia obwieszczenie o egzekucji. Nic już nie można było zrobić. Pobladłe dziewczęta wyszły z kryjówki i odeszły ulicą. Marianne osłaniała usta chusteczką, ale było to marne lekarstwo na mdłości i ból. Dochodziła siódma, kiedy pojawiły się u Charles'a, gdzie na nie czekaliśmy. Jacques nie odezwał się, zacisnął tylko pięści. Boris rysował paznokciem kręgi na drewnianym stole, Claude siedział pod ścianą, patrząc na mnie.

- Musimy zabić dziś wroga — powiedział Jan.
- Bez przygotowania akcji? — zapytała Catherine.
- Jan ma rację — rzucił Boris.

*

Latem o ósmej wieczorem jest jeszcze zupełnie widno. Ludzie spacerują, korzystając z przyjemnego ciepła, które przychodzi po upalnym dniu. W kawiarnianych ogródkach jest tłoczno, zakochani całują się w zaułkach. W tym tłumie Boris wygląda niegroźnie, młody człowiek, jakich tu wielu. Lecz on trzyma rękę na spuście pistoletu, który schował do kieszeni. Już od godziny poluje na ofiarę, ale nie byle jaką, chce pomścić Marcela, zabijając oficera ze złoconymi galonami, z gwiazdkami na mundurze. Jak dotąd natknął się tylko na dwóch niemieckich żołdaków w polowych mundurach, młodych i nie dość ważnych, żeby zasłużyć na śmierć. Idzie więc dalej przez skwer Lafayette'a, potem ulicą d'Alsace i w górę, chodnikiem placu Esquirol. W dali usłyszał orkiestrę i kieruje się w stronę muzyki.

Na estradzie grała niemiecka orkiestra. Boris znalazł wolne krzesło i usiadł. Przymknął oczy, czekając, aż jego serce zacznie bić spokojniej. Nie mógł wrócić, nie wypełniwszy zadania, nie mógł sprawić zawodu kolegom. Oczywiście, że nie na taką zemstę zasłużył Marcel, ale decyzja zapadła. Otworzył oczy — opatrność uśmiechnęła się do niego, butny oficer usiadł w pierwszym rzędzie. Boris popatrzył na czapkę, którą tamten się wachlował. Na rękawie jego munduru widniała czerwona szarfa z kampanii rosyjskiej. Ten oficer musiał zabić wielu, żeby zasłużyć sobie na odpoczynek w Tuluzie. Pewnie prowadził na śmierć żołnierzy, skoro teraz może spokojnie cieszyć się letnim wieczorem w południowo-zachodniej Francji.

Po koncercie oficer wstał, a Boris ruszył za nim. Parę kroków dalej, na środku ulicy, rozległo się nagle pięć wystrzałów, ogień buchnął z lufy broni naszego kolegi. Zrobiło się zbiegowisko. Boris odszedł.

Ulicą Tuluzy krew niemieckiego oficera spływała do rynsztoku, a na tumskim cmentarzu, pod ziemią, krew Marcela już zastygła.

*

„La Depeche” donosiła o akcji Borisa. W tym samym numerze podano informację o egzekucji Marcela. Mieszkańcy miasta błyskawicznie powiązali ze sobą te dwa fakty. Ci, którzy byli w to zamieszani, zapewne zrozumieli, że nie przelewa się bezkarnie krwi żołnierza podziemia, inni dowiedzieli się, że tuż obok nich ludzie walczą o wolność.

Prefekt regionu natychmiast wydał komunikat, zapewniając okupantów o dobrej woli podległych mu służb. „Kiedy dowiedziałem się o zamachu — pisał — uznałem za swój obowiązek wyrazić oburzenie ludności w rozmowie z dowódcą sztabu głównego oraz niemieckiej służby bezpieczeństwa”. Intendent

miejscowej policji dorzucił własne wersy do kolaboranckiej twórczości prozatorskiej: „Każdy, kto umożliwi wykrycie sprawcy lub sprawców odrażającego mordu dokonanego z broni palnej na niemieckim żołnierzu dnia 23 lipca przy ulicy Bayard w Tuluzie, otrzyma od władz wysoką nagrodę pieniężną”. Koniec cytatu! Trzeba dodać, że intendent policji Barthenet został niedawno powołany na to stanowisko. Przez kilka lat wiernej służby w Vichy wyrobił sobie opinię człowieka skutecznego i wzbudzającego respekt, co zaowocowało wymarzonym awansem. Kronikarz „La Depeche” powitał tę nominację bardzo przychylnie na kartach dziennika. My także, choć na własny sposób, uznaliśmy ją za godną uwagi. I żeby powitać nowego intendenta, rozrzuciliśmy po całym mieście odezwę. W kilku zdaniach informowaliśmy w niej o zastrzeleniu niemieckiego oficera w odwecie za śmierć Marcela.

Nie czekaliśmy na niczyje rozkazy. Rabin powtórzył Catherine, co Marcel powiedział Lespinasse'owi, zanim stanął na szafocie. „Moja krew spadnie na twoją głowę”. Przyjęliśmy te słowa jak testament pozostawiony przez towarzysza i nikt nie miał wątpliwości, jaka była jego ostatnia wola. Dostaniemy głowę prokuratora. Przedsięwzięcie wymagało długich przygotowań. Nie zabijało się prokuratorów tak po prostu, na środku ulicy. Funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości niewątpliwie miał ochronę, przemieszczał się zawsze w towarzystwie kierowcy, a nie wchodziło w grę, by akcja naszej brygady naraziła mieszkańców na choćby najmniejsze ryzyko. W przeciwieństwie do tych, którzy jawnie kolaborowali z nazistami, denuncjowali, aresztowali, torturowali, deportowali, do tych, którzy wydawali wyroki, rozstrzeliwali, do tych, którzy, wolni od jakichkolwiek rozterek, udrapowali na sumieniu toę tak zwanego obowiązku, by nasycić rasistowską nienawiść, a więc —

w przeciwieństwie do nich wszystkich, choć byliśmy gotowi ubrudzić sobie ręce, te ręce miały pozostać czyste.

*

Na prośbę Jana Catherine od kilku tygodni organizowała komórkę wywiadu. To znaczy, że wraz z kilkoma przyjaciółkami — Damirą, Marianne, Sophie, Rosine i Osną — dziewczynami, których nie wolno nam było kochać, a które jednak kochaliśmy, zbierała informacje potrzebne do przygotowania naszych akcji.

Przez wiele miesięcy dziewczyny z brygady wyspecjalizowały się w śledzeniu, ukradkowym fotografowaniu, ustalaniu tras przejazdu oraz rozkładu zajęć i zbieraniu informacji w sąsiedztwie. Dzięki nim mogliśmy wiedzieć prawie wszystko o tych, którzy byli naszym celem. Nie, nie czekaliśmy na niczyje rozkazy. A naszą listę otwierał prokurator Lespinasse.

8

Jacques poprosił, żebym odszukał Damirą i przekazał jej rozkaz dotyczący nowego zadania. Mieliśmy się spotkać w barze, gdzie nasi koledzy bywali aż nazbyt często, dopóki Jan nie zakazał nam pokazywania się w tym lokalu, jak zwykle ze względu na bezpieczeństwo.

Kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, doznałem szoku. Miałem rude włosy i jasną cerę tak bardzo upstrzoną piegami, że ludzie pytali, czy opalałem się przez durszlak, a w dodatku nosiłem okulary. Damira była Włoszką, a co ważniejsze w moich oczach krótkowidza, także była ruda. Uznałem, że to musi wytworzyć między nami szczególną więź. No cóż, pomyliłem się już w ocenie celowości gromadzenia zapasów broni przez gaullistowskich partyzantów, a jeśli chodzi o Damirę, niczego tak naprawdę nie byłem pewien.

Siedząc przy daniu z wyki, mieliśmy wyglądać na parę zakochanych, tyle że Damira nie była we mnie zakochana, a ja zdążyłem się w niej zadurzyć. Gapiłem się na nią, jak osiemnastoletni chłopak z marchewkowymi włosami na głowie, patrzy na podobną do siebie istotę płci przeciwnej, którą w końcu odnalazł. I tym razem przeciwieństwo było dla mnie wyjątkowo cenne.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytała Damira.
- Tak sobie!
- Ktoś nas śledzi?
- Nie, wcale nie!
- Jesteś pewien? Bo z twojego spojrzenia zrozumiałam, że chcesz mnie uprzedzić o niebezpieczeństwie.
- Damiro, daję słowo, że nic nam nie grozi!
- To dlaczego pot wystąpił ci na czoło?
- Bo w tym barze panuje piekielna duchota.
- Nie zauważyłam.
- Jesteś Włoszką, a ja pochodzę z Paryża, więc dla ciebie to normalne.
- Może chcesz, żebyśmy się przeszli?

Gdyby Damira zaproponowała mi kąpiel w kanale, zgodziłbym się bez wahania. Zanim zdążyła zamknąć usta, ja już poderwałem się z miejsca i podszedłem, żeby wysunąć jej krzesło i pomóc wstać.

— Miło spotkać uprzejmego mężczyznę — powiedziała z uśmiechem.

Temperatura mojego ciała gwałtownie wzrosła i po raz pierwszy od wybuchu wojny wyglądałem na dobrze odżywionego młodzieńca, tak bardzo zaróżowiły się moje policzki.

Szliśmy razem w stronę kanału, a ja już wyobrażałem sobie, jak zanurzam się z moją cudowną rudowłosą Włoszką w namiętnym strumieniu miłości. Pomysł był żałosny, bo kąpiel pomiędzy dwoma żurawiami i trzema barkami naładowanymi węglem nie miałyby w sobie szczypty romantyzmu. Ale wtedy nic nie mogło wyrwać mnie z rozmarzenia. Zresztą, kiedy szliśmy przez plac Esquirol, lądowałem spitfire'em (którego silnik zawiódł podczas loopingu) na polu tuż obok uroczej małej ферmy w Anglii, gdzie zamieszkaliśmy z Damirą, gdy oczekiwała naszego drugiego dziecka (spodziewaliśmy się, że będzie tak rude, jak nasza starsza córeczka). Na domiar szczę-

ścia, zbliżała się pora herbaty. Damira wyszła mi na spotkanie, niosąc w kieszeniach fartucha w czerwono-zieloną kratkę kilka ciepłych ciasteczek, które właśnie upiekła. Trudno, zajmę się naprawą samolotu po podwieczorku; ciasta Damiry zawsze były pyszne, zadawała sobie tyle trudu, żeby piec je specjalnie dla mnie. Mogłem pozwolić sobie, by na chwilę zapomnieć o oficerskich obowiązkach i należycie okazać wdzięczność żonie. Siedzę przed domem, Damira wsparła głowę o moje ramię i westchnęła oczarowana tą chwilą zwyczajnego szczęścia.

— Jeannot, chyba przysnąłeś.

— Co takiego? — szepnąłem, podskakując.

— Trzymasz głowę na moim ramieniu!

Czerwony jak burak, natychmiast się wyprostowałem. Spit-fire, domek na wsi, herbata i ciasteczka zniknęły bez śladu, został tylko kanał, którego ciemne wody połyskiwały w słońcu, i ławka, na której siedzieliśmy.

Chcąc choć pozornie odzyskać powagę, kaszlnąłem i nie wążąc się spojrzeć na Damirę, próbowałem nawiązać bliższą znajomość.

— Jak weszłaś w skład brygady?

— Miałaś chyba przekazać mi rozkazy? — ucięła ostro.

— Tak, owszem, ale chyba możemy chwilę porozmawiać?

— Może ty tak, ale nie ja.

— Odpowiedz, a potem, daję słowo, pomówimy o robocie.

Damira wahała się przez chwilę, w końcu jednak uśmiechnęła się i zgodziła odpowiedzieć na moje pytanie. Na pewno zauważyła, że mi się podoba, bo dziewczyny zawsze to wiedzą, często nawet zanim my sami to zrozumiemy. Była wobec mnie wyrozumiała, bo przecież wiedziała, że i mnie, jak wszystkim nam — może także jej — ciąży samotność, więc postanowiła zrobić mi przyjemność i trochę ze mną pogawędzić. Nadszedł wieczór, jednak do nocy zostało dużo czasu — godzina poli-

cyjna zaczynała się za kilka godzin. Czy tych dwoje dzieciaków na ławce nad kanałem w latach okupacji robiło coś złego, korzystając z czasu, który wymykał się z rąk. Kto mógł wiedzieć, ile go nam jeszcze zostało?

— Nie wierzyłam, że wojna dojdzie aż do nas — powiedziała Damira. — Ale przyszła któregoś wieczoru alejką przed domem. Szedł nią mężczyzna ubrany jak mój ojciec, jak robotnik. Tata wyszedł mu na spotkanie i rozmawiali dość długo. A potem ten człowiek odszedł. Tata wrócił prosto do kuchni i tłumaczył coś mamie. Zauważyłam, że się rozpłakała, mówiła: „Jeszcze ci mało?”. Powiedziała tak, bo jej brat był torturowany we Włoszech przez Czarne Koszule. U nas tak nazywa się faszystów Mussoliniego, to jakby tutejsza milicja.

Nie mogłem zdawać matury z przyczyn, które już znamy, ale dobrze wiedziałem o Czarnych Koszulach. Mimo to wolałem nie ryzykować i nie przerwałem Damirze.

— Zrozumiałam, dlaczego ten facet rozmawiał z ojcem w ogródku; a tata, jak zawsze honorowy, tylko na to czekał. Wiedziałam, że się zgodził, w swoim imieniu i w imieniu synów. Mama płakała, bo mieliśmy zaangażować się w walkę. Ja czułam się dumna i szczęśliwa, ale odesłali mnie do mojego pokoju. U nas dziewczęta nie mają takich samych praw jak chłopcy. U nas jest tata, moi głupi bracia, a potem, daleko w tyle, mama, no i ja. Zapewniam cię, że o chłopakach wiem wszystko, bo mam ich w domu czterech.

Kiedy Damira to powiedziała, pomyślałem o moim zachowaniu od chwili, gdy usiedliśmy przy stoliku w barze „Talerz Wyki”, i stwierdziłem, że szansa, żeby nie wyczuła, że mnie piekielnie pociąga, oscylowała wokół zera. Nie próbowałem jej przerywać, nie byłbym w stanie wydusić z siebie słowa. Damira ciągnęła.

— Odziedziczyłam charakter po ojcu, nie po matce. W dodatku wiem, że ojciec się cieszy, że jestem do niego podobna.

Jestem taka jak on — zbuntowana. Nie potrafię się pogodzić z niesprawiedliwością. Mama zawsze starała się mnie nauczyć milczenia, tata, wręcz przeciwnie, zachęcał, żebym reagowała, nie pozwalając sobie manipulować. Tak mnie pouczał, kiedy nie było braci, bo w naszej rodzinie istnieje ustalony ład.

Kilka metrów dalej manewrowała właśnie barka. Damira zamilkła, jakby flisacy mogli nas usłyszeć. Jej obawy nie miały sensu przy wietrze, który świstał przy żurawiach, ale nie ponaglałem jej. Usłyszeliśmy, jak barka odpływa w stronę śluzy, i Damira podjęła:

— Znasz Rosine?

Rosine, Włoszka, lekki, śpiewny akcent, głos przyprawiający o dreszcz, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, niebieskooka brunetka o długich włosach — dziewczyna jak ze snu.

Na wszelki wypadek powiedziałem cicho:

— Tak, chyba spotkałem ją raz czy dwa.

— Nigdy o tobie nie wspominała.

Nie zdziwiło mnie to, więc wrzuciłem ramionami, jak czynimy często w starciu z rzeczywistością, wobec której jesteśmy bezradni.

— Dlaczego pytasz o Rosine?

— Bo to dzięki niej znalazłam się w brygadzie — odparła Damira. — Pewnego wieczoru w naszym domu było zebranie. Przyszła Rosine. Kiedy chciałam, żebyśmy poszły już spać, powiedziała, że jest tu nie po to, żeby przemocować, ale żeby uczestniczyć w zebraniu. Wspomniałam ci już może, że nie cierpię niesprawiedliwości?

— Tak, mówiłaś o tym niespełna pięć minut temu!

— Tego już było za wiele. Zapytałam, dlaczego ja nie mogę być na tym zebraniu, i usłyszałam od ojca, że jestem za młoda. A przecież Rosine jest w moim wieku. Postanowiłam więc sama decydować o swoim życiu i po raz ostatni usłuchałam ojca. Kiedy Rosine przyszła do mojego pokoju, nie spałam.

Czekałam na nią. Przegadałyśmy całą noc. Wyznałam jej, że chcę być taka jak ona, jak moi bracia, i błagałam, żeby umożliwiła mi spotkanie z dowódcą brygady. Parsknęła śmiechem i powiedziała, że dowódca jest w moim domu i teraz śpi w salonie. Bo dowódcą był kolega mojego ojca, to on przyszedł wtedy porozmawiać z nim w ogrodzie. Po jego wyjściu mama płakała.

Damira zamilkła, jakby chciała się upewnić, czy uważnie słucham jej opowieści, ale nie musiała tego robić, bo wtedy gotów byłam uczynić wszystko, o co by mnie poprosiła, a nawet to, o co by nie poprosiła.

— Nazajutrz poszłam pomówić z dowódcą, kiedy mama i tata byli zajęci. Wysłuchał mnie i powiedział, że w brygadzie każdy się przyda. Dodał, że na początku nie będę dostawała trudnych zadań, a potem zobaczymy. Teraz wiesz już wszystko. Może przekazesz mi wreszcie te rozkazy?

— A co na to twój ojciec?

— Początkowo niczego się nie domyślał, ale w końcu odkrył, co knuję, za jego plecami. Wydaje mi się, że rozmawiał o tym z dowódcą i piekielnie się pokłócili. Tata zrobił to tylko ze względu na ojcowski autorytet, bo wciąż jestem w brygadzie. Odtąd udajemy, że nic się nie stało, ale czuję, że jeszcze bardziej się do siebie zbliżyliśmy. No dobrze, Jeannot, przekaz mi te rozkazy. Naprawdę muszę już wracać.

— Damiro?

— Słucham?

— Mogę ci powierzyć sekret?

— Pracuję w podziemnym wywiadzie, więc jeśli komuś można powiedzieć coś w tajemnicy, to właśnie mnie!

— Zupełnie zapomniałem, czego dotyczy ten rozkaz...

Damira spojrzała na mnie bardzo uważnie, a potem dziwnie się uśmiechnęła, rozbawiona i wściekła na mnie.

— Naprawdę jesteś idiotą, Jeannot.

Ale przecież to nie była moja wina, że od godziny pociły mi się ręce, że zaschło mi w ustach, że uginały się pode mną kolana. Przepraszałem ją, jak potrafiłem.

— Jestem pewien, że zaraz sobie przypomnę, ale teraz mam pustkę w głowie.

— Trudno, idę — powiedziała Damira. — Może przez noc wróci ci pamięć. Najpóźniej jutro rano chcę wiedzieć, o co chodzi. Do diabła, Jeannot, to wojna, a nie zabawa!

Przez kilka kolejnych miesięcy podłożyłem sporo bomb, niszcząc żurawie, niemiecką centralę telefoniczną i zabijając kilku szkopów. Nocami śnił mi się niemiecki oficer, który chichocząc, patrzył na pisuar. Jeżeli ktoś uważał, że to, co robimy, ma sens, to właśnie ja. Ale zaburzenia pamięci, powiedzmy krótko — wszelkie zaburzenia — nie dają się tak łatwo kontrolować. Zaproponowałem Damirze, że odprowadzę ją kawałek i może po drodze przypomnę sobie rozkaz.

Kiedy mijaliśmy plac Esquirol, gdzie nasze drogi się rozchodziły, Damira stanęła i zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem.

— Posłuchaj, Jeannot, u nas historyjki między dziewczynami a chłopakami są zabronione, pamiętasz o tym?

- A mówiłaś, że jesteś zbuntowana!

— Nie mówię o ojcu, ty głupku, ale o brygadzie. To zabronione i niebezpieczne, więc spotykajmy się w związku z akcjami, a o reszcie zapomnijmy, zgoda?

W dodatku była taka prostolinijna! Wybełkotałem, że doskonale to rozumiem i że tak właśnie traktuję naszą znajomość, a ona odpowiedziała, że teraz, kiedy wszystko jest już jasne, może uda mi się odzyskać pamięć.

— Masz się pokrećć w pobliżu ulicy Pharaon, interesuje nas dowódca milicji, niejaki Mas — powiedziałem. — Przyśięgam, że przypominałem sobie o tym nagle, właśnie teraz!

— Kto przeprowadzi akcję? — zapytała Damira.

— Ponieważ to milicjant, są duże szanse, że zajmie się nim Boris, ale na razie nic nie zostało jeszcze oficjalnie ustalone.

— Na kiedy to planujecie?

— Prawdopodobnie na połowę sierpnia.

— Czyli mam tylko kilka dni, to mało, poproszę więc Rosine, żeby mi pomogła.

— Damiro?

— Tak?

— Gdybyśmy nie byli... to znaczy... gdyby nie względy bezpieczeństwa?

— Przestań, Jeannot, dwójka takich rudzielców uchodziłaby za rodzeństwo, a poza tym...

Damira nie dokończyła zdania, pokiwała tylko głową i odeszła. Stałem na placu z opuszczonymi rękami, kiedy odwróciła się podeszła do mnie.

— Masz piękne, niebieskie oczy, Jeannot, a twoje spojrzenie krótkowidza zza tych grubych szkieł rozczuli niejedną dziewczynę. Dlatego postaraj się przeżyć tę wojnę, a nie wątpię, że znajdziesz szczęście w miłości. Dobranoc, Jeannot.

— Dobranoc, Damiro.

Żegnając się z nią tego wieczoru, nie wiedziałem, że była do szaleństwa zakochana w Marcu. Spotykali się w tajemnicy, podobno chcieli nawet razem zwiedzać muzea. Marc był wykształcony, pokazywał Damirze kościoły, mówił o malarstwie. Żegnając się z nią tego wieczoru, nie wiedziałem także, że w kilka miesięcy potem Marc i Damira zostaną razem aresztowani i że Damira trafi do obozu koncentracyjnego Ravensbruck.

9

Damira miała zebrać informacje o milicjancie Masie. Jan polecił równocześnie Catherine i Marianne śledzić Lespinasse'a. Jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać, Jan znalazł jego adres w książce telefonicznej. Prokurator mieszkał w mieszczańskim domu na bliskich przedmieściach Tuluzy. Na furtce ogrodzenia miał nawet mosiężną tabliczkę z nazwiskiem. Nasze koleżanki były zdumione, że nie stosował żadnych środków ostrożności. Chodził bez obstawy, sam prowadził samochód, jakby niczego się nie obawiał. A przecież gazety zamieszczały wiele artykułów, podkreślając, że to dzięki niemu udało się unieszkodliwić groźnego terrorystę. Nawet radio Londyn mówiło o odpowiedzialności Lespinasse'a za egzekucję Marcela. Nie było klienta w kawiarni ani robotnika w fabryce, który nie znałby teraz jego nazwiska. Tylko kompletny dureń mógł myśleć, że Resistance na niego nie poluje. Być może jednak — jak po dwóch dniach śledztwa wywnioskowały dziewczyny — pełen pychy i arogancji urzędnik uważał za niewiarygodne, by ktokolwiek ośmielił się dokonać na niego zamachu.

Zadanie naszych dwóch koleżanek było niełatwe. Ruch na ulicze właściwie nie istniał, co w chwili przeprowadzania akcji z pewnością było ułatwieniem, ale tymczasem samotna kobieta po prostu rzucała się w oczy. Jak wszystkie zwiadowczynie dziewczyny spędzały większość dnia, krążąc po okolicy, czasami ukrywały się za drzewem. W ten sposób przez tydzień obserwowały prokuratora.

Sprawa komplikowała się dodatkowo, bo nasz cel zdawał się nie mieć stałego rozkładu dnia. Lespinasse poruszał się tylko czarnym peugeotem 202, nie można więc było śledzić go w mieście. Po pewnym czasie dziewczęta stwierdziły, że codziennie wychodzi z domu około wpół do czwartej po południu. A zatem musieliśmy planować naszą akcję na tę godzinę, napisały w raporcie. Dłuższa obserwacja nie miała sensu. Nie mogliśmy go śledzić, gdyż odjeżdżał autem, a w Pałacu Sprawiedliwości trudno było natrafić na jego ślad bez działań, które mogły zwrócić uwagę na młode kobiety.

Kiedy Marius przeprowadził w piątkowy rano ostatnią inspekcję i wybrał drogi wycofania się, akcję zaplanowano na najbliższy poniedziałek. Trzeba było działać szybko. Jan podejrzewał, że Lespinasse żyje tak spokojnie, bo korzysta z dyskretnej ochrony policji. Catherine zarzekała się, że niczego takiego nie zauważyła, Marianne w pełni się z nią zgadzała, ale Jan wszystko brał pod uwagę i miał rację. Dodatkowym powodem pośpiechu był fakt, że jak to bywa latem, nasz cel mógł w każdej chwili wyjechać na wakacje.

*

Zmęczony przeprowadzonymi w tym tygodniu akcjami, głodny, jak jeszcze nigdy, wyobrażałem sobie, że spędzę niedzielę, leżąc w łóżku i marząc. Przy odrobinie szczęścia zobaczę się z bratem. Pójdziemy razem na długi spacer wzdłuż kanału, jak

dwójka dzieciaków, które nie czują głodu ani strachu, jak dwóch dorastających chłopaków, którzy rozglądają się i wachają perfumy dziewcząt wśród zapachów lata. A jeżeli wiatr okaże się naszym przyjacielem, może uniesie lekko spódniczki dziewcząt, tylko odrobinę, by odsłonić kolano, ale wystarczająco, żeby poczuć dreszczyk i zapuścić się nieco dalej w marzeniach, kiedy wieczorem wrócimy do ponurych, wilgotnych pokoików.

Myślałem tak, zapomniawszy o pośpiechu Jana, ale Jacques położył kres iluzjom, pukając do drzwi. Przysięgałem sobie, że prześpię jutrzejsze przedpołudnie, ale przepadło, sprawa była ważna. Jacques rozłożył plan miasta i pokazał palcem skrzyżowanie. Jutro po południu, punktualnie o piątej, miałem spotkać się z Emilem i przekazać mu paczkę odebraną wcześniej od Charles'a. Niczego więcej nie musiałem wiedzieć. Jutro wieczorem wyruszali na akcję z nowym rekrutem, który miał zabezpieczać odwrót, nijakim Guyem, siedemnastolatkiem i niezrównanym rowerzystą. Jutro wieczorem nikt z nas nie zazna spokoju, dopóki koledzy nie wrócą cali i zdrowi.

*

W sobotę rano niebo się rozchmurzyło, pozostało na nim tylko kilka puchowych obłoków. Rozumiesz, że gdyby życie toczyło się jak należy, wdychałbym zapach angielskich gazonów i sprawdzał opony mojej maszyny, a mechanik dałby mi znak, że wszystko jest w porządku. Wtedy wskoczyłbym do kabiny, zamknąłbym ją i poleciał na zwiad. A tymczasem słyszałem, jak matka Dublanc wchodzi do kuchni i szuranie jej nóg wyrwało mnie ze świata marzeń. Włożyłem marynarkę, spojrzałem na zegarek — była siódma. Musiałem iść do Charles'a po paczkę, którą miałem przekazać Emilowi. A zatem — kierunek przedmieście Tuluzy. Dotarłem do Saint-Jean i ruszyłem wzdłuż torów kolejowych, jak zwykle. Pociągi już od

dawna nie kursowały po starym torowisku do Loubers. Łagodny wietrzyk owiewał mi kark, postawiłem kołnierz i zagwizdałem *Czerwone wzgórze*. W dali zobaczyłem mały, opuszczony dworzec. Zapukałem do drzwi i Charles zaprosił mnie do środka skinieniem ręki.

— Ty chcesz kafee? — zapytał w swoim uroczym narzeczu.

Coraz lepiej rozumiem przyjaciela Charles'a, bo w końcu wystarczy pomieszać jakieś słowo polskie, jakieś w jidysz, dorzucić trochę hiszpańskiego, a do tego francuską melodykę zdania, i gotowe. Tego dziwnego języka Charles nauczył się przez lata wygnańczych wędrówek.

— Deine paczka spakowana pod eskabar, nigdy nie wiadomo, ki obleci strach. Ty dieras Jacques, że ja prepare pakunek. Słysać będzie na desse kilometras. Powiedz mu, żeby uważali, po iskrze mają zwei mitutes, niedużo, a może trocha mniej.

Kiedy uporałem się z przekładem, mimowolnie zacząłem dokonywać obliczeń. Dwie minuty, czyli czas spalania dwudziestu milimetrów lontu, dzieliło życie i śmierć moich przyjaciół. Dwa centymetry, żeby podpalić to cholerstwo, podłożył je i szukać drogi ucieczki. Charles spojrzął na mnie i wyczuł moje zaniepokojenie.

— Ja prenda zawsze margines bezpieczeństwa, dla twoich kolegów — dodał z uśmiechem, jakby chciał mnie uspokoić.

Niesamowity był uśmiech naszego Charles'a. Stracił przednie zęby podczas nalotu, co — muszę dodać na jego usprawiedliwienie — nie poprawiło jego wymowy. Zawsze w łachmanach, dla większości posługujący się niezrozumiałym bełkotem, o dziwo, to właśnie on dawał mi największe poczucie bezpieczeństwa. Czy to za sprawą mądrości, która wzywała z jego oczu? Determinacji? Energii? Radości życia? Jakim cudem tak młody był tak dorosły? Wiele już przeżył ten nasz Charles. W Polsce został aresztowany, bo jego ojciec był robotnikiem, a on — komunistą. Spędził w więzieniu kilka lat. Kiedy odzys-

kał wolność, jak paru innych towarzyszy pojechał walczyć do Hiszpanii razem z Marcellem Langerem. Droga z Łodzi w Pireneje nie była łatwa, zwłaszcza dla kogoś bez dokumentów i pieniędzy. Lubiłem słuchać, jak wspominał o przeprawie przez hitlerowskie Niemcy. Nie po raz pierwszy poprosiłem, żeby opowiedział mi o swoich przeżyciach. Charles wiedział, że już je znam, ale te rozmowy były dla niego okazją do nauki francuskiego, a mnie sprawiały przyjemność, więc usiadł na krześle i rozwinął bogactwo swej barwnej mowy.

Wsiadł do pociągu bez biletu, za jedyną przepustkę mając swoją bezczelność, i rzucając wyzwanie losowi, zajął miejsce w pierwszej klasie, w przedziale pełnym oficerskich mundurów. Spędził podróż na pogawędkach. Wojskowi uznali go za sympatycznego chłopaka, a konduktor wolał nikogo o nic nie pytać w tym przedziale. Po przyjeździe do Berlina wytłumaczyli mu nawet, jak dotrzeć przez miasto na dworzec, z którego ruszały pociągi do Akwizgranu. Potem do Paryża, a stamtąd autobusem do Perpignan, by już piechotą przeprawić się przez góry. Za granicą autokary wiozły bojowników do Albacete, by w polskiej brygadzie wzięli udział w bitwie o Madryt.

Po klęsce, wraz z tysiącami uchodźców, przeprawił się przez Pireneje i wrócił na granicę, gdzie już czekali żandarmi. Trafił do obozu dla internowanych w Vernet.

— Gotowałem dla wszystkich więźnie, każdemu dawałem dobrą rację! — mówił z dumą.

Przesiedział w sumie trzy lata, aż przyszedł sygnał do ucieczki. Zrobił piechotą dwieście kilometrów, idąc do Tuluzji.

To nie głos Charles'a tak mnie uspokajał, ale jego opowieść. W jego historii znajdowałem szczyptę nadziei, przywracającą sens mojemu życiu. Ja także pragnę obłaskawić szczęście, w które on gorąco wierzy. Pewnie wielu już by się poddało.

Ale nawet przyparty do muru Charles nie przyznałby się, że jest więźniem. Po prostu zastanowiłby się, jak obejść ten mur.

— Musisz pójść — rzucił Charles. — Jest pora obiedna i na ulicach pusto.

Podszedł do schodów, wyciągnął paczkę i postawił ją na stole. Zabawne, że zapakował bomby w gazetę. Można w niej przeczytać artykuł o zamachu dokonanym przez Borisa, dziennikarz nazwał go terrorystą, a nas wszystkich oskarżył o burzenie ładu i spokoju. Milicjant to ofiara, my byliśmy katami — oto swoiste spojrzenie na historię, która dzień za dniem toczy się na ulicach naszych okupowanych miast.

Ktoś zapukał cicho do drzwi, Charles nie reagował, a ja wstrzymałem oddech. Do pokoju weszła mała dziewczynka i twarz mojego kolegi rozjaśniła się w uśmiechu.

— To moja nauczycielka francuskiego — powiedział wesoło.

Dziewczynka skoczyła mu na szyję i pocałowała. Miała na imię Camille. Michele, jej mama, wynajęła Charles'owi mieszkanie na opuszczonym dworcu. Tata Camille tuż po wybuchu wojny trafił do obozu jenieckiego w Niemczech, a Camille nigdy o nic nie pytała. Michele udawała, że nie wie o podziemnej działalności Charles'a. Był dla niej, podobnie jak dla wszystkich sąsiadów, ogrodnikiem słynącym z najwspanialszego warzywnika w dzielnicy. Czasem, w sobotę, Charles poświęcał królika ze swojej hodowli, żeby przygotować dobry obiad. Z rozkoszą zjadłbym odrobinę takiej potrawy, ale musiałem już iść. Charles porozumiewawczo skinął głową, pożegnałem się więc z małą Camille i jej mamą i odszedłem z paczką pod pachą. Wokół są nie tylko milicjanci i kolaboranci, ale także ludzie tacy jak Michele, którzy wiedzą, że to, co robimy, jest słuszne, i podejmują ryzyko, żeby nas wspierać, każdy na swój sposób. Za drewnianymi drzwiami słyszałem jeszcze głos Charles'a powtarzający za pięcioletnią nauczycielką starannie

dobrane słowa: „Krowa, kurczak, pomidor”, a gdy odchodziłem, głośno burczało mi w żołądku.

*

Była punktualnie piąta. Spotkałem się z Emilem w miejscu wskazanym mi przez Jacques'a na planie miasta i oddałem mu paczkę. Charles podłączył do bomb dwa granaty. Miałem ochotę powiedzieć Emilowi: „Do zobaczenia wieczorem”, ale chyba byłem przesadny, bo postanowiłem zamilknąć.

— Masz papierosa? — zapytał.

— To ty palisz?

— Nie, ale chodzi o podpalenie lontów.

Po chwili szperania w kieszeniach spodni podałem mu pomięta paczkę gauloise'ów. Zostały dwa papierosy. Emil skinął mi ręką i zniknął za rogiem ulicy.

Zapadła noc, a wraz z nią nadciągnął drobny deszcz. Bruk lśnił jak polany tłuszczem. Emil był spokojny, bomby Charles'a nigdy nie zawodziły. Ta konstrukcja była prosta; trzydziestocentymetrowa tuleja z solidnego stopu, złączka rynny podwędzona gdzieś na ulicy. Po obu stronach była zatkana, miała otwór, a także lont biegnący w głąb materiału wybuchowego. Nasi mieli podłożyć bomby przed drzwiami baru, a potem wrzucić przez okno granaty. Ci, którym udałooby się uciec ze środka, natknęliby się na fajerwerki Charles'a.

Tego wieczoru przeprowadzali akcję we trzech: Jacques, Emil i nowy mały, który miał zabezpieczać odwrót. Dano mu naładowany pistolet — trzymał go w gotowości w kieszeni, żeby strzelać w powietrze, gdyby przechodnie zbliżali się do miejsca wybuchu, albo tak, jak ustalono, gdyby hitlerowcy podjęli pościg. Wszyscy byli już na ulicy, gdzie znajdował się

ich cel. W restauracji trwał bankiet dla niemieckich oficerów, okna były rzęsiście oświetlone. Szykował się poważny zamach, bo wewnątrz zebrało się około trzydziestu wrogów.

Trzydziestu oficerów to cała masa belek i gwiazdek na zielonych płaszczach Wehrmachtu pozostawionych w szatni. Emil przeszedł ulicą, po raz pierwszy minął oszklone drzwi lokalu. Ledwie na nie zerknął, gdyż nie mógł ryzykować, że zwróci na siebie uwagę. Wtedy zobaczył tę kelnerkę. Musiał znaleźć jakiś sposób, by ją ocalić, przedtem jednak należało unieszkodliwić dwóch stojących na warcie policjantów. Jacques niespodziewanie chwycił jednego z nich za gardło i zawłókł w pobliski zaułek. Tam kazał mu zniknąć, a przerażony policjant posłusznie uciekł. Ten, którym zajął się Emil, nie poddawał się tak łatwo. Emil łokciem zrzucił mu z głowy kepi i wymierzył potężny cios rękojeścią rewolweru. Ogłuszonego przeciągnął w ten sam zaułek, gdzie za jakiś czas policjant miał się ocknąć z zakrwawionym czołem i paskudnym bólem głowy. Pozostała jeszcze obsługująca oficerów kelnerka. Jacques nie bardzo wiedział, jak postąpić. Emil zaproponował, żeby skinąć na nią, ale było to dość ryzykowne, bo gdyby wszczęła alarm, konsekwencje mogłyby okazać się dramatyczne. Chyba ci już mówiłem, że nigdy nie zabijaliśmy niewinnych ludzi, nawet durniów, więc trzeba było ją oszczędzić, chociaż usługiwała hitlerowcom, podając im jedzenie, którego nam tak dotkliwie brakowało.

Jacques podszedł do okna. W oczach tych, którzy siedzieli w restauracji, musiał wyglądać na wygłodzonego biedaka, sycącego głód samym widokiem pełnych talerzy. Zauważył go jakiś kapitan. Uśmiechnął się do niego, unosząc kieliszek. Młoda kelnerka była pulchna, bez wątpienia najadała się w restauracji do syta, a może nawet dokarmiła rodzinę. Czy jednak wolno nam ją osądzać? Trzeba było jakoś przetrwać te trudne czasy i każdy robił to na swój sposób.

Emil zaczynał się niecierpliwić. U wylotu mrocznej uliczki

młody trzymał w spoconych dłoniach rowery. W końcu oczy kelnerki zwróciły się na Jacques'a. Gdy dał jej znak, skinęła głową, zawahała się i zawróciła. Okraglutka dziewczyna zrozumiała, o co chodzi. Dowiodła tego, gdy chwyciła za ramię wchodzącego do sali szefa i gestem niedopuszczającym sprzeciwu pociągnęła go w stronę kuchni. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jacques dał Emilowi sygnał, lonty już się żarzyły, zawlecзки wylądowały w rynsztoku, szyby rozsypały się z brzękiem, granaty turlały się po podłodze restauracji. Emil nie zdołał oprzeć się pokusie — wstał, żeby choć przez ułamek sekundy patrzeć na ogarniętych paniką Niemców.

— Granaty! Padnij! — wrzasnął Jacques.

Podmuch rzucił Emila na ziemię. Był lekko ogłuszony, ale w takiej chwili nie mógł sobie pozwolić na marnowanie czasu. Ostry dym drażnił gardło i nozdrza, powodując kaszel. Emil splunął i po jego dłoni spłynęła gęsta krew. Dopóki nogi nie odmówią mu posłuszeństwa, ma jeszcze szansę. Jacques chwycił go za rękę i obaj pobiegli do młodego, który czekał z trzema rowerami. Emil pedałuje, Jacques jedzie tuż obok, muszą uważać, bo bruk jest śliski. Za ich plecami robi się coraz większy zamęt. Jacques odwraca głowę, żeby sprawdzić, czy mały za nimi jedzie. Jeżeli dobrze obliczył, zostało im jeszcze dziesięć sekund do wybuchu. Tak, niebo już się rozświetliło, eksplodowały obie bomby. Chłopak spadł z roweru, jak rażony piorunem, Jacques zawrócił, ale zewsząd nadbiegali żołnierze — dwaj zdążyli już dopaść dzieciaka i szarpali się z nim.

— Jacques, do cholery, spójrz przed siebie! — krzyknął Emil.

U wylotu ulicy policjanci ustawili blokady. Prawdopodobnie ten, któremu pozwolili przed chwilą uciec, ściągnął posiłki. Jacques sięgnął po rewolwer, nacisnął na spust, ale usłyszał tylko ciche puknięcie. Nie tracąc z oka celu i dbając o zachowanie równowagi, zerknął na broń — bębenek zwiśł, to

istny cud, że nie wypadł. Jacques uderzył rewolwerem o ramię, wprowadzając bębenek na miejsce, i strzelił trzy razy. Policjanci odskoczyli, ustępując im z drogi. Po chwili Jacques i Emil jechali ramię w ramię.

— Krwawisz jak wieprzek, stary.

— Głowa mi pęka — jęknął Emil.

— Mały upadł — szepnął Jacques.

— Wracamy tam? — zapytał Emil, już niemal dotykając stopą ziemi.

— Jedź! — rzucił Jacques. — Już go mają, a mnie zostały tylko dwie kule.

Zewsząd nadciągały wozy policyjne. Emil spuścił głowę, pedałując, najszybciej jak mógł. Gdyby nie noc, która dała mu ochronę ciemności, spływająca po twarzy krew natychmiast by go zdradziła. Emil cierpiał, ból stawał się coraz potworniejszy, ale on próbował go lekceważyć. Kolegę, który padł na ziemię, czekały znacznie większe męczarnie. Czekały go tortury. Emil wiedział, że młodego będą bili, że ciosy, które spadną na jego głowę, wywołają ból nie do zniesienia.

Czubkiem języka wyczuł kawałek metalu, który przebił mu policzek. To był odłamek granatu, który sam rzucił! Co za głupota! Ale musiał być jak najbliżej, tylko wtedy mógł celnie rzucić.

Zadanie zostało wypełnione, więc jeśli przyszedłoby mu teraz zdechnąć, niech tak będzie, myślał Emil, kręciło mu się w głowie, czerwona zasłona spadła mu na oczy. Jacques zauważył, że jego rower się chwieje, więc podjechał i chwycił przyjaciela za rękę.

— Wytrzymaj, jesteśmy już prawie na miejscu!

Minęli dwóch policjantów, którzy kierowali się ku chmurze dymu. Nie zwrócili na nich uwagi. Muszą przejechać jeszcze jedną uliczkę, a droga ocalenia otworzy się przed nimi. Już tylko kilka minut i będą mogli zwolnić.

Ktoś kilkakrotnie uderzył w drzwi. Otworzyłem. Emil miał twarz we krwi. Jacques trzymał go pod ramię.

— Masz jakieś krzesło? — zapytał. — Emil jest trochę zmęczony.

Kiedy Jacques zamykał za sobą drzwi, dotarło do mnie, że jeden z kolegów nie stawiał się na apel.

— Trzeba wyjąć odłamek granatu, który ma w twarzy — powiedział Jacques.

Zaraz potem rozgrzał ostrze noża nad płomieniem zapalniczki i naciął skórę na policzku Emila. Czasami, gdy ból staje się za silny, chwyta za serce, dławi i przyprawia o utratę przytomności, dlatego przytrzymuję Emila, którego głowa bezwładnie opada, Emil walczy, nie chce zemdleć, myśli o wszystkich nadchodzących dniach, o nocach, przez które ich kolega będzie cierpiał z rąk oprawców. Nie, Emil nie chce stracić przytomności. A kiedy Jacques wrywa odłamek metalu, staje mu przed oczami niemiecki żołnierz, którego rozerwane przez wybuch ciało zostało na ulicy.

10

Niedziela już za nami. Widziałem się z bratem. Znowu schudł, ale nie skarżył się, że jest głodny. Nie mogę go już nazywać młodszym braciszkiem jak kiedyś. W ciągu kilku ostatnich dni tak bardzo się postarzał! Nie wolno nam było mówić o akcjach, to naruszałoby zasady bezpieczeństwa, wyczytałem jednak z jego oczu, jak twardą przeszedł szkołę życia. Siedzieliśmy nad kanałem i żeby wypełnić czas, rozmawialiśmy o domu, o dawnym życiu, ale to nie odmieniło jego spojrzenia. Dlatego długo razem milczeliśmy. Nieopodal żuraw na ugiętych nogach chwiał się nad wodą, jakby konał. Może to Claude podłożył tu ładunek, ale przecież nie mogłem go o to zapytać. Roześmiał się, jakby czytał w moich myślach.

— Ty wysadziłeś ten żuraw?

— Nie, myślałem, że to może ty...

— Majsterkowałem przy śluzie nieco wyżej i zapewniam cię, że nieprędko doprowadzą ją do ładunku, ale daję słowo, że z tym żurawem nie mam nic wspólnego.

Wystarczyło, że posiedzieliśmy sobie razem przez parę minut, a on już stawał się moim młodszym bratem, już się odnaleźliśmy. Jego głos brzmiał prawie tak, jakby przepraszał, że

zrobił głupstwo, rozwalając maszynerią śluzy. Ciekawe, ile dni opóźnienia będą miały transporty ciężkich części dla marynarki, które niemiecka armia, przewozi przez kanał w rejon Morza Śródziemnego? Claude znowu się śmiał, a ja wsunąłem palce w jego rozczochrane włosy i także zacząłem się śmiać. Czasami braterska bliskość jest silniejsza od wszystkich zakazów świata. Dzień był ciepły, a my wciąż czuliśmy głód. Jeden zakaz mniej, jeden więcej — co za różnica?

— Masz ochotę na mały spacer na plac Jeanne d'Arc?

— A po co? — zapytał Claude, uśmiechając się przekornie.

— Choćby po to, żeby zjeść porcyjkę soczewicy.

— Na placu Jeanne d'Arc? — powtórzył Claude, kładąc nacisk na każde słowo.

— A znasz jakieś inne miejsce?

— Nie, ale jeśli Jan nas przyłapie, to wiesz, co nas czeka?

Najchętniej udałbym głupka, ale Claude natychmiast dorzucił.

— Czeka nas bardzo, ale to bardzo nieprzyjemna niedziela!

Muszę wyjaśnić, że cała brygada zdrowo oberwała od Jana z powodu knajpki przy placu Jeanne d'Arc. Wydaje mi się, że to Emil znalazł to miejsce. Restauracja miała dwie zalety — jadało się tam za parę marnych groszy, a co więcej, człowiek wychodził tak nasycony, że to uczucie zastępowało najwspanialsze potrawy świata. Emil błyskawicznie powiedział o swoim odkryciu kolegom i wkrótce w knajpce zrobił się ruch.

Mijając ją któregoś dnia, Jan z przerażeniem stwierdził, że niemal cała jego brygada chodzi tam na obiady. Mały policyjny nalot i wszyscy byśmy wpadli. Tego samego wieczoru wezwał nas *manu militari* do Charles'a i dobrze się nam dostało. Odtąd miejsce zwane „Talerzem Wyki” było dla nas stracone, a za złamanie rozkazu groziły surowe sankcje.

— Coś mi przyszło do głowy — szepnął Claude. — Skoro nie wolno tam już bywać, to chyba nie spotkamy nikogo z naszych?

Prawdę mówiąc, rozumowanie mojego brata było logiczne. Pozwoliłem mu mówić dalej.

— A jeśli nie ma tam naszych, to nie narazimy brygady na niebezpieczeństwo, prawda?

Trudno było przeczyć jego słowom.

— A skoro my pójdziemy tam razem, to nikt się o tym nie dowie i Jan nie będzie mógł nas zbesztać.

Wiesz, to niesamowite, jak pusty żołądek i skręcający cię głód pobudzają wyobraźnię. Chwyciłem Claude'a za rękę i, nie patrząc już na kanał, ruszyliśmy pędem na plac Jeanne d'Arc.

Stanęliśmy jak wryci w progu naszej restauracyjki. Wyglądało na to, że prawie wszyscy koledzy z brygady doszli do tego samego wniosku co my. Jedli tu obiad i zostały tylko dwa wolne krzesła. Dodam, że te miejsca znajdowały się przy stoliku zajęтым przez Jana i Catherine, o których randce wiedzieli teraz już wszyscy. Jan siedział z zaciśniętymi zębami, a jego ludzie starali się za wszelką cenę powstrzymać śmiech, który w nich narastał. Tej niedzieli właściciel pewnie długo się zastanawiał, dlaczego nagle cała sala ryknęła śmiechem, chociaż na pozór goście wcale się nie znali!

To ja pierwszy zdołałem się opanować. I nie dlatego, żeby sytuacja wydawała mi się mniej komiczna niż pozostałym, ale z powodu Damiry i Marca, których zobaczyłem w głębi sali. Oni także siedzieli we dwoje, a ponieważ Jan dał się przyłapać w towarzystwie Catherine, Marc nie miał powodu, by się ukrywać — widziałem, jak ujął Damirę za rękę i jak ona na to zareagowała.

Kiedy moje miłosne nadzieje umarły nad talerzem podrabiającej soczewicy, inni, gapiąc się w swoje porcje wyki, ocierali

ły. Catherine zasłoniła twarz szalem, ale to było silniejsze od niej — parsknęła śmiechem, a sala poszła w jej ślady. W końcu ogólnej wesołości ulegli nawet Jan i właściciel knajpki.

Przed wieczorem odprowadziłem Claude'a pod dom. Szliśmy razem uliczką, przy której mieszkał. Zanim zawróciłem na przystanek tramwajowy, odwróciłem się tylko raz, żeby przed powrotem do samotności spojrzeć na jego bujną czuprynę. On się nie obejrzał, ale to lepiej. Bo to już nie mój braciszek wracał do domu, ale mężczyzna, którym się stał. A ja w ten niedzielny wieczór miałem cholerną chandrę.

11

Był to ostatni lipcowy weekend. W poniedziałek rano był już drugi sierpnia czterdziestego trzeciego roku. To dziś miał zostać pomszczony Marcel, dziś po południu Lespinasse zginie, kiedy o wpół do czwartej jak zwykle wyjdzie z domu. Tylko to zwykł robić o stałej porze.

Wstając tego ranka, Catherine, jakby ogarnięta dziwnym przeczuciem, zaniepokoiła się o tych, którzy mieli uczestniczyć w akcji. Może umknął jej jakiś szczegół. Może w jednym z zaparkowanych na ulicy samochodów siedzieli policjanci, a ona nie zwróciła na nich uwagi? Raz po raz przypominała sobie każdą godzinę tego tygodnia obserwacji. Ile razy przemierzyła mieszczańską uliczkę, przy której mieszkał prokurator? Sto, a może więcej? Marianne także niczego nie zauważyła, więc skąd ta nagła panika? Żeby odpędzić złe myśli, postanowiła pobiec do Pałacu Sprawiedliwości. Pomyślała, że tam usłyszysz pierwsze echa tej operacji.

Duży zegar na frontonie pałacu wskazywał za piętnaście trzecią. Za czterdzieści pięć minut chłopcy wykonają wyrok. Żeby nie dać się przyłapać, Catherine snuje się po holu, czyta obwieszczenia na ścianach. Ale robi to bezmyślnie, wpatrzona

w te same słowa, które do niej nie docierają. Obok przechodzi człowiek, jego buty stukają o posadzkę, uśmiecha się jakoś dziwnie. Dwaj inni zbliżają się do niego. Witają się.

— Panie prokuratorze — mówi pierwszy — pozwoli pan, że przedstawię panu mego przyjaciela.

Zaintrygowana Catherine odwraca się i obserwuje scenę. Mężczyzna wyciąga rękę do tego uśmiechniętego, a trzeci dokonuje prezentacji.

— Pan prokurator Lespinasse, a to mój stary przyjaciel, pan Dupuis.

Twarz Catherine zastygła w zdumieniu, bo ten dziwnie uśmiechnięty mężczyzna wcale nie przypominał tamtego, którego śledziła przez cały tydzień. A przecież Jan podał jej adres, nazwisko widniało na mosiężnej tabliczce na bramie ogrodu. Catherine mąci się w głowie, serce wali jej jak szalone. Stopniowo wszystko staje się jasne. Lespinasse, który mieszka w mieszczańskim domu na przedmieściach Tuluzy, to imiennik prokuratora! To samo nazwisko, a nawet imię! Że też Jan mógł być tak naiwny i uwierzył, że adres prokuratora generalnego figuruje w książce telefonicznej?! Catherine myśli, a zegar na frontonie nieubłaganie tyka. Jest już trzecia, za pół godziny chłopcy zabiją niewinnego człowieka, biedaka, któremu przyjdzie zapłacić za to, że nosi to samo nazwisko, co ten łajdak. Stara się opanować, pozbierać myśli. Przede wszystkim musi stąd wyjść, nie okazując zdenerwowania, które ją ogarnęło. Potem, kiedy już znajdzie się na ulicy, bieć, a jeśli trzeba, ukraść rower, ale za wszelką cenę dotrzeć na czas, żeby zapobiec najgorszemu. Pozostawało jej dwadzieścia dziewięć minut, ale pod warunkiem, że mężczyzna, któremu życzyła śmierci, a którego teraz pragnęła ocalić, nie wyjdzie przed czasem... wyjątkowo.

Catherine biegnie, widzi rower, który jakiś człowiek oparł o mur, idąc po gazetę do kiosku. Nie ma czasu ani na ocenę

ryzyka, ani na wahanie, więc trudno, wskakuje na rower i pedałuje, ile sił w nogach. Nikt za jej plecami nie krzyknął: „Łapać złodzieja”, facet jeszcze nie zauważył, że ukradziono mu rower. Przejechała na czerwonym, jej apaszka rozwiązała się, kiedy pojawił się samochód i rozległ się klakson. Prząd auta lewą stroną zderzaka otarł się o udo Catherine, klamka drzwi uderzyła ją w biodro. Zachwiała się, ale zdołała utrzymać równowagę. Nawet nie poczuła bólu, skrzywiła się tylko. Chciała przyspieszyć, zmusiła więc nogi do wysiłku, szprychy połyskiwały w słońcu, tempo było mordercze. Na przejściu dla pieszych poleciało w jej stronę parę obelg, ale nie miała czasu przeproszać ani zwolnić przed następnym skrzyżowaniem. Już wyłoniła się kolejna przeszkoda, tramwaj, który trzeba było ominąć, uważając na tory, bo jeżeli koło by się na nich pośliznęło, upadłaby, a przy tej prędkości już by się nie podniosła. Fasady migały, chodniki były długą szarą linią. Czuła, że jej płuca zaraz eksplodują, ból rozdzierał piersi, ale to było nic w porównaniu z tym, co czekało tamtego biedaka, kiedy dostanie pięć kulek w krtań. Która godzina? Trzecia piętnaście czy dwadzieścia? Poznała widniejący w oddali zaułek. Chodziła nim co dnia przez cały tydzień, żeby śledzić Lespinasse'a.

Pomyśleć, że miała pretensję do Jana! Jakże mogła być tak głupia, żeby sądzić, że prokurator jest tak nieostrożny jak śledzony przez nią człowiek?! Dzień w dzień kpiła z niego, przez całe godziny wyczekiwania mruczała pod nosem, że to zdumiewająco łatwa ofiara. A okazało się, że kpiła z własnej głupoty. To logiczne, że ten nieszczęsny mieszczuch nie miał powodu się bać, nie przypuszczał, że poluje na niego Resistance czy ktokolwiek inny, skoro był niewinny jak dziecko. Piekielnie bolały ją nogi, ale kontynuowała dramatyczny wyścig z czasem. Już minęła zaułek, jeszcze jedno skrzyżowanie i może zdaży. Gdyby było po akcji, słyszałyby strzały, a tymczasem tylko szumiało jej w uszach. To krew, która pulsowała w skroniach, nie głos śmierci, jeszcze nie.

To już ta uliczka. Niewinny zamyka drzwi domu i idzie przez ogród. Robert przechodzi przez jezdnię, trzyma rękę w kieszeni, palce zaciskają się na rękojeści gotowego do strzału rewolweru. Teraz wszystko rozegra się w ciągu kilku sekund. Hamowanie, rower upada, Catherine zostawia go na jezdni i pada w ramiona kolegi.

— Oszalałaś? Co ty wyprawiasz?

Brakło jej tchu, nie mogła mówić. Błąda jak śmierć, chwyciła kolegę za rękę. Sama nie wiedziała, skąd ma jeszcze tyle sił. A ponieważ Robert nie rozumiał, Catherine wydusiła wreszcie z siebie:

— To nie on!

Niewinny Lespinnasse wsiadł do wozu, uruchomił silnik i czarny peugeot 202 spokojnie odjechał. Mijając parę, która zdawała się tulić, kierowca pomachał ręką. Zakochani są sami na świecie, pomyślał, zerkając w lusterko wsteczne.

*

To był okropny dzień. Niemcy wpadli na uniwersytet. Wywołali do holu dziesięciu młodych ludzi, powlekli ich na schody i uderzając kolbami karabinów, wepchnęli do wozu. Widzisz, my się nie poddawaliśmy. Chociaż przymieraliśmy głodem, chociaż strach spędzał nam sen z oczu, chociaż nasi przyjaciele ginęli, wciąż stawialiśmy opór wrogowi.

*

O włos uniknęliśmy tragedii, ale już ci mówiłem, że nigdy nie zabiliśmy niewinnego człowieka, choćby był głupcem. Tymczasem prokurator nadal żył i trzeba było zacząć akcję od zera. Ponieważ nie wiedzieliśmy, gdzie mieszka, musieliśmy go śledzić przy Pałacu Sprawiedliwości. To było trudne przed-

sięwzięcie. Prawdziwy Lespinasse poruszał się zwykle dużym czarnym hotchkissem, a czasami renault primaquatre, ale zawsze z kierowcą. Żeby nie dać się zdemaskować, Catherine wypracowała pewną metodę. Pierwszego dnia jeden z naszych jechał za prokuratorem na rowerze od Pałacu Sprawiedliwości, ale tylko przez kilka minut. Nazajutrz inny, na własnym rowerze, podjął trop w miejscu, w którym tamten się wycofał. I tak, etapami, zdołaliśmy dotrzeć do domu prokuratora. Potem Catherine mogła rozpocząć długie przechadzki po ulicy. Jeszcze kilka dni obserwacji i poznaliśmy zwyczaje prokuratora generalnego.

12

W tamtych latach mieliśmy wroga, do którego pałaliśmy jeszcze silniejszą nienawiścią niż do nazistów. Z Niemcami prowadziliśmy wojnę, ale naszym wrogiem była też milicja, najohydniejszy wykwit faszyzmu i karierowiczostwa.

Milicjanci gwałcili, torturowali i okradali tych, których deportowali, wykorzystywali swą władzę, żeby się bogacić. Ile kobiet oddało im się, zamykając oczy i zaciskając zęby, za kłamliwą obietnicę, że ich dzieci nie zostaną aresztowane? Ilu starców w długich kolejkach przed pustymi sklepami musiało opłacać się milicjantom, żeby dali im spokój, i ilu z tych, którzy nie mogli nic zaoferować, trafiło do obozów, żeby te psy bez przeszkód splądrowały ich domy? Bez tych łotrów hitlerowcy nigdy nie zdołaliby deportować tylu ludzi, dopadliby najwyżej jedną dziesiątą tych, którym nie dane już było wrócić.

Miałem dwadzieścia lat, bałem się, byłem głodny, wciąż głodny, a te szmaty w czarnych koszulach obżerały się w przeznaczonych dla nich restauracjach. Ilu takich obserwowałem przez zaparowane zimą szyby, kiedy oblizywali palce, nażarci po posiłku, a mnie burczało w brzuchu? Strach i głód to koktajl, który zwała z nóg.

Ale dokonaliśmy zemsty, zrozum, że gdy wypowiadam te słowa, serce do dziś bije mi mocniej. Zemsta to potworna rzecz, nie powinienem był tego mówić. Podejmowane przez nas akcje nie miały nic wspólnego z zemstą, były obowiązkiem naszych serc, miały ocalić tych, którym nie dane było dzielić naszych losów, były naszą formą udziału w wojnie o wyzwolenie.

Głód i strach to dla żołądka mieszanka wybuchowa! Straszny jest ten cichy trzask skorupki jajka rozbijanego o blat, powiedział kiedyś Prevert, który mógł swobodnie pisać. Ja, więzień przetrwania, wiedziałem o tym już wtedy.

Czternastego sierpnia, Boris, wracając od Charles'a późnym wieczorem po godzinie policyjnej razem z kilkoma przyjaciółmi, natknął się na grupę milicjantów.

Boris, który osobiście zajmował się już wieloma członkami tego stada, lepiej od innych znał strukturę formacji. Wystarczyło blade światło latarni, żeby natychmiast rozpoznał złowrogą gębę niejakiego Costesa. Dlaczego? Bo ten facet był sekretarzem generalnym „ochotników” — armii dzikich, krwiożerczych psów.

Kiedy milicjanci szli w ich stronę, arogancy i przekonani, że do nich należy ulica, Boris sięgnął po broń. Jego koledzy uczynili to samo i Costes legł w kałuży krwi, oczywiście — własnej.

Jednak tego wieczoru Boris gwałtownie podniósł poprzeczkę, postanowił zaatakować Masa, dowódcę milicji.

Akcja była niemal samobójcza. Mas przebywał w domu z liczną strażą. Boris najpierw ogłuszył cerbera pilnującego drzwi wejściowych do willi, od ulicy Pharaon. Przy schodach na pierwszym piętrze kolejny ochroniarz otrzymał zabójczy cios kolbą w potylicę. Boris się nie patyczkował, wtargnął do

salonu z bronią w rękę i zaczął strzelać. Wszyscy milicjanci padli, większość odniosła tylko rany, ale Mas dostał, gdzie trzeba. Leżał skulony pod biurkiem, z głową między nogami fotela, i pozycja jego ciała świadczyła, że już nigdy nikogo nie zgwałci, nie zabije, nie będzie terroryzował.

Prasa okrzyknęła nas terrorystami, podchwytując słowo wprowadzone przez Niemców, a oznaczające na ich obwieszczeniach ludzi z podziemia, których rozstrzeliwano. Ale my terroryzowaliśmy tylko ich i gorliwych faszystowskich kolaborantów. Wracając do Borisa, wszystko po tej akcji się skomplikowało. Kiedy rozprawiał się z tymi na górze, dwóch naszych, zabezpieczających na dole odwrót, musiało stoczyć walkę ze spieszącymi na pomoc milicjantami. Na schodach doszło do strzelaniny. Boris załadował rewolwer i wyszedł na podest. Niestety, osłaniający go chłopcy byli zmuszeni się wycofać. Boris wpadł w dwa ognie, między tych, którzy strzelali do jego przyjaciół, a tych, którzy strzelali do niego.

Kiedy próbował wydostać się z willi, kolejna grupa czarnych koszul zbiegła z wyższych pięter. Nie zdołał się obronić. Okrążony padł. Po tym, jak podziurawił szyję ich szefa i poważnie ranił wielu kompanów, można było oczekiwać, że milicjanci zabiją go na miejscu. Dwaj jego przyjaciele zdołali uciec, jeden z kulą w miednicy, Boris nie mógł go już niestety leczyć.

To był kolejny smutny dzień kończącego się sierpnia czterdziestego trzeciego roku. Pojmany przez wroga przyjaciel, student trzeciego roku medycyny, od dziecka marzący o tym, by ratować ludziom życie, trafił do więzienia Saint-Michel. Nikt z nas nie wątpił, że prokurator Lespinasse, żeby zyskać w oczach rządu i umocnić swoją pozycję, zechce osobiście pomścić przyjaciela, dowódcę milicji, zmarłego Masa.

13

Wrzesień mijał, rdzawe liście kasztanów zapowiadały nadejście jesieni.

Byliśmy wyczerpani, wygłodzeni jak jeszcze nigdy, ale akcje się mnożyły, Resistance z każdym dniem wyraźniej zaznaczała swoją obecność. W ciągu miesiąca zniszczyliśmy niemieckie garaże przy bulwarze de Strasbourg, potem wzięliśmy się za koszary Caffarelli, gdzie stacjonował regiment Wehrmachtu. Wkrótce potem zaatakowaliśmy konwój wojskowy na drodze z Tuluzy do Carcassonne. W tych dniach szczęście nam sprzyjało. Podłożyliśmy ładunki pod wagon, którym przewożono armatę, ponieważ jednak leżące obok pociski także eksplodowały, cały pociąg wyleciał w powietrze. W połowie miesiąca z pewnym wyprzedzeniem uczciliśmy bitwę pod Valmy, napadając na wytwórnię naboju i na długo uniemożliwiając podjęcie w niej produkcji. Emil poszedł nawet do biblioteki miejskiej, żeby wybrać daty bitew, które warto byłoby uczcić w ten sam sposób.

Jednak tego wieczoru nie planowaliśmy akcji. Gdybyśmy mieli dokonać zamachu na samego generała Schmutza, zastanowilibyśmy się nad tym dwa razy. Powód był prosty: kury,

które Charles hodował w ogrodzie, miały za sobą „nad niezwykajny” tydzień, jak to nazwał, więc zostaliśmy zaproszeni na omlety.

Spotkaliśmy się o zmierzchu na małym, nieczynnym dworcu w Loubers.

Nakrycia już czekały i wszyscy siedzieli przy stole. Widząc, ilu zebrało się biesiadników, Charles uznał, że może zabraknąć jaj, więc postanowił uzupełnić omlet gęsim tłuszczem. W jego pracowni zawsze poniewierał się słoik takiego smalcu, który czasami służył do uszczelniania bomb albo smarowania naszych rewolwerów.

Spotkaliśmy się, żeby świętować, przyszły dziewczyny z wywiadu i cieszyliśmy się, że jesteśmy w komplecie. Oczywiście, taka uczta naruszała elementarne zasady bezpieczeństwa, ale Jan wiedział, że te rzadkie chwile leczą nas po długiej samotności, która fatalnie oddziaływała na każdego. Choć kule Niemców i milicjantów jeszcze nas nie ugodziły, samotność zabijała dzień po dniu. Niektórzy nie skończyli jeszcze nawet dwudziestu lat, kilku było odrobinę starszych, a skoro nie mogliśmy się nawet najeść do syta, musieliśmy w towarzystwie szukać strawy dla ducha.

Sądząc po miłosnych spojrzeniach Damiry i Marca, tych dwoje zadurzyło się w sobie bez pamięci. Ja nie odrywałem oczu od Sophie. W chwili, gdy Charles wracał z warsztatu ze słoikiem gęsięgo smalcu pod pachą, Sophie obdarzyła mnie jednym z tych uśmiechów, których sekret posiadała, najcudowniejszym, jaki kiedykolwiek widziałem. Ogarnięty euforią, obiecywałem sobie, że zdobędę się na odwagę i zaproponuję jej randkę. Może nawet zaproszę jutro na obiad. Bo na cóż mieliśmy czekać? I kiedy Charles roztrzepywał jajka, ja zmagalem się ze sobą, by jeszcze tego wieczoru z nią pomówić. Musiałem oczywiście poczekać na spokojną chwilę, żeby Jan nas nie usłyszał, chociaż odkąd dał się nakryć w „Talerzu

Wyki" w towarzystwie Catherine, zakazy dotyczące miłości zostały w zasadzie zawieszono. Gdyby Sophie nie miała czasu jutro, nie będę się przejmował, zaproponuję spotkanie na następny dzień. Gdy podjąłem już decyzję i chciałem przejść do czynu, Jan oznajmił, że przydziela Sophie do grupy obserwującej prokuratora Lespinasse'a.

Sophie nie brakowało odwagi — zgodziła się natychmiast. Jan wyznaczył jej zmianę między godziną jedenastą a piętnastą. Doprawdy, ten przeklęty prokurator będzie mnie chyba przesładować do końca życia!

Wieczór trudno było mimo wszystko uznać za zmarnowany, bo został nam jeszcze omlet, a poza tym Sophie była taka piękna, a cudowny uśmiech nie znikał jej z twarzy. Catherine i Marianne, które czuwały nad dziewczętami z wywiadu jak kwoki, nie pozwoliłyby nam posunąć się za daleko, więc po prostu milczeliśmy i patrzyliśmy, jak się uśmiecha.

Charles wyłożył zawartość słoja z gęsim smalcem na patelnię, chwilę mieszał, a potem usiadł z nami i oznajmił: „Teraz musimy czekać, aż się ugrzeje”.

Kiedy zastanawialiśmy się, co to właściwie znaczy, doszło do zadziwiającego incydentu. Zewsząd rozległy się wystrzały. Padliśmy na ziemię. Jan z bronią w ręku rozglądał się wokół. Najwyraźniej byliśmy śledzeni, teraz zaatakowali nas Niemcy. Dwaj chłopcy, którzy mieli za pasem pistolety, zdobyli się na odwagę i prześlizgnęli między detonacjami do okien. Poszedłem w ich ślady, chociaż to było idiotyczne, bo nie miałem broni, jednak gdyby któryś z tamtych dostał, wziąłbym jego pistolet i go zastąpił. Ale w całej tej sytuacji było coś zdumiewającego — w pomieszczeniu padały strzały, duże drzazgi wylatywały z podłogi w górę, w ścianach było coraz więcej dziur, a przecież na zewnątrz panował niezmacony spokój. A potem strzelanina ustała. Znikąd nie dobiegał żaden hałas, nagle wszystko ucichło. Patrzyliśmy na siebie, nie rozumiejąc. Charles wstał jako pierw-

szy. Był czerwony jak piwonia, bełkotał coś, co trudno było zrozumieć. W końcu, ze łzami w oczach, zaczął powtarzać: „Pszepaszą, pszepaszą”.

Okazało się, że nie zaatakował nas wróg, tylko Charles zapomniał, że wrzucił naboje kalibru 7,65 milimetra do słoja z gęsim smalcem, żeby się nie utleniały! Amunicja odrobinę się rozgrzała na patelni, no i doszło do strzelaniny!

Nikt nie odniósł ran, może tylko na honorze, więc pozbiieraliśmy to, co zostało z omletu, przetrząsnęliśmy dokładnie w poszukiwaniu wszelkich ciał obcych i siedliśmy do stołu jakby nigdy nic.

Cóż, talenty naszej złotej rączki, Charles'a, nie do końca sprawdzały się w kuchni, ale za tamtych czasów kulinaria nie były najważniejsze.

Nazajutrz zaczynał się październik, a wojna wciąż trwała, także ta nasza.

14

Łajdacy są gruboskórni. Kiedy dziewczęta zakończyły ponowną obserwację Lespinasse'a, Jan natychmiast zlecił Robertowi eliminację prokuratora. Boris był w więzieniu, wkrótce miał stanąć przed sądem, więc nie mogliśmy tracić czasu, jeśli chcieliśmy zapobiec najgorszemu. Udzielając tak ostrej przestrogi urzędnikom, dalibyśmy do zrozumienia, że zamach na życie partyzanta równa się podpisaniu wyroku na siebie. Od kilku miesięcy po każdym wywieszonym na murach Tuluzy obwieszczeniu i egzekucji dokonanej przez Niemców zabijaliśmy niemieckich oficerów i rozrzucaliśmy ulotki, informując o naszej akcji mieszkańców. Od kilku tygodni rzadziej rozstrzeliwali, a żołnierze bali się samotnie wychodzić w nocy na ulice miasta. Jak widzisz, nie rezygnowaliśmy, a Resistance z każdym dniem rosła w siłę.

Akcję zaplanowano na poniedziałkowy rano, miejscem zbiórki była pętla dwunastki. Kiedy pojawił się Robert, od razu się zorientowaliśmy, że do zamachu nie doszło. Coś było nie tak, Jan się wściekał.

Ten poniedziałek rozpoczynał powakacyjne prace sądowe, cała palestra zebrała się w Pałacu Sprawiedliwości. Wiadomość o zamachu na prokuratora wywarłaby teraz piorunujący efekt

i właśnie na tym nam zależało. Nie zabijało się kogoś takiego byle kiedy, chociaż śmierć Lespinasse'a zawsze byłaby sensacją. Robert odczekał, aż Jan się uspokoi i zwolni kroku.

Jan był wściekły nie tylko dlatego, że zmarnowaliśmy tak wyjątkową sytuację. Od śmierci Marcela minęły już dwa miesiące. Radio Londyn kilkakrotnie zapowiadało, że winny jego skazania zapłaci za tę ohydną zbrodnię. W końcu wszyscy uznają nas za bandę nieudaczników! Ale Robert miał tuż przed tą akcją złe przeczucie, a zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

Był zdecydowany rozprawić się z prokuratorem, a jednak dziś nie mógł podjąć działania! Przysięgał, że nie miał pojęcia o znaczeniu tej daty, którą wybrał Jan. Robert nigdy się nie poddawał. Wyróżniał się opanowaniem, działał z zimną krwią, więc na pewno miał powody, żeby tak się zachować.

Już około dziewiętej znalazł się w pobliżu domu Lespinasse'a. Zgodnie z informacjami zebranymi przez dziewczyny z brygady, prokurator zawsze opuszczał dom punktualnie o dziesiątej. Marius, który uczestniczył w poprzedniej akcji i o mały włos nie zabił drugiego Lespinasse'a, teraz wziął na siebie ochronę Roberta.

Robert miał na sobie obszerny płaszcz, dwa granaty w lewej kieszeni — jeden zaczepny, drugi obronny — a w prawej odbezpieczony rewolwer. O dziesiątej nikt się nie pojawił. Minał kwadrans, ale prokuratora nadal nie było. Piętnaście minut upływa bardzo wolno, kiedy ma się w kieszeni dwa granaty, które obijają się o siebie przy każdym kroku.

Ulicą jechał policjant na rowerze. Zwolnił, zbliżając się do Roberta. To mógł być zwykły przypadek, ale ponieważ cel nadal się nie pojawiał, Roberta ogarnęły wątpliwości.

Czas potwornie się dłużył, na ulicy panował spokój. Nawet przechadzający się człowiek musiał w końcu zwrócić na siebie uwagę.

Dwaj inni, stojący u wylotu ulicy z trzema rowerami, także po pewnym czasie wzbudziłiby podejrzenia.

Zza rogu wyłoniła się ciężarówka pełna Niemców. Dwa „zbiegi okoliczności” w tak krótkim czasie to już trochę za dużo! Robert poczuł się niepewnie. W dali Marius wykonał gest, pytając, co się dzieje, Robert odpowiedział na migi, że jak dotąd wszystko jest w porządku, akcja trwa. Problem tkwił w tym, że wciąż nie pojawiał się ich cel. Niemiecka ciężarówka przejechała, nie zatrzymując się, jechała bardzo wolno i to zaniepokoiło Roberta. Potem ulica znowu się wyludniła, a po chwili otworzyły się drzwi domu i mężczyzna wreszcie szedł przez ogród. Ręka Roberta zacisnęła się na rewolwerze ukrytym w kieszeni płaszcza. Ale Robert nie widział twarzy człowieka, który zamknął furtkę, a potem poszedł w stronę samochodu. Ogarnęły go potworne wątpliwości. A jeżeli to nie on? Jeśli to tylko lekarz, który przyszedł z wizytą do chorego na grype prokuratora? Trudno podejść do gościa i zapytać: „Dzień dobry, czy to pan jest facetem, któremu mam wpakować kulę w łeb?”.

Robert ruszył w stronę mężczyzny, ale jedyne, co przyszło mu do głowy, to zapytać o godzinę. Chciał, żeby ten człowiek, który musiał wiedzieć o grożącym mu niebezpieczeństwie, uczynił coś, co zdradzi jego lęk. Chciał zobaczyć drżenie ręki albo zroszone potem czoło!

Jednak zagadnięty spokojnie podwinął rękaw i odpowiedział: „Dziesiąta trzydzieści”. Palce Roberta rozluźniły się na rękojeści. Nie mógł strzelać. Lespinasse skinął głową na pożegnanie i wszedł do auta.

Jan nic już nie powiedział, bo cóż można było dodać. Robert miał uzasadnione wątpliwości, nikt nie mógł go winić za niepowodzenie akcji. Po prostu prawdziwy łajdak zawsze jest gruboskórny. Kiedy się rozstawaliśmy, Jan mruknął, że trzeba będzie bardzo szybko powtórzyć operację.

Przez cały tydzień Robert czuł gorycz. Z nikim nie chciał się widywać. W niedzielę jego budzik zadzwonił już o świcie. Zapach kawy parzonej przez gospodynię wypełnił pokój. Zwykle woń grzanek podrażniała mu żołądek, ale od zeszłej niedzieli wciąż miał mdłości. Spokojnie się ubrał, wyciągnął spod materaca rewolwer i wsunął go za pasek spodni. Włożył marynarkę i kapelusz, i wyszedł z domu, nikomu o niczym nie mówiąc. To nie wspomnienie porażki przyprawiało go o mdłości. Wysadzać lokomotywy, rozkręcać tory kolejowe, niszczyć słupy, podkładać dynamit pod żurawie, uszkadzać sprzęt wroga — to robi się z lekkim sercem, ale do zabijania nikt się nie rwał. Marzyliśmy o świecie, w którym ludzie będą mogli żyć, ciesząc się wolnością. Chcieliśmy być lekarzami, robotnikami, rzemieślnikami, nauczycielami. I nie chwyciliśmy za broń, kiedy pozbawiano nas prawa do tego. Uczyniliśmy to znacznie później, kiedy zaczęło się wywożenie dzieci i rozstrzeliwanie naszych przyjaciół. Ale zabijanie wciąż było dla nas brudną robotą. Zapewniam cię, że nie zapomina się twarzy człowieka, do którego się strzelało, i nawet jeśli to taki łajdak jak Lespinasse, sprawa nie jest łatwa.

Catherine ustaliła, że w niedzielę rano prokurator wychodzi punktualnie o dziesiątej na mszę, więc Robert podjął decyzję. Walcząc z mdłościami, wsiadł na rower. Musiał ratować Borisa.

Była dziesiąta, kiedy Robert wjechał w ulicę. Prokurator właśnie zamknął za sobą furtkę ogrodu. W towarzystwie żony i córki szedł ulicą. Robert uniósł spust rewolweru i ruszył w jego stronę. Rodzina Lespinasse'ów minęła go. Wtedy wyciągnął broń, zawrócił, wycelował. Nie chciał strzelać w plecy, więc krzyknął „Lespinasse!”. Zaskoczona rodzina obejrzała się i zobaczyła wycelowaną broń, ale już rozległy się dwie detonacje i prokurator padł na kolana, trzymając się rękami za brzuch!

Wytrzeszczonymi oczami, wpatrywał się w Roberta, wstał, zatoczył się, oparł o drzewo. Łajdacy naprawdę są gruboskórni!

Robert podszedł bliżej, prokurator błagał, szeptał „łaski”. A Robert myślał o zwłokach Marcela, o jego głowie, która leżała w trumnie między rękami, widział twarze zabitych kolegów. Dla żadnego z tych dzieciaków nie było łaski ani litości. Robert opróżnił magazynek. Kobiety wyły, jakiś mężczyzna chciał pospieszyć im z pomocą, ale Robert w niego wycelował i facet zwiął.

A kiedy odjeżdżał na rowerze, usłyszał za plecami wołanie o pomoc.

W południe wrócił do siebie. Wiadomość już obiegła całe miasto. Policjanci otoczyli dzielnicę, przesłuchiwali wdowę po prokuratorze, pytali, czy potrafiłaby rozpoznać człowieka, który dokonał zamachu. Pani Lespinasse pokiwała głową i odpowiedziała, że prawdopodobnie tak, ale nie chciałaby tego robić, bo i tak zginęło już zbyt wielu ludzi.

15

Emilowi udało się dostać pracę na kolei. Każdy z nas starał się znaleźć jakieś płatne zajęcie. Wszyscy potrzebowaliśmy pieniędzy, musieliśmy płacić czynsz, wyżywić się, a Resistance z trudem wypłacała nam miesięczny żołd. Praca stanowiłaby także pewną odmianę po działalności w podziemiu. Człowiek zatrudniony nie zwraca na siebie uwagi policji i sąsiadów, kiedy codziennie wychodzi z domu. Bezrobotnym pozostawało podawać się za studentów, ale i tak wydawali się znacznie bardziej podejrzani. Oczywiście ideałem było, jeżeli praca mogła dodatkowo służyć sprawie! Stanowiska Emila i Alonsa na dworcu towarowym w Tuluzie były dla brygady cenne. Wraz z kilkoma kolejarzami stworzyli małą grupę sabotażową i siali zniszczenie w najróżnorodniejszych transportach. Wy-specjalizowali się między innymi w przeklejanii pod nosem niemieckich żołnierzy nalepek na wagonach. Kiedy na dworcu znalazło się kilka transportów, części zamienne, niecierpliwe wyczekiwane przez hitlerowców w Calais, jechały do Bordeaux, a transformatory potrzebne w Nantes do Metz, natomiast silniki zamiast do Niemiec dostarczano do Lyonu.

Niemcy oskarżali o ten bałagan SNCF, piętnując francuską

nieudolność. Dzięki Emilowi, Francois i kilku ich kolegom potrzebne okupantowi zaopatrzenie rozpełzało się po całym kraju, nigdy nie trafiając do celu, a potem najzwyczajniej znikało. Zanim towary zostały odnalezione i dotarły we właściwe miejsce, upływał miesiąc, a nawet dwa, i to był nasz mały triumf.

Często późnym wieczorem dołączaliśmy do nich i przechodziliśmy między czekającymi na stacji konwojami. Wyczekiwalismy na hałas, wykorzystywaliśmy przejazd lokomotywy, zgrzyt hamującego pociągu, aby dostać się do wybranego punktu, nie dając się złapać niemieckim wartownikom.

W ubiegłym tygodniu weszliśmy pod pociąg i pod osiami przeszliśmy do szczególnie nas pasjonującego *Tankwagen*, co oznacza po prostu wagon cysterne. Choć manewr był niezwykle trudny do wykonania tak, by zmylić czujność wartowników, tego aktu sabotażu nikt nie zauważył.

Jeden z nas stał na straży, a inni wspięli się na cysterne, otworzyli pokrywę i wsypali całe kilogramy piasku i melasy do paliwa. Kilka dni potem, u celu podróży, tym cennym, a „doprawionym” przez naszych kolegów paliwem napełniono zbiorniki niemieckich bombowców i myśliwców. Znaliśmy się na mechanice wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że tuż po starcie pilotowi pozostanie alternatywa — szukać przyczyny zgaśnięcia silników albo skakać ze spadochronem, zanim maszyna runie na ziemię. W najgorszym razie samoloty pozostałyby na pasach startowych, niezdatne do użytku, a i to było niemałe osiągnięcie.

Dzięki paru workom piasku i wielkiej brawurze moi koledzy zdołali opracować system niszczenia na odległość samolotów wroga — system zadziwiająco prosty, ale jakże skuteczny. I kiedy myślałem o tym, wracając razem z nimi wczesnym rankiem, powtarzałem sobie, że w ten sposób spełnia się częśćka mego marzenia o służbie w Royal Air Force.

Zdarzało nam się także przemykać długimi torami kolejowymi dworca Tuluza Raynal, aby unosić plandeki osłaniające wagony towarowe i działać stosownie do tego, co znaleźliśmy. Kiedy trafialiśmy na skrzydła messerschmittów, kadłuby junkersów lub usterzenie stukasów, które produkowano w fabrykach Latecoere w naszym regionie, przecinaliśmy kable sterów. Kiedy znajdowaliśmy silniki lotnicze, wrywaliśmy przewody elektryczne albo paliwowe. Nie potrafiłbym obliczyć, ile maszyn uziemiliśmy w ten sposób. A ja niszcząc samolot wroga, zawsze wolałem mieć u boku kolegę ze względu na to piekielne roztargnienie czy —jak kto woli— marzycielstwo. Kiedy przebijiałem ostrym narzędziem poszycie skrzydła, widziałem siebie w kokpicie spitfire'a, czułem, jak naciskam spust, jak owiewa mnie wiatr. Na szczęście życzliwe ręce Emila albo Alonsa zawsze w porę klepały mnie po ramieniu, a ja dostrzegałem w oczach przyjaciół żal, że muszą sprowadzać mnie na ziemię. Nie bez przykrości mówili: „Chodź już, Jeannot, czas wracać”.

Przez pierwszą połowę października prowadziliśmy takie akcje, ale tej nocy mieliśmy dokonać czegoś więcej niż dotąd, Emil dowiedział się, że dwanaście lokomotyw ma wyruszyć nazajutrz do Niemiec.

Zadanie było poważne, więc wyznaczono do niego sześć osób. Dość rzadko zdarzało nam się działać w tak licznej grupie. Gdyby nas złapano, brygada utraciłaby niemal jedną trzecią sił. Ale cel uzasadniał podjęcie takiego ryzyka. Dwanaście lokomotyw oznaczało również dwanaście bomb, nie mogliśmy jednak iść do Charles'a gęsiego. Tym razem to on miał dostarczyć je do naszych domów. Wczesnym rankiem nasz przyjaciel ułożył cenne paczuski na dnie przyczepy rowerowej, przykrył je sałatą, którą uprawiał w ogrodzie, i plandeką. Wyjechał z dworca Loubers i przemierzał pola pod Tulużą ze śpiewem na ustach. Rower Charles'a, złożony z części kradzionych przez

nas „maszyn”, był jedyny w swoim rodzaju. Kierownica miała niemal metr długości, siodełko było podwyższone, rama w połowie pomarańczowa, w połowie niebieska, pedały różne, a po bokach, przy tylnym kole wisały dwa damskie koszyki. Tak, rower Charles'a był naprawdę dziwny.

Charles także wyglądał dziwnie. Nie obawiał się tej wyprawy do miasta, policjanci na ogół nie zwracali na niego uwagi, brali go za kloszarda, który włóczy się po okolicy. Tacy jak on psuli wizerunek społeczeństwa, ale nie stanowili realnego zagrożenia. Policja faktycznie nie zwracała uwagi na takie dziwadła, ale niestety, nie tamtego ranka.

Charles przejeżdżał ze swoim specyficznym towarem przez plac du Capitole, kiedy dwóch żandarmów zatrzymało go do rutynowej kontroli. Charles podał im dowód, w którym było napisane, że urodził się w Lens. Brygadier, jakby nie umiał przeczytać tego, co napisano czarno na białym, zapytał Charles'a o miejsce urodzenia. Charles, z natury mało kłótlivy, odpowiedział bez wahania:

— Lunc!

— Lunc? — zapytał zbity z tropu brygadier.

— Lunc! — powtórzył z przekonaniem Charles, splatając ręce na piersi.

— Mówi pan, że urodził się w Lunc, a z pańskich dokumentów wynika, że matka wydała pana na świat w Lens, więc albo pan kłamie, albo ten dokument jest fałszywy?

— Ale ni — tłumaczył Charles w swym dziwniejszym niż zwykle żargonie. — Lunc, dokładnie tak panu mówię! Lunc w Pas-de-Calais!

Policjant przyglądał mu się, zadając sobie pytanie, czy ten facet nie drwi sobie z niego.

— I może mi pan powie, że jest Francuzem? — uśmiechnął się złowrogo.

— Ale czyścież, ma się być! — zapewniał Charles... (To miało znać: „Ależ oczywiście, ma się rozumieć!”).

Tym razem policjant uznał, że ten gość robi z niego durnia.

— Gdzie pan mieszka? — zapytał ostro.

Charles, który miał to wszystko w małym palcu, powiedział natychmiast:

— W Briście!

— W Briście? A gdzie leży ten Brist? Nigdy nie słyszałem o żadnym Briście — dodał policjant, spoglądając na kolegę.

— Brist w Finistirze! — odparł lekko poirytowany Charles.

— Wydaje mi się, że chodzi o Brest w Finistere, szefie! — wtrącił niewzruszony żandarm numer dwa.

A zachwycony Charles potwierdził, kiwając głową. Rozdrażniony brygadier obrzucił go piorunującym spojrzeniem. Trzeba przyznać, że ani pstrokaty rower, ani kurtka włóczędzy, ani sałata na wózku nie pasowały do rybaka z Brestu, za którego miał uchodzić Charles. Żandarm miał tego dość, więc kazał mu udać się na posterunek w celu weryfikacji tożsamości.

Tym razem to Charles świdrował go oczyma. I chyba lekcje francuskiego, jakich udzielała mu mała Camille, były skuteczne, ponieważ drogi Charles pochylił się do ucha żandarma i szepnął:

— Mam wózek pełen bomb. Jeżeli zabierzesz mnie na ten cholerny komisariat, rozstrzelają mnie. A jutro ktoś zastrzeli ciebie, bo koledzy z Resistance dowiedzą się, kto mnie zatrzymał.

No cóż, wystarczyło, że Charles trochę się postarał, a jego francuszczyźnie nie można było niczego zarzucić!

Policjant trzymał rękę na broni służbowej. Zawahał się, potem puścił rękojeść rewolweru. Po szybkiej wymianie spojrzeń z podwładnym powiedział do Charles'a:

— Dobra, spadaj stąd, człowieku z Brestu!

W południe odebraliśmy dostawę tuzina bomb, a potem

wysłuchaliśmy opowieści o jego przygodzie. Najgorsze, że jego to bawiło.

Jan nie dostrzegł w tym zajściu niczego śmiesznego. Zbeształ Charles'a, który podjął tak duże ryzyko, ale on wciąż się śmiał i powtarzał, że wkrótce żadna z dwunastu lokomotyw nie będzie już mogła pociągnąć transportu deportowanych. Życzył nam udanego wieczoru i wsiadł na rower. Czasami nocą, przed zaśnięciem, zdarza mi się jeszcze słyszeć, jak sunie w stronę dworca Loubers na swoim dużym, pstrokatym rowerze, śmiejąc się do rozpuku.

*

O dziesiątej było już dość ciemno, żebyśmy mogli przystąpić do działania. Emil dał nam znak i wszyscy przeskoczyliśmy przez mur biegnący wzdłuż torów. Należało zachować ostrożność, bo każdy z nas miał w torbie dwie bomby. Było zimno, wilgoć przenikała nas do szpiku kości. Pierwszy szedł Francois. Alonso, Emil, mój brat Claude, Jacques i ja tworzyliśmy kolumnę, która przemknęła wzdłuż stojącego pociągu. Brygada była prawie w komplecie.

Przed nami pojawił się wartownik. Stał nam na drodze. Czas naglił, musieliśmy dojść do znajdujących się dalej lokomotyw. Po południu szczegółowo omówiliśmy plan akcji. Dzięki Emilowi wiedzieliśmy, że wszystkie maszyny odstawione są na bocznice. Każdy z nas musiał zająć się dwiema. Najpierw wdrapać się na wóz silnikowy, a potem, po drabinie, na kocioł, zapalić papierosa, od niego lont i wolno spuścić bombę do komina, używając stalowej linki z hakiem, który należało zaczepić o brzeg komina, żeby bomba wisiała kilka centymetrów nad dnem kotła. W końcu trzeba było zejść, przebiec przez tory i powtórzyć czynności przy drugiej lokomotywie. Umieściwszy obie bomby, musieliśmy pędzić do oddalonego o sto

metrów muru i zwiewać, zanim nastąpi eksplozja. W miarę możliwości należało dbać o synchronizację działań z pozostałą piątką, żeby nikt nie pozostał na miejscu, kiedy lokomotywy zaczną wylatywać w powietrze, bo gdy wybuch rozsadza trzydzieści ton metalu, lepiej być jak najdalej.

Alonso spojrzał na Emila — musieliśmy się pozbyć gościa, który stanął nam na drodze. Emil sięgnął po broń. Żołnierz wziął do ust papierosa. Zapalił zapałkę, płomień oświetlił jego twarz. Nawet wzorowo wyprasowany mundur nie zmieniał faktu, że wyglądał na bezradnego dzieciaka, który przebrał się za żołnierza, a nie na okrutnego hitlerowca.

Emil schował broń i pokazał nam na migi, że poprzestaniemy na ogłuszeniu go. Ta wiadomość wszystkich ucieszyła, tylko ja byłem niezbyt zadowolony, bo musiałem się tym zająć. Strasznie jest ogłuszać człowieka, walić go w tył głowy, tak żeby nie zabić.

Przenieśliśmy nieprzytomnego żołnierza do wagonu, który Alonso zamknął najciszej, jak mógł. Ruszyliśmy. Po chwili byliśmy na miejscu. Emil uniósł rękę, żeby dać nam znak. Wszyscy wstrzymali oddech, gotowi do działania. Spojrzałem w górę, w niebo, i pomyślałem, że walka w powietrzu jest jednak szlachetniejsza od czołgania się po żwirze i kawałkach węgla, ale wtedy moją uwagę zwrócił pewien szczegół. Jeżeli mój wzrok gwałtownie się nie pogorszył, to z kominów wszystkich lokomotyw wydobywał się dym. A skoro z komina lokomotywy wydobywa się dym, to trzeba sobie powiedzieć, że rozpalono w niej ogień. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w jadalni Charles'a podczas niedawnego omlet party (jak powiedzieliby Anglicy z Royal Air Force, siedząc w mesie oficerskiej), wiedziałem już, że wszystko, co zawiera proch, jest niezwykle wrażliwe na ciepło. Tylko cud lub specyficzne właściwości naszych bomb, wykraczające poza chemiczną wiedzę, jaką zdobyłem w szkole, mogłyby sprawić, że nie

doszłoby do eksplozji. Charles z pewnością pomyślałby jak ja: „Mamy poważną problemę”.

Ponieważ, jak zwykł mawiać mój licealny matematyk, nie dzieje się bez przyczyny, wywnioskowałem, że kolejarze, których zapomnieliśmy uprzedzić o akcji, nie wygasili ognia i dorzucali do niego, by rano punktualnie wypuścić transport.

Nie chciałem gasić patriotycznego zapału moich przyjaciół tuż przed akcją, uznałem jednak, że lepiej poinformować Emila i Alonsa o moim odkryciu. Mówiłem szeptem, żeby niepotrzebnie nie alarmować wartowników, bo już konieczność ogłuszenia tamtego żołnierza była dla mnie dość przykra. Szept czy krzyk — Alonso wyglądał na skonsternowanego, gdy patrzył na dymiące kominy. Tak jak ja dostrzegł dylemat, przed jakim stanęliśmy. Zgodnie z planem mieliśmy wprowadzić ładunki wybuchowe przez kominy i zawiesić je w kotłach lokomotyw. Ponieważ temperatura w kotłach była bardzo wysoka, trudno było obliczyć, ile czasu minie do eksplozji bomb, i lonty były tylko zbytecznym akcesorium.

Po szybkich konsultacjach okazało się, że kolejarska kariera Emila nie trwała dość długo, by potrafił nam pomóc w ocenie ryzyka, ale nikt nie mógł mieć mu tego za złe.

Alonso sądził, że bomby wybuchną nam prosto w twarz w połowie komina, Emil podchodził do tej kwestii z większym optymizmem i uważał, że żeliwne tuleje, w których znajduje się dynamit, nie przewodzą ciepła aż tak szybko, ale na pytanie, ile czasu to zajmie, odpowiedział, że nie ma pojęcia. Mój młodszy brat zasugerował, że skoro już tu jesteśmy, warto zaryzykować!

Mówiłem ci już, że nie rezygnowaliśmy. Jutro rano lokomotywy, dymiące czy nie, miały być niezdatne do użytku. Decyzja zapadła bezwzględną większością, bez głosów wstrzymujących

się. Postanowiliśmy mimo wszystko podjąć próbę. Emil znowu uniósł rękę, dając nam znak, ale tym razem ja zadałem pytanie, które nurtowało wszystkich.

— Czy mamy podpalić lonty?

Emil odpowiedział jakby z niechęcią, ale twierdząco.

Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko. Rozbiegliśmy się do lokomotyw, wdrapaliśmy się na te pierwsze. Niektórzy z nas gorąco się przy tym modlili, inni, mniej wierzący, trwali w nadziei, że nie dojdzie do najgorszego. Lont już się żarzył, zostały mi cztery minuty, nie uwzględniając parametrów termicznych, o których już wspominałem. W tym czasie muszę podłożyć pierwszy ładunek, pobiec do drugiej lokomotywy, powtórzyć operację i gnać ku zapewniającemu wybawienie murowi. Bomba opadła, kołysząc się na stalowej linie. Domyślałem się, jak ważne jest jej umocowanie — gdy na palenisku bucha ogień, lepiej było nie dopuścić, by płomień lizały dynamit!

Jeżeli pamięć mnie nie myli — a pamiętam głównie gorąco i przyprawiające o drzenie zimno — upłynęły dobre trzy minuty między chwilą, gdy Charles wyłożył gęsi smalec na patelnię, a momentem, gdy wszyscy padliśmy na podłogę. Jeżeli więc uśmiechnie się do mnie szczęście, to może dokonam żywota rozerwany na strzępy, wśród szczątków lokomotywy, ale przynajmniej nie przed podłożeniem drugiej bomby.

Zresztą biegłem już po torach, wspinałem się na drugą maszynę. Z odległości kilku metrów Alonso dał mi znak, że wszystko jest w porządku. Dodało mi otuchy, że nie zdążył zrobić więcej niż ja. Znam ludzi, którzy odsuwają się, zapalając zapałkę przy kuchence gazowej, bo boją się, że płomień buchnie i ich oparzy. Chciałbym zobaczyć kogoś takiego w momencie, gdy opuszcza trzykilogramową bombę do komina rozgrzanej lokomotywy. Ale jedyne, co mogłoby mnie uspokoić, to świadomość, że mój młodszy brat jest po wszystkim i ucieka.

Alonso został w tyle, schodząc, zachwiał się i stopa utknęła mu między torem a kołem lokomotywy. We trzech usiłowaliśmy go uwolnić, a ja już słyszałem tykanie zegara śmierci.

Wreszcie udało się nam uwolnić Alonsa i pognaliśmy ku ocaleniu. Odrobinę pomógł nam w tym straszliwy huk pierwszego wybuchu, bo rzucił nas wszystkich aż pod mur.

Brat pomógł mi wstać, a ja, na widok jego przyprószonej popiołem czupryny, mimo że kręciło mi się w głowie, odechnąłem z ulgą i pociągnąłem go w stronę rowerów.

— Widzisz, udało się! — powiedział ze śmiechem.

— A cóż to, umiesz się jeszcze śmiać?

— W taki wieczór jak dziś, tak! — odpowiedział, przyspieszając.

W dali słychać było kolejne wybuchy, z nieba opadał deszcz stalowych odłamków. Wciąż jeszcze czuliśmy rozgrzane powietrze. Zatrzymaliśmy się i odwróciliśmy.

Mój brat nie uśmiechał się bez powodu. To nie była noc czternastego lipca ani noc świętojańska. Był dziesiąty października czterdziestego trzeciego roku, a nazajutrz Niemcom miało zabraknąć dwunastu lokomotyw, i dlatego to były najwspanialsze fajerwerki w naszym życiu.

16

Dzień już wstał, a ja miałem spotkać się z bratem i wiedziałem, że się spóźnię. Poprzedniego wieczoru, kiedy rozstawaliśmy się po wysadzeniu lokomotyw, obiecaliśmy sobie, że razem wypijemy kawę. Tęskniliśmy za sobą, coraz rzadziej znajdowaliśmy wolną chwilę na spotkanie. Ubrałem się szybko i właśnie wychodziłem do kawiarni, kilka kroków od placu Esquirol.

— Proszę powiedzieć, co pan właściwie studiuje?

Głos mojej gospodyni rozległ się w korytarzu, kiedy zamykałem drzwi. Z intonacji wywnioskowałem, że to pytanie nie jest podyktowane nagłym zainteresowaniem matki Dublanc moimi zajęciami uniwersyteckimi. Odwróciłem się, aby spojrzeć jej w twarz. Starłem się być jak najbardziej przekonujący. Jeśli moja gospodyni miała jakiegokolwiek podejrzenia, to musiałem się natychmiast wyprowadzić, a może nawet jeszcze dziś opuścić miasto.

— Dlaczego pani pyta?

— Bo gdyby studiował pan medycynę, a jeszcze lepiej weterynarię, miałabym do pana prośbę. Mój kot zachorował, nie chce wstać z fotela.

— Przykro mi, pani Dublanc, szczerze chciałbym pani pomóc, to znaczy kotu, ale studiują rachunkowość.

Myślałem, że sprawa jest załatwiona, ale matka Dublanc natychmiast dodała, że to wielka szkoda. Mówiła to jakby w zadumie i jej zachowanie coraz bardziej mnie niepokoiło.

— Ale może w czymś innym się przydam?

— Gdyby zechciał pan mimo wszystko wpaść do mnie i rzucić okiem na Głuptasa...

I matka Dublanc ujęła mnie pod rękę i zaciągnęła do siebie. Być może chcąc mnie uspokoić, szepnęła mi na ucho, że lepiej, żebyśmy porozmawiali w mieszkaniu, bo w tym domu ściany nie są zbyt grube. Muszę przyznać, że te słowa wcale nie ugasiły moich obaw.

Mieszkanie matki Dublanc przypominało mój pokój, ale jej był z łazienką, no i meblami, co w sumie stanowiło znaczną różnicę. Na fotelu spał bury kot, który wyglądał nie lepiej niż ja, ale powstrzymałem się od uwag.

— Posłuchaj, chłopcze — powiedziała, zamykając drzwi. — Nie obchodzi mnie, czy uczysz się rachunkowości, czy algebry. Miałam tu już kilku takich studentów jak ty, niektórzy zniknęli, nie zabierając nawet rzeczy. Ciebie polubiłam, ale nie chcę kłopotów z policją, a zwłaszcza z milicją.

Potężna pięść ścisnęła mój żołądek, czułem się, jakby ktoś grał w nim w ping-ponga.

— Do czego pani zmierza? — wydukałem.

— Bo jak na studenta mało się uczysz. A poza tym ten twój braciszek, który od czasu do czasu tu zagląda, i wasi koledzy, wyglądają na terrorystów. Dlatego powtarzam: nie chcę mieć kłopotów.

Miałem piekielną ochotę podyskutować z matką Dublanc na temat terroryzmu, ale ostrożność nakazywała mi milczeć, bo przecież ta kobieta miała wobec nas niebezpieczne podejrzenia. A jednak nie zdołałem się powstrzymać.

— Moim zdaniem prawdziwi terroryści to hitlerowcy i te typki z milicji. Bo mówiąc między nami, pani Dublanc, ja i moi koledzy jesteśmy zwyczajnymi studentami, którzy marzą o pokoju na świecie.

— Ależ ja także chcę pokoju, przede wszystkim we własnym domu! Więc staraj się, chłopcze, nie wygłaszać pod moim dachem takich poglądów. Milicjanci nic mi nie zrobili. Kiedy mijam ich na ulicy, widzę dobrze ubranych, bardzo uprzejmych, kulturalnych ludzi. A nie o wszystkich mieszkańcach tego miasta można powiedzieć to samo, wręcz przeciwnie. Rozumiesz, co mam na myśli? Nie chcę tu żadnych problemów, jasne?

— Tak, pani Dublanc — odparłem nieco speszony.

— I nie wmawiaj mi, że powiedziałam coś, czego wcale nie mówiłam. Zgadzam się, że w dzisiejszych czasach studia, które podjęliście, ty i twoi koledzy, wymagają swoistej wiary w przyszłość, może nawet pewnej odwagi, wołałabym jednak, żeby te studia odbywały się poza moim domem... Czy wyraziłam się dość jasno?

— Pani Dublanc, życzę pani sobie, żebym się wyprowadził?

— Dopóki płacisz czynsz, nie mam powodu cię wyrzucać, jednak nie zapraszaj tu kolegów na wspólną naukę. Postaraj się wyglądać na zwykłego chłopaka, który niczym się nie wyróżnia. Tak będzie lepiej i dla mnie, i dla ciebie. To wszystko, co miałam do powiedzenia!

Matka Dublanc mrugnęła do mnie okiem, wskazując drzwi. Pożegnałem ją i biegiem ruszyłem na spotkanie z Claude'em, który prawdopodobnie już się złościł przekonany, że wystawiłem go do wiatru.

Zostałem go nad filiżanką kawy przy stoliku tuż obok okna. Był w towarzystwie Sophie. Kawa nie była prawdziwa, za to Sophie jak najbardziej. Nie zauważyła, że się zaczerwieniłem,

podchodząc do stolika, cóż — myślę, że nie zauważyła — jednak postanowiłem wyjaśnić, iż biegłem tu z powodu spóźnienia. Odniosłem wrażenie, że mój braciszek puścił to mimo uszu. Sophie wstała, chcąc zostawić nas samych, ale Claude zatrzymał ją. Uniemożliwiło nam to rozmowę w cztery oczy, ale przyznaję, że nie miałem mu tego za złe.

Sophie z radością przyjęła zaproszenie. Życie łączniczki nie należało do najłatwiejszych. Podobnie jak ja w miejscu zamieszkania podawała się za studentkę. Wcześniej rano wychodziła z pokoju wynajmowanego w domu przy Côte Pavée, a wracała dopiero późnym wieczorem, aby uniknąć pytań. Kiedy nikogo nie obserwowała, kiedy nie przenosiła broni, snuła się ulicami, czekając do nastania nocy, by w końcu wrócić do domu. Zimą było to znacznie bardziej uciążliwe. Chwile wytchnienia znajdowała tylko podczas krótkich przerw, przy barze. Wtedy miała okazję się ogrzać. Ale nie mogła przesiadywać zbyt długo przy stoliku, by nikogo nie sprowokować. Młoda kobieta, piękna i samotna, od razu zwraca na siebie uwagę.

We środy fundowała sobie bilet do kina, a w niedzielę opowiadała nam film, a właściwie początek filmu, ponieważ na ogół zasypiała po półgodzinie ukołyszana ciepłem, od którego odwykła.

Nie miałem pojęcia, czy odwaga i wytrwałość Sophie miały granice. Była piękna, za jej uśmiech można by oddać życie, i zawsze wiedziała, jak się zachować. Jeżeli wiedząc o tym, nie uzna się, że miałem prawo zaczerwienić się na jej widok, to doprawdy świat jest niesprawiedliwy.

— W zeszłym tygodniu przydarzyło mi się coś zupełnie nieprawdopodobnego — powiedziała Sophie, przeczesując palcami długie włosy.

Ani mój brat, ani ja nie bylibyśmy w stanie jej przerwać.

— Co z wami, chłopaki? Zaniemówiliście?

— Nie, nie, opowiadaj — odparł Claude, uśmiechając się głupkowato.

Zbita z tropu Sophie patrzyła to na mnie, to na niego. Po chwili podjęła:

— Jechałam do Carmaux z trzema karabinami maszynowymi, na które czekał Emil. Charles ukrył je w walizce, oczywiście była dość ciężka. Wsiadłam do pociągu na dworcu w Tuluzie. Otwieram drzwi przedziału i widzę ośmiu żandarmów. Odwracam się na pięcie i już odchodzę, modląc się, żeby się mną nie zainteresowali, ale oto jeden z nich wstaje i proponuje, że trochę się ścieśnia, żeby zrobić dla mnie miejsce, a drugi chce mi pomóc wstawić walizkę. Co byście zrobili na moim miejscu?

— Modliłbym się, żeby mnie zastrzelili na miejscu — odparł mój brat, a po chwili dodał: — Bo na co tu czekać? Wpadasz, no i koniec, racja?

— Koniec czy nie, ja przyjąłam ich pomoc. Wzięli walizkę i wsunęli ją pod ławkę. Pociąg ruszył, a my gawędziliśmy sobie aż do Carmaux. Ale to nie wszystko!

Gdyby w tej chwili Sophie powiedziała: „Jeannot, pocałuję cię, jeżeli zmienisz ten ohydny kolor włosów”, nie obraziłbym się, a w dodatku natychmiast ufarbowałbym włosy. Ale cóż, niczego takiego nie powiedziała, zostałem rudzielcem, a Sophie mówiła dalej z zapałem:

— Pociąg dojeżdża do dworca Carmaux i bach, kontrola! Widzę przez okno, że Niemcy otwierają na peronie wszystkie bagaże. Tym razem mówię sobie, że teraz już po mnie!

— Mimo to siedzisz z nami! — wtrąca Claude, zanurzając palec w resztkę kawy, żeby wylizać resztkę cukru z filiżanki.

— Widząc moją minę, żandarmi zaczęli się śmiać, poklepywali mnie po ramieniu i mówili, że odprowadzą mnie do wyjścia z peronu. A ponieważ nie kryłam zdziwienia, jeden z nich dodał, że woli, żeby tymi szynkami i kiełbasami, które wiozę w walizce, nacieszyła się taka dziewczyna jak ja niż paru żołnierzy Wehrmachtu. Prawda, że to świetna historia? — zakończyła, wybuchając śmiechem.

Jej opowieść zmroziła nam krew w żyłach, ale Sophie była taka wesoła, że poczuliśmy się szczęśliwi choćby dlatego, że mogliśmy siedzieć z nią w kawiarni. Jakby to wszystko była w gruncie rzeczy tylko dziecinna gra, gra, która mogła się zakończyć kilkakrotnym rozstrzelaniem jej bohaterki... ale już realnym.

W tym roku Sophie skończyła siedemnaście lat. Początkowo jej ojciec, górnik z Carmaux, nie popierał udziału córki w walce podziemia. Kiedy Jan przyjął ją do naszych szeregów, ojciec Sophie ostro go zwymyślał, ale że sam przystąpił do Resistance bardzo wcześnie, trudno mu było podważyć decyzję córki, która poszła w jego ślady. Pokłócił się z Janem raczej dla zachowania pozorów.

— Zaczekajcie, to jeszcze nic — ciągnęła, coraz bardziej rozbawiona.

Claude i ja uprzejmie słuchaliśmy zakończenia jej opowieści.

— Na dworcu Emil czekał na mnie przy wejściu na peron. Zauważył, że zbliżam się w kompanii ośmiu żandarmów, z których jeden dźwigał moją walizkę, a w niej pistolety maszynowe. Szkoda, że nie widzieliście jego miny!

— Jak zareagował? — zapytał Claude.

— Z zapalem machałam mu ręką, z daleka wołałam „kochanie”, i dosłownie zawisłam mu na szyi, żeby nie dał nogi. Żandarmi wręczyli mu walizkę i odeszli, życząc nam miłego dnia. Myślę, że jeszcze teraz Emil trzęsie się ze strachu.

— Może zrezygnuje z koszernej żywności, skoro szynka tak skutecznie przynosi szczęście — burknął mój brat.

— Przecież to były pistolety maszynowe, baranie — odparła Sophie. — A poza tym żandarmi mieli akurat dobry humor!

Claude nie myślał o szczęściu, jakie dopisało Sophie w spotkaniu z żandarmami, ale o tym, które spotkało Emila. Nasza koleżanka spojrzała na zegarek i poderwała się z miejsca,

mówiąc: „Muszę iść”, a potem ucałowała każdego z nas i zniknęła. Claude i ja przez godzinę siedzieliśmy obok siebie, nie odzywając się słowem. Rozstaliśmy się wczesnym popołudniem i doskonale wiedzieliśmy, o czym myśli ten drugi.

Zaproponowałem, żebyśmy przełożyli spotkanie w cztery oczy na jutrzejszy wieczór, bo powinniśmy spokojnie pogadać.

— Jutro wieczorem? Nie mogę — pokręcił głową Claude.

O nic nie pytałem, ale z jego milczenia wywnioskowałem, że chodzi o jakąś akcję, a on, widząc moją minę, domyślił się, że milczeniem tylko pogłębia nurtujący mnie niepokój.

— Wpadnę do ciebie, ale później — dodał. — Na pewno nie przed dziesiątą.

Było to z jego strony poświęcenie, bo po akcji musiał przecież pokonać rowerem dużą odległość, by do mnie przyjechać. Ale Claude wiedział, że inaczej przez całą noc nie zmrużyłbym oka.

— W takim razie do jutra, bracie.

— Do jutra.

*

Ostatnia pogawędka z matką Dublanc nie dawała mi spokoju. Gdybym wspomniał o niej Janowi, kazałby mi wynosić się z miasta, a ja nie wyobrażałem sobie rozłąki z bratem... i z Sophie. Z drugiej strony, gdybym nikomu o tym nie powiedział i został aresztowany, ukrywanie tej rozmowy okazałoby się niewybaczalnym błędem. Wskoczyłem więc na rower i pojechałem na mały dworzec w Loubers. Charles zawsze chętnie służył innym radą.

Powitał mnie jak zwykle pogodny i zaproponował, żebym pomógł mu w ogrodzie. Zanim wstąpiłem do Resistance, przez parę miesięcy pracowałem w warzywniku „dworu” i nabrałem wprawy w pieleniu i gracowaniu, więc Charles cenił sobie

moją pomoc. Błyskawicznie podjęliśmy rozmowę. Powtórzyłem mu, co powiedziała mi matka Dublanc, a Charles uspokoił moje obawy.

Uważał, że skoro moja gospodyni nie chce kłopotów, nie zadenuncjuje mnie, bo będzie się bała, że tak czy inaczej nie ominą jej problemy. A poza tym ta uwaga o „studentach” i o zasługach, jakie mają w jej oczach, pozwala sądzić, że nie jest złą kobietą. Charles dodał nawet, że nikogo nie można pochopnie osądzać. Wielu ludzi nie robi nic, bo po prostu się boi, ale to nie znaczy jeszcze, że są donosicielami. Matka Dublanc to prawdopodobnie jedna z tych zastraszonych osób. Okupacja nie wpłynęła na jej życie aż tak, żeby chciała podejmować ryzyko, i kropka.

Trzeba mieć doświadczenie i zdrowy rozsądek, żeby oceniać życie i jego wartość, dodał, wrywając rzodkiewkę.

Charles miał rację, bo większość ludzi zadowala się pracą, dachem nad głową, kilkoma godzinami odpoczynku w niedzielę. To wystarcza, żeby uważali się za szczęśliwych — szczęśliwych, że mają spokój, a nie — że żyją! Dopóki cierpią tylko ich sąsiedzi, dopóki zło nie wdiera się do ich domu, wołać być ślepi i głusi, zachowywać się, jakby to zło nie istniało. I nie zawsze powoduje nimi tchórzostwo, bo niektórym trzeba dużo odwagi, żeby po prostu żyć.

— Przez jakiś czas nie zapraszaj do siebie przyjaciół. Nigdy nic nie wiadomo — dodał Charles.

W milczeniu spulchnialiśmy grządki. On zajął się rzodkiewkami, ja sałatą.

— Przyszaj, że niepokoi cię nie tylko ta rozmowa z gospodynią, co? — rzucił Charles, wręczając mi motykę.

Zwlekałem z odpowiedzią, wiec po chwili podjął.

— Kiedyś przysłała pewna kobieta. Robert prosił, żebym pozwolił jej tu zamieszkać. Była dziesięć lat starsza ode mnie i chora, chciała odpocząć. Powiedziałem, że nie jestem leka-

rzem, ale się zgodziłem. Na górze jest tylko jeden pokój, więc co miałem zrobić? Spaliśmy w jednym łóżku — ona po jednej stronie, ja po drugiej, z poduszką pośrodku. Spędziła u mnie dwa tygodnie: śmialiśmy się i żartowali, opowiadaliśmy sobie mnóstwo rzeczy i przywykłem do jej obecności. Któregoś dnia, gdy już dobrze się czuła, odeszła. Nie zatrzymywałem jej, ale trudno mi było na nowo oswoić się z ciszą. Nocami, kiedy świstał wiatr, wsłuchiwałem się w jego głos we dwoje. Gdy zostałem sam, jego muzyka brzmiała inaczej.

— Nigdy więcej się z nią nie widziałeś?

— Wróciła po dwóch tygodniach i powiedziała, że chce ze mną zostać.

— I co?

— Odpowiedziałem, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeżeli wróci do męża.

— Dlaczego mi o tym mówisz, Charles?

— W której dziewczynie z brygady się zakochałeś?

Milczałem.

— Jeannot, wiem, jak cięży nam samotność, ale to cena działalności w podziemiu.

Ponieważ wciąż milczałem, Charles przerwał pielenie.

Wróciliśmy do domu. Charles dał mi pęczek rzodkiewki w podzięcie za pomoc.

— Widzisz, Jeannot, kobieta, o której ci opowiedziałem, dała mi wspaniałą szansę: pozwoliła, żebym ją kochał. To było zaledwie dwa tygodnie, jednak dla faceta z moją gębą, to piękny prezent. Teraz wystarczy, że o niej pomyślę, abym poczuł się odrobinę szczęśliwy. Powinieneś wracać, wcześniej się teraz ściemnia.

Charles odprowadził mnie do drzwi. Wsiadając na rower, odwróciłem się i zapytałem, czy sądzi, że mimo wszystko mam szanse u Sophie, gdybym spotkał ją po wojnie, kiedy nie będziemy już w podziemiu. Odniosłem wrażenie, że posmutniał

i że się zawahał. Po chwili, z uśmiechem, który wyrażał żal, odpowiedział:

— Jeżeli Sophie i Robert nie będą po zakończeniu wojny razem, to kto wie? Szerokiej drogi, stary, uważaj na patrole przy rogatekach.

*

Wieczorem, kiedy leżałem już w łóżku, myślałem o rozmowie z Charles'em. Przyznałem mu rację — Sophie była wspaniałą przyjaciółką i tak powinno zostać dla naszego dobra. Zresztą, nie chciałem farbować włosów.

*

Postanowiliśmy kontynuować akcję Borisa wymierzoną w milicję. Odkąd te uliczne psy w czarnych ubraniach, ci, którzy szpiegowali nas, żeby skutecznie aresztować, torturowali, handlowali ludzkim nieszczęściem, wystawiając je na licytację, musieli być bezlitośnie tępieni. Tego wieczoru zamierzaliśmy iść na ulicę Alexandre, żeby wysadzić ich norę.

Tymczasem, leżąc w łóżku z ręką pod głową, Claude wpatrywał się w sufit i rozmyślał o tym, co go czeka.

— Dziś nie wrócę — powiedział.

Wszedł Jacques. Usiadł obok niego, ale Claude się nie odzywał. Palcem mierzył długość lontu wsuniętego do bomby — zaledwie piętnaście milimetrów. W końcu mój braciszek szepnął:

— Trudno, i tak pójdę.

Wtedy Jacques uśmiechnął się smutno, bo nie było rozkazu i Claude sam to zaproponował.

— Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? — zapytał.

Claude wcale nie był pewien, ale w uszach brzmiały mu jeszcze słowa, które nasz ojciec wypowiedział w kawiarni des Tourneurs... Po co mu o tym opowiedziałem? Dlatego odparł: „Tak”.

— Dziś wieczorem nie wrócę — wyszeptał mój zaledwie siedemnastoletni brat.

Piętnaście milimetrów lontu to mało — półtorej minuty życia od chwili, gdy usłyszysz trzask palącego się sznurka, dziewięćdziesiąt sekund na ucieczkę.

— Dziś wieczorem nie wrócę — powtórzył znowu — ale milicjanci także nie wrócą dziś do domów. A wielu ludzi, których nie znamy, zyska kilka miesięcy życia, kilka miesięcy nadziei, zanim nowe psy zajmą puste nory nienawiści.

Półtorej minuty dla nas i kilka miesięcy dla nich — gra wydawała się warta świeczki, prawda?

Boris zaczął naszą wojnę z milicją tego dnia, gdy zapadł wyrok na Marcela Langerę. I choćby dla Borisa, który cierpiał teraz w więzieniu Saint-Michel, należało to zrobić. Żeby go ocalić, zabiliśmy już prokuratora Lespinasse'a. Taktyka okazała się skuteczna — podczas procesu Borisa sędziowie jeden po drugim prosili o wyłączenie ze składu sędziowskiego, a oskarżyciele bali się tak bardzo, że żądali jedynie dwudziestu lat więzienia. Tego wieczoru Claude myślał o Borisie i o Erneście. To Ernest dodawał mu odwagi. Miał szesnaście lat, kiedy zginął, wyobrażasz sobie? Podobno, kiedy zatrzymali go milicjanci, zsiakał się na ulicy. Te łotry pozwoliły mu nawet rozpiąć rozporek i ulżyć strachowi, na środku ulicy, na ich oczach, żeby go poniżyć. Ale on wykorzystał ten moment na odbezpieczenie granatu, który miał w spodniach, i pociągnął ich za sobą do piekła. Claude widział szare oczy tego dzieciaka, który zginął na ulicy, mając zaledwie szesnaście lat.

Był piąty listopada, minął niemal miesiąc od zamachu na

Lespinasse'a. „Nie wróćę, ale to nic — powiedział mój młodszy brat — inni będą żyć zamiast mnie”.

Nadeszła noc, a wraz z nią ulewa. „Już czas”, szepnął Jacques, a Claude uniósł głowę i rozplótł ręce. Licz minuty, braciszku, zapamiętaj każdą chwilę, pozwól odwadze wziąć górę, pozwól, żeby ta siła napełniła zgłodniały żołądek. Nigdy nie zapomnisz spojrzenia mamy, jej pieśczoć, kiedy przychodziła utulić cię do snu. Była przy tobie jeszcze kilka miesięcy temu. Pomyśl, jak dłuży się czas, odkąd jej nie ma, pomyśl, że jeśli nawet nie wrócisz, to masz jeszcze przed sobą trochę życia. Wciągnij w płuca powietrze pachnące deszczem, wykonaj gesty, które towarzyszą ci od lat. Chciałbym być przy tobie, ale ja jestem gdzie indziej, a ty zostałeś z Jacques'em.

Claude ścisnął paczuszkę pod pachą, zebrał całą odwagę, potrzebną, żeby podpalić krótki lont. Starał się zapomnieć, że się poci, jak nie zważa się na to, że noc niesie wilgoć. Nie był sam, zawsze byłem przy nim.

Na placu Saint-Paul poczuł pulsowanie w skroniach, przyspieszone bicie serca. Próbował uspokoić ten rytm, dostosować do kroku, jakim szedł na miejsce akcji. Wciąż szedł. Jeżeli szczęście się do niego uśmiechnie, za chwilę będzie biegł ulicą des Creneaux. Ale teraz nie wolno mu myśleć o drodze ucieczki... byle tylko szczęście się do niego uśmiechnęło...

Mój brat skręcił w ulicę Alexandre i poczuł przyptyw odwagi. Milicjant, który stał na warcie przed norą, pomyślał, że skoro Jacques i ty idziecie tak zdecydowanym krokiem, to na pewno należycie do sfory. Brama zamknęła się za wami. Zapaliłeś zapałkę, strzelił ogień, a w waszych głowach zaczął tykać zegar

śmierci. W głębi podwórza, pod oknem, stał rower — rower z koszem na pierwszą bombę zrobioną przez Charles'a. Drzwi. Ruszyłeś korytarzem, zegar wciąż tykał, ile sekund jeszcze zostało? Dwa kroki na każdą z nich, w sumie trzydzieści, ale nie licz, braciszku, zostawiaj ślad, ocalenie jest za tobą, lecz ty wciąż jeszcze musisz iść do przodu.

Dwaj milicjanci, którzy rozmawiali w korytarzu, nie zwrócili na niego uwagi. Claude wszedł do sali, położył paczuszkę przy kaloryferze, zaczął niby to szukać czegoś w kieszeni. Wzruszeniem ramion skwitował własne gapiostwo... milicjant odsunął się pod ścianę, żeby go przepuścić.

Tik-tak... Idź spokojnie, nie pozwól, żeby zdradził cię pot, przenikający już ubranie. Tik-tak. Już jesteś na dziedzińcu, Jacques wskazuje rower, Claude widzi, jak lont znika pod gazetą. Tik-tak. Ile czasu jeszcze zostało? Jacques wyczytał pytanie z jego oczu i bezgłośnie wyszeptał: „Trzydzieści sekund, może mniej?”. Tik-tak, wartownicy ich wypuścili, kazano im zwracać uwagę na wchodzących, a nie na wychodzących.

Znaleźli się na ulicy i Claude zadrżał, gdy zimny wiatr owiał spocone ciało. Jeszcze nie uśmiechał się na myśl o swojej brawurze, jak wtedy, po akcji w lokomotywach. Jeżeli nie pomylił się w rachunkach, powinni minąć intendenturę policji, zanim eksplozja rozerwie noc. Wtedy robi się widno jak w biały dzień, a oni, dzieci wojny, staną się widoczni dla wroga.

„Teraz!”, mówi Jacques, chwytając go za ramię. Ręka Jacquesa zaciska się jak obcęgi przy odgłosie pierwszego wybuchu. Gorący podmuch muska ściany domów, szyby wypadają z brzękiem, jakaś kobieta krzyczy z przerażenia, policjanci gwizdzą, rozbiegają się we wszystkie strony. Na skrzyżowaniu

Jacques i Claude rozstają się. Mój brat, wcisnąwszy głowę w kołnierz kurtki, zamienia się w chłopaka, który wyszedł z fabryki, w jednego z wielu młodych wracających z pracy.

Jacques jest już daleko, przy bulwarze Carnot, jego sylwetka zniknęła w dali, a Claude, choć nie wie dlaczego, znów myśli o śmierci i poddaje się strachowi. Myśli o dniu, kiedy jeden z dwóch powie: „Miałem dziś wieczorem przyjaciela”, i ma do siebie żal, że wyobraża sobie siebie w roli ocalałego.

Przyjdź do mnie, do domu matki Dublanc, braciszku. Jacques pojawi się jutro na pętli dwunastki, a kiedy go zobaczysz, odzyskasz spokój. Tej nocy, gdy otulisz się kołdrą, gdy położysz głowę na poduszce, pamięć podsunie ci w prezencie zapach mamy, okruszek dzieciństwa, które wciąż jeszcze w tobie trwa.

Śpij, braciszku, Jacques wrócił z roboty. Ale ani ty, ani ja nie wiemy, że pewnego sierpniowego wieczoru czterdziestego czwartego roku, w pociągu wiozącym nas do Niemiec, zobaczymy go leżącego z plecami przebitymi kulą.

*

Zaprosiłem moją gospodynię do opery, nie żeby podziękować jej za okazaną życzliwość ani nawet nie dla alibi, po prostu zastosowałem się do rady Charles'a, który uznał, że lepiej będzie, jeżeli nie zauważy, jak po akcji Claude wchodzi do mnie, Bóg wie, w jakim stanie.

Kurtyna szła w górę, a ja, siedząc w mroku na balkonie wielkiej widowni, myślałem tylko o nim. Schowałem klucz pod wycieraczką—dobrze wiedział, gdzie go szukać. A jednak, mimo nurtującej mnie obawy, mimo że nie docierało do mnie, co dzieje się na scenie, czułem się dziwnie dobrze, mogąc być po prostu w jakimś konkretnym miejscu. Wydawałoby się, że to drobiazg, lecz dla wiecznie ukrywającego się człowieka poczucie bezpieczeństwa stanowi cudowne remedium. Świa-

domość, że przez dwie godziny nie muszę ani uciekać, ani się ukrywać, wprawiła mnie w euforię. Oczywiście czułem, że po antrakcie strach przed powrotem zawładnie podarowaną mi na chwilę sferą wolności. Spektakl trwał zaledwie od godziny, a już chwila ciszy ściągała mnie na ziemię, przypominała o samotności, na jaką byłem skazany w sali przeniesionej w cudowny świat sceny. Nie wyobrażałem sobie, że nagłe wtargnięcie garstki niemieckich żandarmów i milicjantów gwałtownie odmieni stosunek mojej gospodyni do Resistance. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a szwargot feldgendarmów położył kres premierze. A opera była dla matki Dublanc świętością. Trzy lata szykanowania, ograniczenia wolności, mordów, całe okrucieństwo i przemoc okupacji faszystowskiej nie zdołały wzbudzić jej oburzenia. Ale przerwać premierę *Pelleasa i Melizandy* — tego było już za wiele! I wtedy matka Dublanc wyszeptała: „Co za dzicz!”.

Tego wieczoru, myśląc o rozmowie z Charles'em, zrozumiałem, że chwila, w której człowiek zyskuje świadomość własnego bytu, na zawsze pozostanie dla mnie zagadką.

Z balkonu obserwowaliśmy, jak te buldogi opróżniają salę w szokującym pośpiechu i z potworną brutalnością. Ci ujadający żołdacy z metalowymi łańcuchami, na których wisały plakietki, naprawdę wyglądali jak buldogi. A towarzyszący im milicjanci w czerni byli przy nich jak wynędzniałe kundle, jakie widuje się na ulicach wyludnionych miast — ze śliną cieknącą z pysków, czerwonymi ślepiami, gotowe ugryźć bardziej z nienawiści niż z głodu. A skoro Debussy musiał zamilknąć, skoro milicjanci szaleli, to już wiedziałem, że Claude'owi się powiodło.

— Chodźmy stąd — powiedziała matka Dublanc, wystrojona w cynobrowy płaszcz, który dodawał jej godności.

Musiałem jednak uspokoić dudniące w piersi serce, aby wstać, bo uginały się pode mną nogi. A jeżeli Claude wpadł?

Jeżeli siedział w cuchnącej pleśnią piwnicy, w łapach oprawców?

— Idziemy? — ponaglała matka Dublanc. — Nie będziemy chyba czekali, aż te bestie nas stąd wyrzuca.

— Czyżby w końcu się stało? — zapytałem, uśmiechając się kątem ust.

— Niby co się stało? — spojrzała na mnie rozgniewana jak nigdy dotąd.

— Pani także zabierze się teraz za „studia”? — odpowiedziałem pytaniem, gdy wreszcie udało mi się wstać.

17

Przed sklepem spożywczym stała długa kolejka. Wszyscy czekali z kartkami żywnościowymi w kieszeniach — fioletowymi na margarynę, czerwonymi na cukier, brązowymi na mięso — tyle że mięso od początku roku zniknęło z lad, trafiało do handlu tylko raz w tygodniu — zielonymi na herbatę lub kawę, chociaż kawę dawno już zastąpiła zbożowa albo cykorja. Trzeba było czekać trzy godziny, żeby dotrzeć do lady i kupić towary umożliwiające zaledwie marne przetrwanie, ale ludzie nie liczyli już upływającego czasu, wpatrzeni w bramę na wprost sklepu. W kolejce nie było stałej klientki. „Taka dzielna kobieta”, mówią jedni, „Taka odważna kobieta”, kiwają głowami inni zasmuceni. Bładym świtem przed domem, w którym mieszkała rodzina Lormondów, zatrzymały się dwa czarne auta.

— Niedawno zabrali jej męża, już kiedy tu byłam — szepce jakaś gosposia.

— Panią Lormond trzymają na górze. Chcą złapać małą, nie zastali jej, kiedy przyszli — dodaje dozorczyzna kamienicy, także stojąca w kolejce.

Mała, o której mówią, ma na imię Gisele. Nie jest to jej prawdziwe imię, a Lormond to przybrane nazwisko. W sąsiedz-

twie wszyscy wiedzą, że to żydowska rodzina, ale najważniejsze, że nie wiedziały o tym ani policja, ani gestapo. W końcu ktoś to odkrył.

— To straszne, co robią z Żydami — westchnęła zapłakana kobieta.

— Pani Lormond była taka uprzejma — podchwytuje inna, podając tamtej chusteczkę.

Na górze, na piętrze, zostało tylko dwóch policjantów i dwóch towarzyszących im gestapowców. W sumie czterech mężczyzn w czarnych koszulach, mundurach, z rewolwerami — silniejszych od stu takich, jacy sterczą w ogonku przed sklepem. Bo ludzie są tak zastraszeni, że ledwie odważą się odezwać, a o działaniu nawet nie marzą...

Dziewczynkę ocaliła pani Pilguez, lokatorka z piątego piętra. Stała w oknie, kiedy na końcu ulicy pojawiły się dwa czarne auta. Pobiegła do Lormondów, żeby uprzedzić o grożącym im aresztowaniu. Mama Gisele błagała o zabranie dziecka i ukrycie go. Dziewczynka miała zaledwie dziesięć lat. Pani Pilguez zgodziła się bez wahania.

Gisele nie zdążyła ucałować ani mamy, ani taty. Pani Pilguez wzięła ją za rękę i zabrała do siebie.

— Widziałem, jak zabierali Żydów i jak dotąd żaden nie wrócił! — mruknął starszy pan, kiedy kolejka trochę się przesunęła.

— Myśli pan, że będą dziś sardynki? — zapytała jakaś pani.

— Nie mam pojęcia. W poniedziałek mieli jeszcze kilka puszek — odpowiedział starszy pan.

— Nie znaleźli jeszcze tej małej i całe szczęście! — westchnęła kobieta tuż za nimi.

— Tak, to dobrze — potwierdził starszy pan, marszcząc brwi.

— Podobno wysyłają ich do obozów i wielu tam zabijają. Mówił o tym kolega męża z fabryki, polski robotnik.

— Nic o tym nie wiem, ale nie powinna pani opowiadać takich rzeczy, zresztą pani mąż też.

— Będzie nam brakowało pana Lormonda — westchnęła kobieta. — Kiedy w tłumie ktoś powiedział coś zabawnego, był to zawsze on.

Wczesnym rankiem, zawsze w czerwonym szalu na szyi, ustawiał się w kolejce. Podtrzymywał ludzi na duchu, kiedy czekali przed sklepem w zimne poranki. Nie mógł im dać nic, poza ludzką serdecznością i ciepłem, ale tej zimny tego najbardziej im brakowało. A teraz pan Lormond już nigdy nic nie powie. Jego dowcipy, które zawsze wywoływały śmiech, poczeka, zabawne historyjki i serdeczne słowa, które pomagały znieść upokarzające racjonowanie towarów, już dwie godziny temu odjechały wozem gestapo.

Ludzie zamilkli, słychać było tylko cichy szept. Z kamienicy wyszła mała grupka. Milicjanci prowadzili potarganą panią Lormond. Szła z wysoko podniesioną głową. Nie bała się. Odebrali jej męża, odebrali córkę, nie odbiorą jednak godności żony i matki. Wszyscy na nią patrzą, więc się uśmiecha — ci ludzie w kolejce nie są przecież niczemu winni, tym uśmiechem żegna się z nimi na swój sposób.

Milicjanci popychają ją w stronę samochodu. Nagle kobieta czuje za plecami obecność swego dziecka. Mała Gisele jest na górze, stoi z nosem przylepionym do szyby na piątym piętrze. Pani Lormond to czuje, wie to. Chciałaby się odwrócić, żeby po raz ostatni uśmiechnąć się do córeczki, czułym gestem okazać, jak bardzo ją kocha. Jedno spojrzenie, ułamek sekundy, ale to dość, żeby dziecko zrozumiało, że ani wojna, ani ludzki obłęd nie pozbawią go matczynej miłości.

Jednak odwracając się, zwróciłaby uwagę na córkę. Przyjazna dłoń ocaliła małą, więc matce nie wolno teraz podejmować ryzyka i narażać jej na niebezpieczeństwo. Ze ściśniętym ser-

cem żegna się z marzeniami i idzie do samochodu, nie oglądając się.

Z piątego piętra kamienicy w Tuluzie dziesięcioletnia dziewczynka patrzy na mamę, która odchodzi na zawsze. Dobrze wie, że matka już nie wróci, ojciec mówił jej o tym — Żydzi, których zabierają, nie mają szans na powrót, dlatego nigdy nie może się pomylić, podając swoje nowe nazwisko.

Pani Pilguez położyła rękę na ramieniu dziewczynki, drugą przytrzymuje firankę w oknie, żeby z dołu nikt ich nie zobaczył. Mimo to Gisele widzi, jak mama wsiada do czarnego auta. Chciałaby jej powiedzieć, że ją kocha i zawsze będzie kochać, że była najlepszą mamą na świecie i że nigdy nie będzie miała innej matki. Ale nie może tego powiedzieć, więc usilnie myśli, bo taki ogrom miłości musi przecież pokonać barierę szyby. Powtarza sobie, że tam, na ulicy, mama słyszy te słowa, choć nie wydobywają się z mocno zaciśniętych ust.

Pani Pilguez przytuliła policzek do głowy dziewczynki i pocałowała ją. Gisele czuła łzy sąsiadki na swojej szyi. Ona nie będzie płakała. Chce tylko patrzeć do samego końca i przysięga sobie, że nigdy nie zapomni grudniowego poranka czterdziestego trzeciego roku, kiedy jej mama odeszła na zawsze.

Drzwiczki samochodu zatrzasnęły się, auta ruszyły. Dziewczynka wyciągnęła ręce w ostatnim geście miłości.

Pani Pilguez ukłękła, żeby być bliżej małej.

— Kochana Gisele, tak mi przykro.

Pani Pilguez płakała gorącymi łzami. Dziewczynka patrzyła na nią, blade się uśmiechając. Otarła łzy z twarzy sąsiadki i powiedziała:

— Mam na imię Sarah.

*

Lokator z czwartego piętra odszedł od okna jadalni w złym humorze. Po drodze przystanął i dmuchnął na ramkę stojącą na komodzie. Paskudny kurz osiadł na fotografii marszałka Petaina. Nareszcie sąsiedzi z dołu przestaną hałasować, nie będzie już wysłuchiwał gam ćwiczonych na pianinie. Jednocześnie pomyślał, że musi nadal zachować czujność i ustalić, kto też mógł ukryć tę paskudną małą Jewrejkę.

18

Już blisko osiem miesięcy służyliśmy w brygadzie i niemal codziennie byliśmy w akcji. Tylko w zeszłym tygodniu uczestniczyłem w czterech z nich. Od początku roku schudłem osiem kilogramów, a moje morale ucierpiało tak samo jak ciało od głodu i wyczerpania. Wieczorem wpadłem po brata i nie mówiąc mu, jakie mam plany, zabrałem go na prawdziwą kolację do jednej z restauracji w Tuluzie. Claude wytrzeszczył oczy, wpatrując się w menu. Sztuka mięsa w rosole, jarzyny, tarta z jabłkami; ceny w Reine Pedauque były niebotyczne, postanowiłem jednak poświęcić na tę ucztę wszystkie pieniądze, ponieważ wbiłem sobie do głowy, że nie doczekam końca roku, a był już początek grudnia!

Wchodząc do lokalu, dostępnego tylko dla kieszeni milicjantów i Niemców, Claude sądził, że zabrałem go na akcję. Kiedy się zorientował, że przyszlismy, żeby się najeść, zobaczyłem, jak na jego twarzy ożywa mimika, jaką pamiętałem z dzieciństwa. Znowu ujrzałem uśmiech, który znałem z jego zabaw z mamą w chowanego w naszym mieszkaniu, tę radość w oczach, gdy mijała szafę, udając, że go nie zauważyła.

— Co świętujemy? — szepnął.

— Co tylko chcesz! Zimę, nas, to, że żyjemy. Sam nie wiem.

— Jak zamierzasz uregulować rachunek?

— Nie zaprzataj sobie tym głowy, delektuj się jedzeniem.

Claude już pożerał oczyma ułożone w koszyczku przed nim kromki chrupiącego chleba. Przypominał pirata, który syci się widokiem złota w zdobyczym kufrze. Pod koniec posiłku, podniesiony na duchu radością młodszego brata, poprosiłem o rachunek. Tymczasem Claude poszedł do toalety.

Wrócił z szyderczym uśmiechem na ustach. Nie chciał już nawet usiąść, powiedział, że musimy natychmiast wyjść. Nie dopiłem jeszcze kawy, ale brat nalegał, żebyśmy się pospieszyli. Musiał wyczuć zagrożenie, którego ja jeszcze nie widziałem. Zapłaciłem, wziąłem płaszcz i wyszliśmy razem. Na ulicy chwycił mnie pod rękę i ciągnął, zmuszając do przyspieszenia kroku.

— Idź szybko, już ci mówiłem!

Zerknąłem przez ramię, podejrzewając, że ktoś nas śledzi, ale na ulicy nie było żywego ducha, a w dodatku widziałem, że mój brat z trudem hamuje gwałtowny wybuch śmiechu.

— Do diabła, powiedz wreszcie, co się stało? Zależy ci, żeby mnie wystraszyć?

— Chodź! — nie ustępował. — Tam, w tej uliczce, wszystko ci wytłumaczę.

Zaciągnął mnie w głąb zaułka i, grając na efekt, rozpiął płaszcz. W szatni Reine Pedauque ukradł pas niemieckiego oficera z mauserem w kaburze.

Szliśmy razem przez miasto, związani wspólną tajemnicą. Wieczór był piękny, suta kolacja przywróciła nam trochę sił i sporo nadziei. Kiedy się żegnaliśmy, zaproponowałem mu spotkanie już nazajutrz.

— Nie mogę, idę na akcję — szepnął Claude. — Och, do diabła z tymi zasadami, jesteś w końcu moim bratem. Skoro nawet tobie nie mogę powiedzieć, co robię, to po co mi to wszystko?

Nie odezwałem się, nie chciałem ani zmuszać go do mówienia, ani powstrzymywać od zwierzeń.

— Jutro muszę ukraść utarg z poczty. Jan chyba myśli, że jestem stworzony do tego, by kraść! Gdybyś wiedział, jak mnie to złości!

Rozumiałem jego rozgoryczenie, jednak dotkliwie brakowało nam pieniędzy. Ci z nas, którzy byli „studentami”, musieli przecież od czasu jeść, jeżeli zależało nam na prowadzeniu walki.

— To bardzo ryzykowne?

— Raczej nie. Może właśnie to mnie najbardziej boli — mruknął Claude.

I przedstawił mi plan działania.

Co rano szefowa poczty przychodziła sama do biura przy ulicy Balzaca. Niosła torbę z zawartością, która z pewnością pozwoliłaby nam przetrwać kilka miesięcy. Claude miał ją ogłuszyć i zabrać łup. Krył go Emil.

— Nie chcę brać pałki! — rzucił, niemal rozgniewany.

— To jak zamierzasz to załatwić?

— Za nic na świecie nie uderzę kobiety! Wystraszę ją, w najgorszym razie odepchnę, wyrwę jej torbę, i po wszystkim.

Nic na to nie powiedziałem. Jan powinien był zrozumieć, że Claude nie ogłuszy kobiety. Bałem się, że sprawa nie potoczy się zgodnie z oczekiwaniami mojego brata.

— Mam odwieźć pieniądze do Albi. Wrócę dopiero za dwa dni.

Wziąłem go w ramiona i przed rozstaniem kazałem obiecać, że będzie ostrożny. Jeszcze raz uścisnęliśmy sobie ręce. Ja

również miałem pojutrze uczestniczyć w akcji i musiałem odebrać od Charles'a amunicję.

*

Zgodnie z planem o siódmej rano Claude zaczął się za krzakami w ogródku otaczającym pocztę. Zgodnie z planem o ósmej dziesięć, podjechał wóz, z którego wysiadła urzędniczka. Potem usłyszał odgłosy jej kroków na wysypanej żwirem ścieżce. Zgodnie z planem Claude wyskoczył zza krzaków, grożąc kobiecie pięścią. Ale zupełnie niezgodnie z tym planem babsztyl ważył sto kilo i nosił okulary!

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Claude próbował ją przewrócić, rzucając się na nią, ale gdyby walnął głową w mur, efekt byłby porównywalny! Lekko ogłuszony, wylądował na ziemi. Teraz pozostało mu tylko powrócić do planu Jana i ogłuszyć urzędniczkę, kiedy jednak spojrzał na jej okulary, pomyślał o mojej straszliwej krótkowzroczności i wyobraził sobie roztrzaskane szkła w oczach ofiary, więc definitywnie zrezygnował z zadania ciosu.

„Łapać złodzieja!”, wrzeszczała kobieta. Claude zmobilizował siły, żeby wyrwać jej torbę, którą tuliła do nad wyraz bujnej piersi. Czy to za sprawą emocji, czy zbyt dużej różnicy sił doszło do walki wręcz i Claude znowu leżał, a sto kilogramów kobiecości przygniotło jego płuca. Bronił się, jak mógł, uwolnił się, chwycił torbę i na oczach oszołomionego Emila wskoczył na rower. Uciekł i nikt go nie gonił. Upewniwszy się, że się udało, Emil odszedł w przeciwną stronę. Zebrało się kilku przechodniów, urzędniczka wstała, ludzie ją uspokajali.

Z przecznicy wyjechał policjant na motocyklu. Natychmiast zrozumiał, co się stało. W dali zauważył Claude'a dodał gazu i ruszył w pościg. Po paru sekundach mój młodszy brat poczuł

porażające uderzenie pałką i runął na jezdnię. Policjant zsiadł z motocykla i rzucił się na niego. Zaczął go brutalnie kopać. Po chwili skuty kajdankami Claude leżał z lufą rewolweru przystawioną do skroni, ale nic sobie z tego nie robił, bo stracił przytomność.

*

Kiedy ją odzyskał, siedział na krześle ze związanymi z tyłu rękami. Przebudzenie nie trwało długo, bo pierwszy policzek wymierzony przez przesłuchującego go komisarza spowodował kolejne omdlenie. Uderzył głową w posadzkę i znowu pograżył się w mroku. Ile czasu upłynęło, zanim otworzył oczy? Kiedy to uczynił, świat stał się czerwony. Opuchnięte powieki zlepiła krew, usta były nabrzmięte i zdeformowane od uderzeń. Claude nic nie mówił, nie jęczał, nawet nie szepnął. Tylko tracąc przytomność, uwalniał się na chwilę od brutalności oprawców, ale kiedy unosił głowę, pałki inspektorów znowu spadały na niego.

— Jesteś żydkiem, co? — zapytał komisarz Fourn. — A dla kogo ta forsa?

Claude zmyślił jakąś historyjkę, taką, w której nie było dzieci walczących o wolność, nie było przyjaciół i nikogo, kogo można by wydać. Ale ta opowiadka nie trzymała się kupy, więc Fourn wrzeszczał:

— Gdzie masz kryjówkę?

Claude musiał wytrzymać dwa dni, nie odpowiadając na to pytanie. Takie są zasady, tyle czasu trzeba, żeby koledzy „posprząтали” lokal. Fourn znowu bije, żarówka pod sufitem kołysze się i wciąga mojego braciszka w swój taniec. Claude wymiotuje, głowa opada mu na pierś.

— Jaki dziś dzień? — zapytał Claude.

— Jesteś tu od dwóch dni — odparł strażnik. — Nieźle cię urządzili, nie poznałbyś samego siebie.

Claude uniósł rękę do twarzy, ledwie jednak jej dotknął, poczuł nieznośny ból. Strażnik mruknął: „Nie podoba mi się to”. Zostawił miskę i zamknął za sobą drzwi.

*

Minęły więc dwa dni. Claude mógł w końcu podać adres.

Emil zapewnił nas, że widział, jak Claude uciekł. Wszyscy myśleli, że coś zatrzymało go w Albi. Po drugiej nocy oczekiwania było za późno, żeby „posprzątać” jego pokój, bo Fourna i jego ludzie już go przetrzasali.

Gorliwi policjanci wyczuli zapach Résistance. Ale w nędznym pokoiku niewiele mogli znaleźć, a niemal nic — zniszczyć. Rozpruli materac. Nic! Podarli poduszkę. Znowu nic! Połamali szufladę w komodzie, a tu znowu nic! Została tylko kuchenka w rogu pokoju. Foruna odsunął żeliwną kratę.

— Zobaczcie, co tu znalazłem! — wrzasnął, szalejąc z radości.

Trzymał w ręku granat. Był ukryty w wygaszonym paleniku.

Pochylił się, prawie wsadził tam głowę i jeden po drugim wyciągał kawałki listu, który Claude napisał do mnie. Nigdy go nie otrzymałem. Ze względu na bezpieczeństwo wołał go podrzeć. Zabrakło tylko paru groszy na węgiel, żeby rozpalić ogień.

*

Kiedy wyszedłem od Charles'a, jak zwykle był w dobrym humorze. O tej porze nie miałem pojęcia, że mojego młodszego

brata aresztowano, miałem nadzieję, że zaszył się w Albi. Pogadaliśmy z Charles'em chwilę w warzywniku i zaraz weszliśmy do domu, bo panował przejmujący chłód. Przed pożegnaniem Charles dał mi broń na akcję, która przewidziana była na następny dzień.

Miałem w kieszeniach dwa granaty, a za pasem rewolwer. Nie tak łatwo jechać drogą z Loubers z takim bagażem.

Zapadła noc, moja uliczka się wyludniła. Postawiłem rower w korytarzu i szukałem klucza do pokoju. Byłem zmęczony jazdą. Wreszcie natrafiłem na klucz w kieszeni. Za dziesięć minut będę pod kołdrą. Światło w korytarzu zgasło. To nic, poradzę sobie z tym zamkiem po ciemku.

Usłyszałem hałas za plecami. Nie zdążyłem się odwrócić — leżałem na posadzce. W ciągu kilku sekund ktoś wykręcił mi ręce, skuł je kajdankami i pobił tak, że twarz spływała mi krwią. W pokoju czekało na mnie sześciu policjantów. Innych sześciu zostało w ogrodzie, kilku zablokowało ulicę. Usłyszałem przeraźliwy krzyk matki Dublanc. Zapiszczały opony samochodów, zaroilo się od policji.

To takie głupie, ale na liście, który napisał do mnie Claude, widniał mój adres. Zabrakło mu tych paru kawałków węgla, żeby go spalić. Życie zależy od takich drobiazków.

*

Wczesnym rankiem, kiedy Jacques nie doczekał się na mnie na miejscu spotkania przed akcją, uznał, że coś przytrafiło mi

się po drodze, że miałem kłopoty przy kontroli dokumentów. Wsiadł na rower i pojechał, żeby „posprzątać” mój pokój, zgodnie z zasadami.

Wpadł w łapy dwóch policjantów, którzy tam czekali.

*

Potraktowano mnie tak jak Claude'a. Komisarz Fournu uchodził za okrutnego i nie bez powodu. Osiemnaście dni przesłuchań, bicia pięściami i pałką, osiemnaście nocy przypalania papierosami i najrozmaitszych tortur. Kiedy komisarz Fournu był w dobrym humorze, zmuszał mnie do klęczenia z wyciągniętymi przed siebie rękami, w których trzymałem dwie książki telefoniczne. Gdy zaczynałem słabnąć, jego noga wystrzeliwała w moją stronę, by trafić między łopatki albo w brzuch czy wreszcie prosto w twarz. Kiedy miał zły nastrój, celował w krocze. Milczałem. W celach komisariatu przy ulicy Rempart-Saint-Etienne było nas dwóch. Czasami, nocą, słyszałem jęki Jacques'a. On także nie pisał ani słowa.

*

Był dwudziesty trzeci grudnia, dwadzieścia dni po zatrzymaniu, a my wciąż nie zaczęliśmy mówić. Rozwścieczony komisarz Fournu podpisał wreszcie nakaz aresztowania. Po jeszcze jednym dniu systematycznego katowania Jacques i ja zostaliśmy przeniesieni.

W furgonie, który wiózł nas do więzienia Saint-Michel, nie wiedziałem jeszcze, że za kilka dni powołane zostaną sądy wojenne, nie wiedziałem, że ludzie będą rozstrzeliwani tuż po

wydaniu wyroku i że taki los czekał każdego zatrzymanego członka ruchu oporu.

Angielskie niebo jest bardzo daleko od mojej udreżonej głowy, nie słyszę już warkotu silnika mojego spitfire'a.

W furgonie, który wiezie nas do kresu podróży, wracam do chłopięcych marzeń. To wszystko było zaledwie osiem miesięcy temu.

*

Dwudziestego trzeciego grudnia czterdziestego trzeciego roku strażnik więzienia Saint-Michel zamknął za mną drzwi celi. Trudno było cokolwiek zobaczyć w tym półmroku. Światło ledwie przedostawało się przez obrzmiałe powieki. Były tak opuchnięte, że mogłem tylko lekko je rozchylić.

Ale w mroku celi więzienia Saint-Michel, pamiętam to do dziś, rozpoznałem słaby głos, głos, który był mi tak bliski.

- Wesołych świąt.
- Wesołych świąt, braciszku.

CZEŚĆ DRUGA

19

Nie sposób przywyknąć do więziennych krat, nie sposób nie drgnąć na dźwięk zatraskujących się drzwi celi, nie sposób wytrzymać obchodu strażników. To wszystko jest niemożliwe, kiedy pozbawiono cię wolności. Jak znaleźć sens naszej obecności w tych murach? Zatrzymali nas francuscy policjanci, wkrótce mieliśmy stanąć przed sądem wojennym, a ci, którzy zaraz potem mieli rozstrzelać nas na dziedzińcu, także byli Francuzami. Jeżeli to miało jakikolwiek sens, to tkwiąc w więzieniu, nie potrafiłem go pojąć.

Ci, którzy byli tam od tygodni, powtarzali mi, że można do tego przywyknąć, że z biegiem czasu zaczyna się organizować nowe życie. Ja myślałem o czasie straconym, liczyłem bezpowrotnie przemijające dni. Nigdy nie dowiem się, jak to jest mieć dwadzieścia lat, a osiemnasty rok życia przeminął, choć nie mogłem zasmakować radości tego wieku. Oczywiście, jak mawiał Claude, wieczorem stawiali przed nami pełną miskę. Żarcie było odrażające, jakaś zupa z kapusty, czasem trochę fasoli z wołkami zbożowymi — nic, co mogłoby dodać sił, ciągłe zdychanie z głodu. Nie siedzimy tu sami — jest kilku

ludzi z MOI* i FTP**, dzielimy celę także z pchłami, pluskami i świerzbem, który nas dręczy.

Nocą Claude tulił się do mnie. Ściany celi lśniły, pokryte szronem. W tym zimnie staraliśmy się być jak najbliżej siebie, żeby choć trochę się ogrzać.

Jacques nie był już sobą. Kiedy się ocknął, zaczął krążyć po celi. Milczał. On także odliczał stracone godziny, czas, który przepadł na zawsze. Może myślał o kobiecie, która została tam, za murem. Tęsknota za drugim człowiekiem to piekło. Zdarzało się, że nocą Jacques unosił rękę, próbując zatrzymać niemożliwe, w geście pieśszoty, która nie była pieśszotą, owładnięty wspomnieniem skóry, której zapach zniknął, i spojrzenia, w którym żyło spokojne zrozumienie.

Zdarzało się, że życzliwy strażnik wsunął nam przez drzwi podziemną ulotkę wydrukowaną przez partyzantów. Jacques czytał nam takie pisemka. Stanowiło to dla niego kompensatę owej frustracji, której nie mógł się wyzbyć. Niemożność działania i bezradność wyniszczały go dzień po dniu. Przypuszczam, że także tęsknota za Osną.

Patrząc na jego rozpacz, tu, w tym posepnym świecie, dostrzegłem jednak najszlachetniejsze piękno naszego świata — człowiek może pogodzić się z myślą o własnej śmierci, ale nie z nieobecnością tych, których kocha.

Jacques zamilkł na chwilę, potem czytał dalej, przekazując nam nowiny o przyjaciołach. Kiedy dowiadaliśmy się, że uszkodzono skrzydła samolotu, że jakiś słup legł na ziemi za sprawą podłożonej przez kolegę bomby, a na ulicy zginał milicjant, dziesięć wagonów zaś nie nadawało się do użycia, a to użycie polegało na deportowaniu niewinnych ludzi, cieszyliśmy się każdym triumfem.

* *Main-d'oeuvre immigrée* — robotnicy obcego obywatelstwa.

** *Francs-tireurs et partisans* — wolni strzelcy i partyzanci.

My sami znaleźliśmy się w piekle świata, w przestrzeni mrocznej i ciasnej, na terytorium, którym władała wyłącznie choroba. Ale w środku tej brudnej, cuchnącej nory, w głębokich ciemnościach otchłani tliła się jeszcze iskierka światła, nieśmiała jak szept. Hiszpanie, którzy siedzieli w sąsiedniej celi, ożywiali ją czasem wieczorami, śpiewając, i nadali jej imię Esperanza.

20

W Nowy Rok nie świętowaliśmy, bo też nie było powodu do świętowania. To tu, w samym jądrze próżni, spotkałem Chahine'a. Mijały kolejne dni stycznia, kilku z nas stanęło już przed sądem, a gdy rozegrała się parodia procesu, ciężarówka przywoziła na dziedziniec trumny. Potem rozlegały się strzały, krzyk więźniów i cisza spowijała śmierć, także tę naszą, która miała nadejść.

Nigdy nie dowiedziałem się, jak naprawdę nazywa się Chahine, ponieważ najczęściej nie miał siły mówić. Nazwałem go tak, bo mając nocami w gorączce, czasem wypowiadał jakieś słowa. Wołał wtedy białego ptaka, który miał przylecieć i oswo-bodzić go. Po arabsku Chahine to nazwa sokoła wędrownego o białym upierzeniu. Ustaliłem to już po wojnie, szperając we wspomnieniach z tamtych lat.

Więziony przez wiele miesięcy Chahine powoli umierał. Jego ciało było pokryte rozjątrzonymi ranami, żołądek ścisnął się tak bardzo, że nie tolerował nawet zupy.

Pewnego ranka, kiedy się iskałem, nasze oczy się spotkały i przywołał mnie spojrzeniem. Podszedłem. Musiał zdobyć się na ogromny wysiłek, żeby się uśmiechnąć — bardzo blado, ale jednak. Jego oczy powędrowały ku nogom. Świerzb zżerał je

bezlitośnie. Zrozumiałem jego błaganie. Śmierć już wkrótce miała go stąd zabrać, ale Chahine pragnął godnie ją powitać, pragnął być przynajmniej czysty, jeśli to w ogóle było tu możliwe. Przysunąłem moje posłanie do jego i nocą iskałem go i wyciągałem z fałd koszuli pluskwy, które się tam legły.

Czasami Chahine uśmiechał się do mnie tym kruchym uśmiechem, który wymagał od niego takiego trudu, ale przecież był formą podziękowania. Ja także pragnąłem gorąco mu podziękować.

Kiedy przynoszono wieczorny posiłek, gestem nakazywał mi oddać jego porcję Claude'owi.

— Po co karmić ciało, które już jest martwe — szeptał. — Ratuj brata, jest młody, ma przed sobą życie.

Chahine czekał, aż dzień zagaśnie, żeby zamienić ze mną parę słów. Prawdopodobnie tylko w ciszy i spokoju nocy odzyskiwał odrobinę siły. W tej ciszy razem odnajdywaliśmy resztki człowieczeństwa.

Ojciec Joseph, więzienny kapelan, poświęcał własne kartki żywnościowe, żeby mu pomóc. Co tydzień przynosił paczkę herbatników. Aby nakarmić Chahine'a, kruszyłem je i zmuszałem go do jedzenia. Potrzebował godziny, czasem nawet dwóch, na uporanie się z jednym herbatnikiem. Wycieńczony, błagał, bym oddał resztę innym, bo dzięki temu wyrzeczenia ojca Josepha nie pójdą na marne.

Widzisz, to historia księdza, który odejmuje sobie jedzenie od ust, żeby ocalić Araba, i Araba, który ratuje Żyda, dając mu wiarę, i Żyda, który trzyma w ramionach konającego Araba i czeka na swoją kolej. To historia świata ludzi, utkana niewyobrażalnymi cudami.

Noc dwudziestego stycznia była mroźna, chłód przenikał nas do szpiku kości. Chahine drżał, a ja tuliłem go do siebie,

ale to drżenie go wyczerpało. Tej nocy nie chciał przełknąć jedzenia, które podsunąłem mu do ust.

— Pomóż mi, chcę tylko odzyskać wolność — powiedział nagle.

Zapytałem, jak mogę mu dać to, czego sam nie mam. Chahine uśmiechnął się i powiedział:

— W wyobraźni.

To były jego ostatnie słowa. Dotrzymałem obietnicy i do świtu myłem jego ciało. Potem, tuż przed wschodem, ubrałem je. Ci z nas, którzy wierzyli, modlili się za niego, i nie miało znaczenia, jak brzmiały słowa ich modlitw, bo płynęły z serca. Ja, choć nigdy nie wierzyłem w Boga, także modliłem się przez chwilę o spełnienie życzeń Chahine'a, o to, by tam odzyskał wolność.

21

W ostatnich dniach stycznia rytm egzekucji na dziedzińcu spowolniał, a to wzbudziło w części z nas nadzieję, że kraj będzie wyzwolony, zanim nadejdzie ich kolej. Kiedy strażnicy ich wywoływali, jeszcze żywili złudne przekonanie, że sąd się opóźni, że dane im będzie nieco więcej czasu, lecz nigdy tak się nie działo i byli rozstrzeliwani.

Choć siedzieliśmy zamknięci w pośępnych murach, choć nie mogliśmy nic zrobić, dowiadywaliśmy się, że akcje naszych kolegów stają się coraz liczniejsze. Resistance tkąła swą sieć, rozwijała się. Brygada miała już uformowane oddziały w całym regionie, zresztą walka o wolność nabierała rozmachu także na terenie kraju. Charles powiedział kiedyś, że wymyśliliśmy wojnę uliczną, i oczywiście przesadził, bo nie my jedni, jednak daliśmy przykład regionowi. Inni szli w nasze ślady i z każdym dniem sytuacja wrogów była coraz trudniejsza, a nasze akcje paraliżowały ich działania. Już żaden transport kolejowy nie był bezpieczny, uszkodzono towary, to, co produkowano we francuskich fabrykach dla wrogiej armii, miało zniszczone instalacje elektryczne lub wadliwe transformatory. Im aktywniej

działali nasi koledzy, tym odważniej szał stawała się ludność, i to ona zasilala szeregi Resistance.

W porze spaceru Hiszpanie powiedzieli nam, że brygada dokonala wczoraj potężnego zamachu. Jacques próbował wyciągnąć coś więcej od jednego z politycznych więźniów hiszpańskich. Nazywał się Boldados i nawet strażnicy trochę się go bali. Był Kastyljczykiem i, jak oni wszyscy, miał w sobie dumę swego kraju, którego bronił podczas wojny domowej i kochał przez lata wygnania, gdy pieszo przeprowiał się przez Pireneje. Przebywając w obozach, nigdy nie przestał śpiewać o Kastylii. Boldados skinął na Jacques'a, stojąc przy kracie, która dzieliła spaceriak na francuski i hiszpański. A kiedy Jacques podszedł, opowiedział mu, co słyszał od przyjaznego nam strażnika.

— Zamachu dokonala jeden z waszych. W zeszłym tygodniu wskoczył do ostatniego tramwaju, a ponieważ się spieszył, nie zauważył, że wagon jest zarezerwowany dla Niemców. Chłopak musiał myśleć o niebieskich migdałach, skoro tak paskudnie się pomylił. Jakiś oficer natychmiast wyrzucił go kopniakiem w tyłek. Twojemu kumplowi to się nie spodobało. Doskonale go rozumiem, bo kopniecie w dupę jest ponizające. Przeprowadził więc coś w rodzaju śledztwa i szybko ustalil, że tramwajem co wieczór oficerowie wracają z seansu w kinie Varietes. Jakby ostatni kurs był tylko dla tych *hijos de putas*. Wrócił po kilku dniach, czyli wczoraj wieczorem, w to samo miejsce, gdzie dostal kopniaka, i czekał tam z trzema kumplami.

Jacques nie odzywał się, wsłuchany w słowa Boldadosa. Gdy zamknął oczy, czuł się, jakby sam uczestniczył w akcji, jakby mógł usłyszeć głos Emila, zobaczyć szyderczy uśmiech na jego ustach, gdy zwęszył dobrą okazję. Opowiedziana w ten

sposób historia może wydać się prosta. Kilka granatów rzuconych błyskawicznym ruchem do tramwaju, ucieczka, faszystowscy oficerowie, którzy nie będą już dowodzili, i dzieciaki z ulicy o twarzach bohaterów. Ale nic z tych rzeczy, nie tak snuje się historia.

Przyczaili się, ledwie ukryci w mroku bram. Strach skręcał im trzewia, drżeli, bo noc była mroźna, tak zimna, że oszroniony bruk błyszczał w świetle księżyca. Ulica już się wyludniła. Krople deszczu sprzed paru dni, które jeszcze zalegały na dnie dziurawej rynny, dudniły pośród ciszy. Jak okiem sięgnąć — ani żywego ducha. Kłęby pary buchały z ust chłopaków przy każdym wydechu. Od czasu do czasu musieli nacierać dłonie, żeby palce nie zatraciły sprawności. Ale jak powstrzymać drżenie, skoro strach zawiera sojusz z zimnem? Wystarczy, że zdradzi ich jakiś drobiazg, a wszystko pójdzie na marne. Emil pamięta swojego przyjaciela, Ernesta, gdy leżał na plecach z rozplataną pierśią, torsem zalany krwią, która tryskała z gardła, sączyła się z ust, nienaturalnie wygiętych nóg, bezwładnych rąk. Miał przed oczami jego zwisającą głowę. Boże, jaki giętki robi się człowiek, którego przeszły kule!

Nie, uwierz mi, nic w tej historii nie potoczyło się tak, jak można sobie wyobrazić. Kiedy strach dominuje nad każdym dniem, przenika noce, to działanie i wiara, że kiedyś wróci wiosna, wymagają ogromnej siły charakteru. I trudno umierać za wolność innych, kiedy się ma tylko szesnaście lat.

Z oddali zgrzyty i podzwanianie zdradziły nadjeżdżający tramwaj. Jego światła wytyczały drogę pośród nocy. Andre brał

udział w akcji z Emilem i Francois. Są razem i dzięki temu mogą działać. Każdy z nich bez dwóch pozostałych byłby innym chłopakiem. Ich ręce wsunęły się do kieszeni palt. Odbezpieczyli granaty, wprawnie je trzymając. Wystarczyłaby byle niezręczność, żeby wszystko się skończyło. Policja pozbierałaby strzępy Emila rozrzucone po jezdni. Śmierć jest odrażająca, to dla nikogo nie jest tajemnicą.

Tramwaj sunął po torach, sylwetki żołnierzy odbijały się w rozświetlonych szybach wagonu. Trzeba było się jeszcze wstrzymać, cierpliwie czekać, opanować bicie serca, które sprawia, że krew tak dudni w skroniach. „Teraz”, szepnął Emil. Zawlecзки opadły na bruk. Granaty roztrzaskały szyby i znalazły się na podłodze wagonu.

Faszyści zapomnieli o swojej bucie, próbowali uciec, zanim rozpęta się piekło. Emil dał znak Francois, który stał po drugiej stronie ulicy. Pistolety maszynowe zostały rozbrojone, padły strzały, eksplodowały granaty.

Słowa wypowiedane przez Boldadosa były tak precyzyjne, że Jacques niemal czuje zapach spalenizny. Nie odzywa się, jego milczenie stapia się z ciszą, która zapadła wczoraj wieczorem na przerażonej ulicy. I w tej ciszy słyszy jęki rannych.

Boldados patrzył na niego. Jacques podziękował mu skinieniem głowy. Mężczyźni odeszli, każdy w swoją stronę.

„Kiedyś znów nastanie wiosna”, szepnął nasz przyjaciel, dołączając do nas.

Styczeń przeminał. W celi często myślałem o Chahinie. Claude bardzo osłabł. Czasem kolega przynosił z izby chorych pastylkę siarki. Nie używał jej do ukojenia poparzonego gardła, ale pocierał o nią zapałki. Wtedy koledzy skupiali się wokół niego, by na spółkę wypalić papierosa. Ale dziś żadnemu z nas nie było to w głowie.

Francois i Andre wyjechali, by wesprzeć partyzantkę, która powstała w Lot-et-Garonne. Gdy wrócili z tej misji, czekał na nich oddział żandarmerii. Dwadzieścia pięć kepi przeciw dwóm gawroszkom — trudno to nazwać równą walką. Natychmiast przyznali się do działania w Resistance, odkąd bowiem zaczęły krążyć pogłoski o prawdopodobnej klęsce Niemiec, siły porządkowe nie czuły się już tak pewnie, a niektórzy myśleli o przyszłości i wahali się. Jednak ci, którzy przyszli po naszych przyjaciół, jeszcze nie zmienili zdania ani obozu, więc dokonali brutalnego aresztowania.

Wchodząc na posterunek żandarmerii, Andre nawet się nie bał. Odbezpieczył granat i rzucił go na ziemię. Nie próbował uciekać i gdy wszyscy szukali kryjówki, on jeden stał nieruchomo, wpatrzony w turlający się po podłodze kształt. Granat

zatrzymał się między dwiema deskami, ale nie eksplodował. Żandarmi rzucili się na niego i odpłacili z nawiązką za ten brawurowy akt.

Zakrwawiony, opuchnięty rano trafił do celi. Teraz był w izbie chorych. Miał połamane żebra i szczękę, rozcięte czoło i sporo drobniejszych okaleczeń. Typowy przypadek.

*

W więzieniu Saint-Michel dowódca straży nazywał się Touchin. To on otwierał cele przed popołudniowym spacerem. Około piątej potrząsał pękiem kluczy, dając początek kaskadzie szczękających zasuw. Musieliśmy czekać na jego znak, by wyjść, jednak kiedy już rozległ się gwizdek dowódcy Touchina, odliczaliśmy jeszcze kilka sekund i dopiero wtedy przekraczaliśmy próg celi, a wszystko po to, żeby zrobić mu na złość. Drzwi otwierały się równocześnie, a więźniowie stawali pod ścianą. Dowódca straży w towarzystwie dwóch podwładnych czekał, przęcąc się w mundurze. Gdy uznał, że wszystko jest w porządku, z pałką w ręku przechodził wzdłuż szeregu więźniów.

Każdy musiał odpowiednio go powitać — a to skinieniem głowy, a to uniesieniem brwi czy westchnieniem, bo dowódca chciał, aby okazywać uznanie dla jego władzy. Po przeglądzie wszyscy wykonywali zwrot i ruszali gęsiego w małych odstępach.

Po naszym powrocie ze spaceru podobny ceremoniał czekał hiszpańskich kolegów. Było ich pięćdziesięciu siedmiu i zajmowali przeznaczoną dla nich część piętra.

Przechodziliśmy przed Touchinem, znowu go pozdrawiając. Ale Hiszpanie musieli w dodatku rozbierać się w korytarzu i zostawiać ubranie na poręczy. Do celi sypialnej wchodzili kompletnie nadszy. Touchin mówił, że regulamin nakazuje więź-

niom rozbierać się na noc ze względów bezpieczeństwa. Nawet kalesony wydawały się groźne. „Rzadko się zdarza, żeby facet próbował ucieczki z jajami na wierzchu — wyjaśniał. — W mieście szybko by takiego zauważono”.

My jednak dobrze wiemy, że nie to leży u podstaw tak podłego regulaminu. Po prostu ci, którzy go wprowadzali, wiedzieli, na jakie poniżenie skazują więźniów.

Touchin także zdawał sobie z tego sprawę, ale miał to gdzieś. Jego codzienna rozrywka polegała na patrzeniu, jak Hiszpanie maszerują przed nim i pozdrawiają go — pięćdziesiąt siedem pozdrowień, bo było ich pięćdziesięciu siedmiu, to pięćdziesiąt siedem dreszczy rozkoszy dla naczelnego strażnika Touchina.

A zatem Hiszpanie szli przed nim i pozdrawiali go, bo tak nakazywał regulamin. Zawsze sprawiali mu lekki zawód, bo w tych facetach było coś, czego nie potrafił okiełznać.

Kolumna się przesuwała, prowadził ją Rubio. W zasadzie na czele powinien iść Boldados, ale już ci mówiłem, że Boldados był Kastyljczykiem i człowiekiem tak dumnym, że gotów by strzelić strażnika pięścią w pysk albo nawet wyrzucić go przez balustradę, wyzywając od *hijo de puta*. I dlatego Rubio szedł pierwszy, tak było bezpieczniej, zwłaszcza dziś wieczorem.

Rubia znałem lepiej niż innych, ponieważ mieliśmy ze sobą coś wspólnego, pewną cechę, która sprawiała, że trudno było nas odróżnić. Rubio był rudy, piegowaty i jasnooki, ale natura obeszała się z nim łaskawiej niż ze mną. Miał doskonały wzrok, a ja byłem krótkowidzem i bez okularów stawałem się niemal ślepy. Rubio miał niezrównane poczucie humoru, wystarczyło, że otworzył usta, a wszyscy już się śmiali. Tu, w tym posępnym więzieniu, to szczególnie cenny dar, bo za szarymi, brudnymi kratami, które wychodzą na korytarz, ludziom rzadko chce się śmiać.

Rubio musiał mieć niesamowite powodzenie u dziewczyn, kiedy był na wolności. Postanowiłem go poprosić, żeby zdradził

mi kilka sztuczek, tak na wszelki wypadek, gdybym jeszcze kiedyś zobaczył Sophie.

Hiszpanie szli gęsiego, a Touchin ich liczył. Rubio maszerował z niezmaconym spokojem, przystanął, wykonał jakieś dygnięcie przed dowódcą straży, a ten z zachwytem wziął je za ukłon, choć Rubio robił sobie z niego jawne kpiny. Za Rubiem szedł stary profesor, który chciał uczyć katalońskiego, chłop, który nauczył się czytać w więzieniu, a potem recytował utwory Garcii Lorki, dawny burmistrz miasteczka w Asturii, inżynier, który potrafił znaleźć wodę, nawet gdy kryła się w trzewiach góry, zafascynowany rewolucją francuską górnik, który śpiewał czasami pieśni Rougeta de Lisie'a, choć nie wiem, czy naprawdę je rozumiał.

Więźniowie stanęli przed celą sypialną i zaczęli się rozbierać.

Zrzucali z siebie ubrania, w których walczyli podczas wojny domowej w Hiszpanii. Ich płócienne spodnie trzymały się tylko na wytartych sznurach, sandały, które szyli w obozach, właściwie nie miały już podeszew, koszule były podarte, ale nawet w łachmanach nasi hiszpańscy towarzysze prezentowali się godnie. Kastylia jest piękna i ma piękne dzieci.

Touchin głaskał się po brzuchu, odbiło mu się, wytarł nos ręką, a rękę wytarł o mundur.

Zauważył, że tego wieczoru Hiszpanie jakby się rozluźnili, wszystko robili staranniej niż dotąd. Składali spodnie, zdejmowali koszule i wieszali je na balustradzie. Wszyscy razem pochylili się i ustawiali sandały na posadzce. Touchin machnął pałką, jakby tym gestem chciał dyktować tempo.

Pięćdziesiąt siedem chudych i bladych ciał zwróciło się w jego stronę. Touchin przyglądał im się, zatrzymywał wzrok na każdym z osobna, bo coś nie grało, ale co? Strażnik uniósł kepi, podrapał się po głowie, przechylił w tył, jakby ta pozycja

pomogła mu uzyskać dystans. Był pewien, że coś tu jest nie tak, tylko co? Zerknął na kolegę po swojej lewicy, ale tamten wzruszył ramionami, więc spojrział na tego po prawej, ale tamten także uniósł ramiona, i wtedy Touchin odkrył oburzający fakt: „A cóż mają znaczyć te kalesony na tyłkach, kiedy powiniście zostać z gołą dupą?!”. Oczywiście, że Touchin nie na darmo tu dowodzi, bo dwaj jego podwładni nawet nie zauważyli oszustwa więźniów. Touchin wychylił się jeszcze, żeby sprawdzić, czy w szeregu przynajmniej jeden wypełnił regulamin, ale nie, wszyscy bez wyjątku byli wciąż w gaciach.

Rubio powstrzymywał się od śmiechu, chociaż na widok głupiej miny Touchina aż go skręcało. Rozgrywała się najprawdziwsza bitwa, chociaż na pozór tak niewinna. A jednak szło o wysoką stawkę. Ta bitwa była pierwsza, wygrana oznaczała, że po niej będą inne.

Rubio, niezrównany w drwieniu z Touchina, patrzył na niego niewinnie, pytając wzrokiem, dlaczego nie może jeszcze wrócić do celi.

A ponieważ osłupiały Touchin wciąż nic nie mówił, Rubio zrobił krok do przodu, reszta więźniów zaś poszła w jego ślady. Wtedy bezradny Touchin podbiegł do drzwi celi i rozkładając ręce, zablokował im drogę.

— Dajcie spokój, znacie przecież regulamin — tłumaczył, chcąc uniknąć problemów. — Więzień i kalesony nie mogą wejść razem do celi. Kalesony śpią na balustradzie, a więzień w sypialni. Zawsze tak było, więc dlaczego dziś wieczorem mielibyśmy coś zmieniać? No, Rubio, nie udawaj idioty.

Rubio nie zmienił zdania, zmierzył Touchina ostrym spojrzeniem i powiedział spokojnie w ojczystym języku, że nie zdejmie kalesonów.

Touchin zaczął mu grozić, próbował pchnąć, chwycić za ramię i potrząsnąć. Ale przy wilgoci i zimnie posadzka, wytarta od ciągłych wędrowek licznych więźniów, była śliska. Strażnik

stracił równowagę i runął na plecy. Jego koledzy podbiegli, żeby go podnieść. Rozwścieczony Touchin zamierzył się, chcąc uderzyć Rubia, Boldados wysunął się do przodu i osłonił kolegę. Zacisnął pięści, jednak przysiągł współwięźniom, że ich nie użyje, że nie zniweczy ich wybiegu, dając się ponieść gniewowi, choćby nawet słusznemu.

— Ja też nie ściągnę gaci, szefie!

Purpurowy Touchin zaczął wymachiwać pałką, krzyząc:

— To ma być bunt? Pożałujecie! Obaj do karceru, na mi-siąc! Ja was nauczę porządku!

Ledwie zamknął usta, gdy pozostałych pięćdziesięciu pięciu Hiszpanów wysunęło się do przodu i także ruszyło do karceru. A tam już dwóm osobom byłoby ciasno. Touchin nie był zbyt dobry z geometrii, dostrzegł jednak ogrom problemu, z jakim musiał się zmierzyć.

Szukając wyjścia z sytuacji, wciąż wymachiwał pałką. Uważał, że gdyby przestał, przyznałby się do porażki i utraty twarzy. Rubio spojrzął na kompanów, uśmiechnął się i zaczął wymachiwać rękami, ale tak, żeby nawet nie musnąć żadnego ze strażników i nie dać pretekstu do wezwania posiłków. Rubio gestykulował, kreśląc w powietrzu kręgi, reszta wzięła z niego przykład. Pięćdziesiąt siedem par rąk przecinało powietrze, a z niższych pięter dobiegały głosy więźniów. Jedni śpiewali *Marsylianka*, inni *Międzynarodówkę*, na parterze rozbrzmiała *Pieśń partyzantów*.

Dowódca straży nie miał wyboru, poddał się, bunt ogarnął całe więzienie. Pałka Touchina opadła i znieruchomiała. Dał więźniom znak, by weszli do celi sypialnej.

Jak widzisz, tego wieczoru Hiszpanie wygrali wojnę kalesonową. To była dopiero pierwsza bitwa. Kiedy nazajutrz Rubio opowiadał mi na dziedzińcu o szczegółach tego wydarzenia, podaliśmy sobie ręce przez kratę. A kiedy zapytał, co o tym wszystkim sądzę, odparłem:

— Trzeba zdobyć jeszcze niejedną Bastylię.

Rolnik, który śpiewał *Marsylianke*, zmarł pewnego dnia w celi, staruszek profesor, który chciał uczyć katalońskiego, nie wrócił z Mauthausen, Rubio został deportowany, ale wrócił do domu, Boldadosa rozstrzelano w Madrycie, burmistrz miasteczka w Asturii znowu tam zamieszkał, a jego wnuk został burmistrzem, gdy pomniki generała Franco zrzucano z cokołów.

A Touchin po wyzwoleniu objął funkcję dyrektora więzienia w Agen.

23

Wczesnym rankiem siedemnastego lutego strażnicy wyprowadzili Andre. Opuuszczając celę, wrzucił ramionami i zerknął na nas. Drzwi się zatrzasnęły, a on szedł między dwoma strażnikami do siedziby sądu wojennego na terenie więzienia. Nikt nie wygłosił mowy, nie było nawet adwokata.

Wystarczyła minuta, żeby skazać człowieka na śmierć. Pluton egzekucyjny czekał już na dziedzińcu.

Żandarmi przyjechali specjalnie z Grenade-sur-Garonne, gdzie Andre został schwytany. Musieli dokończyć to, co zaczęli.

Andre chciał się pożegnać, ale regulamin na to nie zezwalał. Przed śmiercią napisał krótki list do matki i dał go zastępującemu Touchina Theilowi.

Potem przywiązali go do słupa. Poprosił o chwilę zwłoki, tyle żeby zdjąć z palca obrączkę. Nadzorca Theil trochę się złościł, jednak wziął obrączkę, którą Andre powierzył mu, błagając, aby oddał ją jego matce. „To jej obrączka”, wyjaśnił. Dała mu ją w dniu, gdy dołączył do brygady. Theil obiecał spełnić prośbę i kazał związać mu ręce.

Trzymając się krat w celach, wyobrażaliśmy sobie, jak dwunastu ludzi w hełmach staje w szyku. Andre uniósł głowę.

Karabiny szczęknęły, a my zacisnęliśmy pięści, gdy dwanaście kul rozdarło chude ciało naszego przyjaciela. Zgięty w pół został pod słupem z głową odrzuconą na bok i rozchylonymi ustami, z których płynęła krew.

Egzekucja została wykonana, żandarmi odeszli. Nadzorca Theil podarł list Andre i schował do kieszeni obrączkę. Jutro miał się zająć następnym z nas.

Sabatier, którego aresztowano w Montauban, został rozstrzelany pod tym samym słupem. Za jego plecami krew Andre jeszcze całkiem nie zaschła.

Nocą czasami widzę jeszcze skrawki papieru, które unoszą się na wietrze nad dziedzińcem więzienia Saint-Michel. W moim koszmarze wirują aż pod mur za słupem straceń i skleją się ze sobą, by złożyć słowa, które Andre napisał tuż przed śmiercią. Miał zaledwie osiemnaście lat.

Pod koniec wojny nadzorca Theil został mianowany dyrektorem więzienia w Lens.

*

Za kilka dni miał się odbyć proces Borisa i obawialiśmy się najgorszego. Ale w Lyonie mieliśmy braci.

Ich grupa nazywała się Carmagnole-Liberte. Wczoraj policzyli się z prokuratorem, który, tak jak Lespinasse, doprowadził do ścięcia jednego z członków ruchu oporu. Ich kolega, Simon Frid, zginął, ale prokurator Faure-Pingelli zapłacił za to głową. Po tym zamachu już żaden prokurator nie ważył się żądać kary śmierci dla naszych ludzi. Boris, skazany na dwadzieścia lat więzienia, nie przejął się wymiarem kary, jego walka trwała przecież za murami więzienia. Na dowód tego Hiszpanie przekazali nam, że dom jednego z milicjantów wyleciał wczoraj

wieczorem w powietrze. Udało mi się przesłać Borisowi gryps, żeby i on się o tym dowiedział.

Boris nie miał pojęcia, że pierwszego dnia wiosny czterdziestego piątego roku umrze w obozie koncentracyjnym Gusen.

*

— Nie rób takiej miny, Jeannot!

Głos Jacques'a wyrwał mnie z odrętwienia. Uniósłem głowę, wziąłem papierosa, którego mi podał, i skinąłem na Claude'a, żeby przyszedł się zaciągnąć. Ale mój młodszy brat był zmęczony i wołał leżeć pod ścianą celi. Nie męczyły go głód, pragnienie ani pluskwy, które dokuczały nam w nocy, czy wreszcie szykany ze strony strażników. Mój brat był przygnębiony, bo tkwił tu i nie mógł działać, a ja doskonale go rozumiałem, dzielając ten żal i smutek.

— Nie poddamy się — mówił Jacques. — Za murem inni wciąż walczą, a alianci w końcu wyłądują, sam zobaczysz.

Mówiąc to, żeby mnie pocieszyć, Jacques nawet się nie domyślał, że koledzy przygotowali akcję w kinie Varietes, gdzie wyświetlano wyłącznie propagandowe filmy niemieckie.

Rosine, Marius i Enzo dokonali zamachu, ale bomby nie przygotował tym razem Charles. Wybuch musiał nastąpić po zakończeniu seansu, kiedy kino będzie puste, żeby nie spowodować ofiar wśród ludności cywilnej. Bomba, którą Rosine miała pozostawić pod fotelem, została wyposażona w zapalnik z opóźnieniem, a nasz ogrodnik z Loubers nie dysponował częściami koniecznymi do jej skonstruowania. Zamach miał nastąpić wczoraj wieczorem. Grano *Żyda Siissa*. Ale wszędzie było pełno policji, kontrolowano wchodzących, przetrząsano torebki i teczki, więc koledzy nie mogli wejść z towarem.

Jan postanowił przełożyć akcję na następny wieczór. Tym razem nie było kontroli przy wejściu, Rosine weszła do sali i usiadła obok Mariusa, który wsunął torbę z bombą pod fotel. Enzo zajął miejsce za nimi, żeby upewnić się, czy nikt tego nie zauważył. Gdybym wcześniej wiedział jak ma przebiegać akcja, zazdrościłbym Mariusowi wieczoru w kinie u boku Rosine. To była śliczna dziewczyna o śpiewnym akcencie i głosie, który przyprawiał o dreszcz.

Zgasły światła, na ekranie kina Varietes pojawiły się aktualności. Rosine wtuliła się w fotel, jej długie, ciemne włosy opadły na ramiona. Enzo nie przegapił powabnego, eleganckiego ruchu jej szyi. Trudno skoncentrować się na filmie, kiedy ma się pod nogami dwa kilogramy materiałów wybuchowych. Marius na próżno tłumaczył sobie, że to nic takiego. Był podenerwowany. Nie lubił pracować z materiałem, którego nie znał. Miał zaufanie do Charles'a i nie bał się przygotowanych przez niego ładunków, bo przyjaciel zawsze dobrze wykonywał swoją robotę. Ale teraz mechanizm był inny, a bomba zbyt skomplikowana jak na jego gust.

Pod koniec spektaklu trzeba będzie wsunąć rękę do torby Rosine i stłuc szklaną ampułkę z kwasem siarkowym. Po trzydziestu minutach kwas przeżre ścianę małej metalowej puszkki z chlorkiem potasu. Łącząc się ze sobą, te dwie substancje spowodują uruchomienie zapalników umieszczonych w ładunku. Ale dla Mariusa chemiczne sztuczki były zbyt wymyślne. Lubiał proste mechanizmy, takie jakimi posługiwał się Charles — dynamit i lont. Kiedy lont się pali, trzeba tylko odliczać sekundy. W razie problemów wystarczy odrobina odwagi i zręczności, żeby wyciągnąć sznurek. W dodatku ten mechanizm został wzbogacony o inny, umieszczony pod brzuchem bomby — cztery małe baterie i kuleczka rtęci miały spowodować

natychmiastową eksplozję w razie, gdyby ktoś z obsługi zauważył ją i próbował podnieść już po uzbrojeniu.

Dlatego Marius pocił się i na próżno usiłował skupić na filmie. Był w stanie tylko dyskretnie zerkać na Rosine, która udawała, że tego nie dostrzega, aż w końcu klepnęła go mocno po nodze, żeby mu przypomnieć, że spektakl rozgrywa się przed nim, a nie na jej szyi.

Nawet u boku Rosine przemijające minuty wyjątkowo dłużyły się tego dnia w kinie Varietes. Oczywiście, Rosine, Enzo i Marius mogli uczynnić mechanizm podczas antraktu i natychmiast się zwijać. Sprawa byłaby załatwiona, a oni wróciliby do domu, zamiast pocić się ze strachu. Ale już mówiłem, że nigdy nie zabijaliśmy niewinnych ludzi, choćby idiotów. Dlatego cała trójka czekała do końca seansu, żeby uruchomić mechanizm tuż przed opuszczeniem sali przez widzów, a nie wcześniej.

Wreszcie zapaliło się światło. Ludzie wstawali i kierowali się do wyjścia. Rosine i Marius, którzy siedzą w środku rzędu nie ruszają się z miejsc, czekając, aż wszyscy wyjdą. Także Enzo wciąż siedzi. Przy końcu rzędu jakaś starsza pani bez pośpiechu zakłada paltó. Jej sąsiad nie chce dłużej czekać. Poirytowany odwraca się i rusza w drugą stronę.

— Nie siedźcie tak, film się skończył! — gniewa się.

— Narzeczona źle się poczuła — mówi Marius. — Czekamy, aż dojdzie do siebie, żeby wstać.

Rosine pomyślała w skrytości ducha, że Mariusowi nie brak tupetu, że nie omieszka mu o tym powiedzieć, kiedy wreszcie stąd wyjdą! Tymczasem chciałaby tylko, żeby ten facet zniknął tak, jak się tu pojawił.

Mężczyzna zerknął w tył, starsza pani już poszła, ale on

musiałby znowu mijać cały rząd. Trudno — oparł się o fotele i utorował sobie drogę przed tym głupim chłopakiem, który ciągle tkwił na swoim miejscu, chociaż z ekranu zniknęły już nawet napisy, zrobił krok, lekko trącając jego partnerkę, która wydawała mu się za młoda na zasłabnięcia, i odszedł bez słowa przeprosin.

Mariusz wolno odwrócił się do Rosine. Dziwnie się uśmiechała. Coś jest nie tak i on o tym wiedział, czuł to. Rosine była błada jak ściana.

— Ten dureń nadepnął na moją torbę!

To były ostatnie słowa, jakie usłyszał Mariusz. Mechanizm został uruchomiony, a w czasie przepychanki bomba się odwróciła i kropla rtęci zetknęła się z bateriami, powodując niemal natychmiastową eksplozję. Mariusz, rozerwany na pół, zginął na miejscu. Enzo, którego odrzuciło do tyłu, upadając, widział, jak ciało Rosine wolno się wzbija i spada trzy rzędy dalej. Próbował pospieszyć jej z pomocą, ale osunął się na ziemię — miał rozplataną, niemal oberwaną nogę.

Leżał na ziemi i nawet nie słyszał, jak wbiegli policjanci, bo bębunki pękły mu od huków. Dziesięć rzędów foteli w kinie uległo zniszczeniu.

Policjanci podnieśli go i zabrali. Mocno krwawił, był półprzytomny. Widział tylko leżącą na ziemi Rosine, wokół której wciąż powiększała się kałuża krwi. Jej twarz była nieruchoma.

To stało się wczoraj, w kinie Varietes, po zakończeniu seansu. Enzo dobrze to zapamiętał. Rosine była piękna jak wiosna. Przewieziono ich do szpitala l'Hôtel-Dieu.

Wczesnym rankiem Rosine zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Nogę Enza jakoś zszyto, chirurdzy zrobili, co mogli.

Przed drzwiami stali na straży trzej milicjanci.

Zwłoki Mariusa rzucono do zbiorowego grobu na cmentarzu w Tuluzie. Nocami często myślę o nich w celi więzienia Saint-Michel. Żeby nie zatarły się ich twarze, żeby nie zapomnieć ich odwagi.

*

Nazajutrz Stefan, który wrócił po wykonaniu zadania w Agen, spotkał się z Marianne. Czekala na niego na dworcu kompletnie zdruzgotana. Stefan objął ją i wyprowadził na zewnątrz.

— Już wiesz? — zapytała ze ściśniętym gardłem.

Z jego twarzy odgadła, że nie słyszał o dramacie, jaki rozegrał się wczoraj w sali kina Varietes. Gdy szli ulicą, powiedziała mu o śmierci Rosine i Mariusa.

— Gdzie jest teraz Enzo? — zapytał Stefan.

— W l'Hôtel-Dieu — odparła.

— Znam lekarza, który pracuje tam na chirurgii. Facet jest nam przychylny, zobaczę, co da się zrobić.

Marianne poszła ze Stefanem do szpitala. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa, oboje myśleli o Rosine i Mariusie. Tuż przed szpitalem Stefan przerwał milczenie.

— A gdzie jest Rosine?

— W kostnicy. Dziś rano Jan był u jej ojca.

— Rozumiem. Pamiętaj, że śmierć naszych przyjaciół byłaby daremna, gdybyśmy nie dotrwali do końca.

— Stefanie, nie wiem, czy koniec, o którym mówisz, naprawdę istnieje, czy kiedyś obudzimy się z tego koszmaru, który przeżywamy od wielu miesięcy. Jeżeli chcesz wiedzieć, czy się boję, odkąd dowiedziałam się o śmierci Rosine i Mariusa, to przyznaję, że tak. Boję się, wstając rano, boję się przez cały dzień, kiedy chodzę po ulicach, zbierając informacje i śledząc wrogów. Na każdym skrzyżowaniu boję się, że ktoś

mnie śledzi, że do mnie strzelą, aresztują, boję się, że znowu jakiś Marius i Rosine nie wrócą z akcji, boję się, że rozstrzelają Jeannota, Jacques'a i Claude'a, boję się, że coś się stanie Damirze, Ośnie, Janowi, któremuś z was, a jesteście dla mnie jak rodzina. Stefan, ja ciągle się boję, nawet kiedy śpię. Ale nie bardziej niż wczoraj czy przedwczoraj, nie bardziej niż pierwszego dnia w brygadzie, niż od chwili, kiedy odebrano nam prawo do wolności. Dlatego będę dalej żyła z tym strachem aż do końca, o którym mówisz, chociaż nie wiem, kiedy on nastąpi.

Stefan przysunął się do Marianne i niezręcznie ją objął, a ona, równie nieśmiało, oparła głowę na jego ramieniu. Trudno, niech Jan uzna, że pozwolili sobie na ryzykowne zachowanie. Pośród samotności, która była ich chlebem powszednim, gdyby Stefan zechciał, pozwoliłaby mu na wszystko, pozwoliłaby mu się kochać, choćby tylko przez chwilę, byleby to była chwila czułości. Przeżyć chwilę w silnych ramionach, czuć bliskość mężczyzny, który przekonałby ją delikatnością pieścizot, że życie wciąż trwa, że po prostu istnieje.

Usta Marianne uniosły się ku wargom Stefana. Całowali się przy schodach szpitala l'Hôtel-Dieu, w którego ciemnej suterenie leżała Rosine.

Przechodnie zwalniali kroku, ciesząc oczy widokiem tej przytulonej pary, która całowała się tak, jakby chciała robić to do końca świata. Pomimo tej potwornej wojny niektórzy znajdowali jeszcze siłę, żeby się kochać. Wiosna jeszcze wróci, zapewniał Jacques, a ten skradziony pocałunek w progu ponurego szpitala pozwalał wierzyć, że może się nie mylił.

— Muszę już iść — szepnął Stefan.

Marianne opuściła ręce i odprowadziła wzrokiem przyjaciela idącego po schodach. Gdy stanął w drzwiach, skinęła mu ręką, jakby chciała powiedzieć: „do zobaczenia wieczorem”.

*

Profesor Rieuneau pracował na oddziale chirurgicznym szpitala l'Hôtel-Dieu. Był jednym z profesorów Stefana i Borisa, kiedy jeszcze było im wolno studiować medycynę. Rieuneau potępiał haniebne rządy Vichy. Z natury liberalny, sercem był przy Resistance. Dawnego studenta powitał zyczliwie. Odeszli na bok, żeby porozmawiać.

— Mogę ci w czymś pomóc? — zapytał profesor.

— Mam przyjaciela — zaczął niepewnie Stefan. — Bardzo bliskiego przyjaciela, który gdzieś tu leży.

— Na jakim oddziale?

— Tam, gdzie trafiają ci, którym bomba urwała nogę.

— To powinien być na chirurgii — powiedział profesor. — Operowano go?

— Prawdopodobnie dziś w nocy.

— W takim razie nie ma go u mnie, zapamiętałbym go z obchodu. Zaraz spróbuję się czegoś dowiedzieć.

— Panie profesorze, trzeba znaleźć sposób, żeby...

— Rozumiem — przerwał mu profesor. — Zobaczą, co da się zrobić. Zaczekaj na mnie w holu, na początek okażę duże zaniepokojenie jego stanem zdrowia.

Stefan skinął głową i zszedł na dół. Gdy znalazł się na parterze, spojrzął na odrapane drzwi. Za nimi znajdowały się schody prowadzące do suterenu. Stefan zawahał się, bo gdyby ktoś go tam zauważył, trudno byłoby mu wytłumaczyć, po co i dokąd idzie. Ale poczucie obowiązku wzięło górę nad obawą, więc postanowił podjąć ryzyko i nie tracąc więcej czasu, pchnął drzwi.

W dole ciągnął się korytarz, który niczym długa rura wdzierał się w trzewia szpitala. Pod sufitem płatanina kabli biegła wzdłuż zawilgoconych rur. Co dziesięć metrów lampa elektryczna rzucała blade światło na ściany. Niektóre żarówki były przepalone, korytarz tonął w półmroku.

Stefanowi nie przeszkadzały ciemności, dobrze znał drogę. Kiedyś przecież jako student tu przychodził. Sala, której szukał, znajdowała się po prawej stronie korytarza. Otworzył drzwi i wszedł.

Rosine leżała na stole, samotna w tym pomieszczeniu. Stefan podszedł do poplamionego czarną krwią prześcieradła. Lekkie przekrzywienie głowy świadczyło o złamaniu podstawy czaszki. Czy to ta rana spowodowała śmierć, czy może liczne obrażenia? W milczeniu stał przy zmarłej.

Przyszedł w imieniu przyjaciół, żeby powiedzieć jej „do zobaczenia”, żeby powiedzieć, że jej twarz na zawsze pozostanie w naszej pamięci i że się nie poddamy.

Jeżeli tam, gdzie teraz jesteś, spotkasz Andre, pozdrów go ode mnie.

Stefan pocałował Rosine w czoło i z ciężkim sercem opuścił kostnicę.

Kiedy wrócił do holu, profesor Rieuneau już na niego czekał.

— Szukałem cię, gdzieś ty się podziewał? Twój kolega jakoś z tego wyjdzie, chirurdzy uratowali nogę. Nie obiecuje, że będzie mógł chodzić, ale przeżyje.

Ponieważ Stefan milczał, wpatrując się w niego, stary profesor dodał:

— Nie mogę dla niego nic zrobić. Jest nieustannie pilnowany przez trzech milicjantów. Te bydlęta nie chciały mnie nawet wpuścić do pokoju, w którym leży. Powiedz swoim przyjaciołom, żeby nie próbowali się tu do niego dostać, to zbyt ryzykowne.

Stefan podziękował profesorowi i natychmiast wyszedł. Wieczorem spotkał się z Marianne i przekazał jej te informacje.

Dali Enzowi tylko kilka dni wytchnienia, potem zabrali go ze szpitala i przenieśli do więziennej izby chorych. Milicjanci obchodzili się z nim tak brutalnie, że po drodze trzykrotnie tracił przytomność.

Jego los był przesądzony, zanim jeszcze trafił do celi. Czekano tylko, żeby odzyskał siły, potem miał zostać rozstrzelany na więziennym dziedzińcu. Ponieważ musiał samodzielnie dojść na miejsce egzekucji, postanowiliśmy uczynić wszystko, żeby nie tak szybko odzyskał zdolność utrzymania się na nogach. Był początek marca czterdziestego czwartego roku, coraz częściej pojawiały się pogłoski o rychłym lądowaniu alinatów. Tu nikt nie wątpił, że tego dnia egzekucje ustaną, a my odzyskamy wolność. Teraz trzeba było grać na zwłokę, żeby ocalić przyjaciela Enza.

*

Od wczoraj Charles chodził wściekły. Jan niespodziewanie zjawił się u niego, na małym dworcu w Loubers. Była to niezwykła wizyta, ponieważ Jan przyszedł się pożegnać. W centrum kraju formowano nową brygadę francuskiego ruchu oporu, potrzebni byli doświadczeni ludzie i Jan musiał ich wesprzeć. To nie on podjął tę decyzję, po prostu otrzymał rozkaz. I musiał go wypełnić.

— Ale kto wydaje te rozkazy? — zapytał Charles, kipiąc gniewem.

Jeszcze przed miesiącem w Tuluzie nie istniał żaden francuski ruch oporu poza naszą brygadą! A teraz powstawała nowa siatka i ktoś postanowił rozmontować naszą grupę! Ludzi takich jak Jan wciąż brakowało, wielu naszych padło albo siedziało, więc zmuszanie go, żeby teraz odszedł, było niesprawiedliwe.

— Wiem — powiedział Jan — ale wytyczne przychodzą z góry.

Charles powiedział, że nic nie wie o żadnej „górze”. Przez wszystkie te długie miesiące to tu, na dole, toczy się walka. Wojna uliczna jest naszym wynalazkiem. Innym łatwo naśladować to, czego nauczyliśmy się na własnych błędach.

Charles wcale tak nie myślał, ale pożegnanie z Janem było dla niego może nawet bardziej bolesne niż rozmowa z kochanką, którą odesłał do męża.

Oczywiście, Jan jest znacznie brzydszy od niej, i on, Charles, nigdy w życiu nie zgodziłby się dzielić z nim łóżka, nawet gdyby Jan był śmiertelnie chory. Jednak Jan jest nie tylko jego dowódcą, przede wszystkim jego przyjacielem, więc żegnać się z nim teraz...

— Masz czas na omleta? Mam jajka — burknął.

— Zatrzymaj je dla innych, ja muszę już iść — odparł Jan.

— Niby dla kogo? Jeżeli tak dalej pójdzie, niedługo zostanę sam w tej brygadzie!

— Nie martw się, Charles, przyjdą nowi. Walka dopiero się zaczyna, Resistance się organizuje, to zupełnie normalne, że pomagamy innym tam, gdzie możemy się przydać. No już, życz mi szczęścia i nie rób takiej miny.

Charles wyszedł z Janem na drogę. Uściskali się i poprzysięgli, że kiedyś się spotkają, gdy kraj będzie już wolny. Jan wsiadł na rower, a Charles zawołał go po raz ostatni.

— Czy Catherine jedzie z tobą?

— Tak — przyznał się Jan.

— W takim razie ucałuj ją ode mnie.

Jan skinął głową, a twarz Charles'a rozjaśniła się w uśmiechu, gdy zapytał jeszcze:

— W takim razie, z technicznego punktu widzenia, odkąd się pożegnaliśmy, nie jesteś już moim dowódcą?

— Z technicznego punktu widzenia nie jestem! — potwierdził Jan.

— W takim razie, ty cholerny durniu, jeżeli wygramy tę wojnę, to postarajcie się być z Catherine szczęśliwi. I to ja, pirotechnik z Loubers, rozkazuję ci tak uczynić!

Jan zasalutował Charles'owi, jak dowódca żołnierzowi, którego darzy szacunkiem, a potem odjechał.

Charles odpowiedział na to żołnierskie pożegnanie, a potem stał jeszcze na końcu drogi do starego dworca kolejowego, dopóki rower Jana nie zniknął na horyzoncie.

*

Kiedy zdychaliśmy z głodu w celi, kiedy Enzo wił się z bólu w izbie chorych więzienia Saint-Michel, na ulicach wciąż trwała walka. Nie było dnia bez sabotażu na kolei, bez wyrwanych słupów wysokiego napięcia, żurawi, które legły w kanale, niemieckich ciężarówek obrzucanych granatami.

Ale w Limoges donosiciel powiadomił władze, że młodzi ludzie, prawdopodobnie Żydzi, spotykają się ukradkiem w jednym z mieszkań w jego kamienicy. Policja natychmiast przeprowadziła aresztowania. Rząd Vichy postanowił wysłać na miejsce jednego ze swoich najlepszych szpicli.

Komisarz Gillard, którego zadaniem było zwalczanie wszelkich przejawów terroryzmu, stawiał się tam, żeby wraz ze swoją ekipą przeprowadzić śledztwo i ustalić powiązania między nimi a siatką południowo-zachodnią, którą należało za wszelką cenę unicestwić.

W Lyonie Gillard zdołał się wykazać doskonale przeprowadzonymi przesłuchaniami, a teraz w Limoges nie zamierzał spuszczać z tonu. Przyszedł do komisariatu, żeby osobiście

przesłuchiwać podejrzanych. Nie cofnął się przed torturami i w końcu usłyszał, że „przesyłki” trafiają na poste restante do Tuluzy. Tym razem wiedział przynajmniej, gdzie zarzucić przynętę. Potem musiał już tylko czekać, aż ryba ją pochwyty.

Nadszedł czas, by raz na zawsze pozbyć się tych kundli, które burzą ład społeczny i godzą w autorytet państwa.

Wczesnym rankiem Gillard pozostawił swe ofiary w komisaracie w Limoges i wraz ze swoimi ludźmi wsiadł do pociągu jadącego do Tuluzy.

24

Tuż po przyjeździe Gillard odprawił policjantów z Tuluzy i zaniknął się w gabinecie na pierwszym piętrze komisariatu. Gdyby gliniarze w tym mieście byli kompetentni, zwierzchnicy nie musieliby tu jego ściągać, a młodzi terroryści dawno siedzieliby pod kluczem. A poza tym Gillard wiedział, że nawet w szeregach policji, podobnie jak w prefekturze, zdarzają się sympatycy ruchu oporu i czasami bywają źródłem przecieków. Czy niektórzy Żydzi nie byli w porę uprzedzani o aresztowaniu? Gdyby tak się nie działo, milicjanci nie zastawaliby pustych mieszkań, kiedy przychodzili z nakazem aresztowania. Gillard przypomniał swej ekipie, że powinna zachować szczególną ostrożność, bo Żydzi i komuniści są wszędzie. Nie chciał podejmować najmniejszego ryzyka, prowadząc to śledztwo. Po zebraniu natychmiast ustalono grafik dyżurów, aby biuro było stale strzeżone.

*

Tego dnia rano Sophie się rozchorowała. Paskudna grypa przykuła ją do łóżka. Trzeba było jednak, jak co czwartek, iść

po paczki, inaczej koledzy nie otrzymaliby żołądu, a musieli opłacić komorne i przynajmniej kupić żywność. Simone, nowa w brygadzie dziewczyna, która niedawno przyjechała z Belgii, miała ją wyreczyć. Wchodząc na pocztę, Simone nie zauważyła dwóch mężczyzn, którzy udawali, że wypełniają formularze. Oni jednak natychmiast spostrzegli tę małą, która otworzyła skrzynkę numer dwadzieścia siedem, żeby wyjąć przesyłkę. Simone wyszła, a oni ruszyli za nią. Dwaj doświadczeni gliniarze przeciwko siedemnastoletniej dziewczynie — ta partia była z góry przegrana. Po godzinie Simone wróciła do Sophie z „zakupami”. Nie wiedziała, że ludzie Gillarda dotarli dzięki niej do koleżanki.

A ta, która tak dobrze umiała się ukrywać, śledząc innych, która niezmordowanie przemierzała miasto, nie dając się zde-maskować, która najlepiej z nas potrafiła ustalać rozkład czasu innych, ich trasy, kontakty i wszelkie szczegóły, nie domyślała się, że pod jej oknami stoi dwóch mężczyzn i że teraz to ona jest tropiona. Odwróciły się role kotów i myszy.

Tego dnia po południu Marianne odwiedziła chorą Sophie. Wieczorem, kiedy wyszła, ludzie Gillarda zaczęli ją śledzić.

*

Umówili się nad Kanałem Południowym. Stefan czekał, siedząc na ławce. Marianne przystanęła, uśmiechając się do niego z daleka. Wstał i odwzajemnił uśmiech. Jeszcze kilka kroków i padli sobie w ramiona. Od wczoraj w ich życiu wiele się zmieniło. Rosine i Marius nie żyli i trudno było o tym zapomnieć, ale Marianne nie była już sama. Kiedy ma się siedemnaście lat, można kochać tak mocno, kochać tak, by zapomnieć o głodzie, kochać tak, by zapomnieć, że jeszcze wczoraj czuło się strach. I od wczoraj jej życie uległo zmianie, ponieważ teraz o kimś myślała.

Siedząc obok siebie na ławce przy moście des Demoiselles, Marianne i Stefan całowali się i nikt ani nic nie było w stanie odebrać im tych kilku chwil szczęścia. Czas płynął, zbliżała się godzina policyjna. Za ich plecami zapaliły się już lampy gazowe i musieli się rozstać. Jutro znowu mieli się zobaczyć, a potem pojutrze i w kolejne wieczory. A przez wszystkie te wieczory ludzie komisarza Gillarda szpiegowali dwoje młodych, którzy kochali się w ogniu wojny.

Nazajutrz Marianne spotkała się z Damirą. Gdy się rozstawały, szpicle poszli za Damirą. Następnego dnia, czy może było to nieco później? W każdym razie Damira spotkała się z Osną, a wieczorem Osna była umówiona z Antoine'em. W ciągu kilku dni ludzie Gillarda rozpracowali prawie całą brygadę. Pierścień się zacieśnił.

Nie mieliśmy nawet dwudziestu lat, tylko niektórzy z nas byli odrobinę starsi, i powinniśmy jeszcze dużo się nauczyć, żeby toczyć tę wojnę, nie dając się zdemaskować, a policjanci reżimu Vichy mieli to wszystko w małym palcu.

*

Gillard szykował się do zarzucenia sieci. Zebrał w gabinecie, który zajął w komisariacie w Tuluzie, wszystkich swoich ludzi. Jednak, żeby przeprowadzić aresztowania, musiał poprosić o wsparcie policjantów z ósmej brygady. Obecny na tym samym piętrze inspektor zorientował się, co się szykuje. Dyskretnie wstał, udał się do centrali i poprosił telefonistkę o połączenie z Lyonem. Chciał odbyć rozmowę z kabiny.

Zerknął przez szybę — telefonistka rozmawiała z koleżanką, a więc linia była bezpieczna.

Jego rozmówca nie odzywał się, a tylko wysłuchiwał porażaj ą-

cych wieści. Za dwa dni trzydziesta piąta brygada Marcela Langerera miała zostać ostatecznie rozbita, a jej członkowie aresztowani. Wiadomość była pewna, należało jak najszybciej ostrzec zagrożonych. Inspektor odłożył słuchawkę i modlił się o powodzenie tej akcji.

W lionńskim mieszkaniu porucznik francuskiej Resistance odłożył słuchawkę.

— Kto dzwonił? — zapytał jego dowódca.

— Inspektor z Tuluzy.

— Czego chciał?

— Poinformować nas, że ludzie z trzydziestej piątej brygady wpadną za dwa dni.

— Milicja?

— Nie, gliniarze wydelegowani przez Vichy.

— Czyli nie mają żadnych szans.

— Mają, jeśli ich uprzedzimy. Jest jeszcze czas, żeby ich ewakuować.

— Być może, ale tego nie zrobimy — odparł dowódca.

— Dlaczego? — zapytał porucznik, patrząc na niego w osłupieniu.

— Bo wojna nie potrwa już długo. Niemcy stracili pod Stalingradem dwieście tysięcy ludzi, mówi się, że kolejne sto tysięcy trafiło do sowieckiej niewoli, wśród nich tysiąc oficerów i ponad dwudziestu generałów. Hitlerowskie wojska cofają się na wschodnim froncie, a od zachodu albo południa już niedługo nastąpi desant aliantów. Wiemy, że Londyn się na to szykuje.

— Ale co to ma wspólnego z ludźmi z brygady Langerera?

— Teraz to kwestia wyczucia politycznego. Wszyscy ci mężczyźni i kobiety z trzydziestej piątej brygady są Węgrami, Hiszpanami, Włochami, Polakami i tak dalej. To niemal sami cudzoziemcy. A kiedy Francja zostanie wyzwolona, będzie lepiej, żeby historia pamiętała, że to Francuzi walczyli o swój kraj.

— I dlatego zostawimy ich teraz na pastwę losu? — porucznik patrzył na niego z oburzeniem, myśląc o tych dzieciakach, które najwcześniej chwyciły za broń.

— Przecież wcale nie jest powiedziane, że zostaną zabici...

I widząc pełne odrazy spojrzenie podkomendnego, dowódca francuskiej Resistance westchnął:

— Posłuchaj uważnie. Już niedługo kraj będzie musiał się podźwignąć po tej wojnie i trzeba zadbać, żeby wyszedł z niej z wysoko podniesioną głową, żeby naród doszedł do zgody i skupił się wokół jednego przywódcy, a będzie nim de Gaulle. Zwycięstwo musi należeć do nas. Przyznaję, że jest mi przykro, jednak Francja musi mieć bohaterów Francuzów, a nie cudzoziemców!

Na małym dworcu w Loubers Charles'a ogarnęło zniechęcenie. Na początku tygodnia poinformowano go, że brygada nie będzie już otrzymywała pieniędzy. Wstrzymano także dostawy broni. Kontakty nawiązane z siatką Resistance, która powstawała na terenie kraju, zostały zerwane. Jako powód podawano zamach na kino Varietes. Prasa nie wspominała, że ofiarami byli członkowie ruchu oporu. W oczach opinii publicznej Rosine i Marius uchodzili za cywilów, za dwójkę nastolatków zabitych w podłym zamachu, i nikt nie przejmował się losem trzeciego heroicznego dzieciaka, który wił się z bólu na łóżku izby chorych w więzieniu Saint-Michel. Charles'owi powiedziano, że takie akcje rzucają cień na całą Resistance i dlatego organizacja zdecydowanie się od nich odcina.

W odczuciu Charles'a to odtrącenie pachniało zdradą. Wieczorem w towarzystwie Roberta, który przejął dowodzenie brygadą po odejściu Jana, pirotechnik dał upust rozgoryczeniu. Jak mogli ich zostawić, odwrócić się od nich, skoro właśnie tu

wszystko się zaczęło? Robert nie wiedział, co powiedzieć — lubił Charles'a, niemal kochał jak brata, więc starał się uspokoić jego obawy, złagodzić to, co najbardziej bolało.

— Charles, zrozum, nikt nie wierzy w to, co piszą w gazetach. Wszyscy wiedzą, co się naprawdę stało w kinie Yarietes i kto tam zginął.

— Ale po co?! — odburknął Charles.

— Za ich wolność — odparł Robert. — I całe miasto o tym wie.

Marc przyszedł trochę później. Charles wzruszył na jego widok ramionami i wyszedł do ogrodu za domem. Przekopując ziemię, powtarzał sobie, że Jacques na pewno się pomylił, bo kończył się już marzec czterdziestego czwartego roku, a wiosny wciąż nie było widać.

*

Komisarz Gillard i podkomisarz Sirinelli zgromadzili wszystkich swoich ludzi. Na pierwszym piętrze komisariatu nadszedł czas przygotowań. Dziś zamierzano dokonać aresztowań. Rozkazy już padły, misja była ściśle tajna, by zapobiec uprzedzeniu tych, którzy za kilka godzin mieli wpaść w ich sieci. Mimo to siedzący w sąsiednim biurze młody komisarz policji słyszał rozmowy za ścianą. Ten człowiek zajmował się pospolitą przestępczością, bo także podczas wojny nie brakuje różnego rodzaju złoczyńców i ktoś musiał się z nimi rozprawić. Komisarz Esparbie nigdy nie aresztował żadnego partyzanta, wręcz przeciwnie. Kiedy coś takiego się szykowało, ostrzegał ich i w ten sposób przynależał do Resistance.

Informowanie ich o grożącym niebezpieczeństwie nie było ani łatwe, ani bezpieczne, a czas zwykle naglił. Esparbie nie

był sam, jeden z jego kolegów był jego współnikiem. Młody komisarz wstał z fotela i szybko udał się do niego.

— Biegnij do finansów. W wydziale rent zapytasz o Madeleine. Powiedz jej, że Stefan musi natychmiast wyjechać w dłuższą podróż.

Esparbie powierzył to zadanie koledze, ponieważ sam miał inne spotkanie. Poruszając się samochodem, mógł dotrzeć do Loubers w ciągu pół godziny. Tam miał pomówić z przyjacielem. Widział jego zdjęcie w aktach, w których wolałby go nie zobaczyć.

W południe Madeleine wyszła z biura, żeby odnaleźć Stefana, ale na próżno obiegła wszystkie miejsca, w których zwykle bywał — nie znalazła go. Kiedy wróciła do domu rodziców, czekali na nią policjanci. Nie wiedzieli o niej nic poza tym, że Stefan odwiedzał ją niemal codziennie. Podczas gdy przetrząsali mieszkanie, Madeleine, wykorzystując ich nieuwagę, szybko napisała liścik i wepchnęła go do pudełka z zapałkami. Udając, że jest jej słabo, zapytała, czy może zaczerpnąć świeżego powietrza i stanęła w oknie.

Na dole zobaczyła jednego ze swych przyjaciół, włoskiego straganiarza, który dobrze ją znał. Pudełko z zapałkami spadło mu prosto pod nogi. Giovanni podniósł je, zwrócił oczy na Madeleine i posłał jej uśmiech. Czas zwijąć interes! Zdumionemu klientowi Giovanni powiedział, że i tak od dawna brakuje mu towaru na półkach. Opuścił zasłonę, wsiadł na rower i pojechał ostrzec tych, których wskazała Marianne.

W tym czasie Charles odprowadzał Esparbiego. Zaraz potem spakował walizkę i z ciężkim sercem po raz ostatni zamknął drzwi opuszczonego dworca. Zanim przekręcił klucz w zamku,

ogarnął spojrzeniem wnętrze. Na piecyku stała stara patelnia, która przypomniała mu o kolacji, podczas której jego omlet o mało nie spowodował tragedii. Tego wieczoru zebrali się tu wszyscy przyjaciele. Był to jeden z tych strasznych dni wojny, ale czasy były lepsze niż dziś.

Charles jechał swym dziwnym rowerem najszybciej jak mógł. Musiał odszukać wielu kolegów. Godziny mijały, a oni byli w niebezpieczeństwie.

Uprzedzony przez włoskiego handlarza, Stefan wyruszył już w drogę. Nie miał czasu na pożegnanie z Marianne ani nawet na ucałowanie przyjaciółki, Madeleine, której odwaga ocaliła mu życie, narażając jeszcze bardziej ją samą.

Charles spotkał się z Markiem w kawiarni. Powiedział mu o tym, co się szykuje, i rozkazał natychmiast uciekać do partyzantki w rejonie Montauban.

— Zabierz Damirę, przyjmą was do oddziału.

Przed rozstaniem wręczył mu kopertę.

— Pilnij jej jak oka w głowie. Jest w niej mój dziennik. Zapisywałem większość naszych zbrojnych akcji — powiedział Charles. — Przekaż ją w moim imieniu tym, których tam spotkasz.

— Czy przechowywanie takich dokumentów nie jest niebezpieczne?

— Owszem, ale gdybyśmy wszyscy zginęli, ktoś powinien wiedzieć, co robiliśmy. Mogę pogodzić się z tym, że mnie zabiją, ale nie chcę, by ślad po mnie zaginął.

Przyjaciele rozstali się szybko, bo Marc musiał iść po Damirę. Ich pociąg odjeżdżał wczesnym wieczorem.

*

Charles ukrył część broni przy ulicy Dalmatie, część w pobliskim kościele. Trzeba było podjąć próbę ocalenia tego, co jeszcze można było ocalić. Kiedy zbliżał się do pierwszej

kryjówki, zauważył na rogu dwóch mężczyzn, z których jeden czytał gazetę.

Cholera, wszystko przepadło, pomyślał.

Został jeszcze kościół, ale gdy do niego dochodził, na chodnik wjechał czarny citroen. Wyskoczyło z niego czterech mężczyzn. Rzucili się na Charles'a, który bronił się, jak mógł. Jednak walka była nierówna, cios padał za ciosem. Charles mocno krwawił, w końcu zachwiał się i osunął na ziemię, ogłuszony przez ludzi Gillarda, którzy wciągnęli go do auta.

*

Zapadł zmierzch. Sophie wracała do domu. Na ulicy czekało na nią dwóch mężczyzn. Zauważyła ich, skręciła, ale wtedy pojawiło się dwóch innych. Jeden z nich rozchylił marynarkę, wyciągnął rewolwer i wycelował. Sophie nie miała dokąd uciekać — uśmiechnęła się, odmawiając podniesienia rąk.

*

Tego wieczoru Marianne przyszła na kolację do matki. Jadły zupę z bulw topinamburu. Nic specjalnego, ale dość, żeby zaspokoić głód aż do jutra. Rozległo się walenie w drzwi. Dziewczyna drgnęła, rozpoznając ten łomot. Nie miała złudzeń co do charakteru nieoczekiwanej wizyty. Matka spojrzała na nią z niepokojem.

— Nie wstawaj, to do mnie — powiedziała Marianne, odkładając serwetkę.

Okrzyżyła stół, wzięła matkę w ramiona i mocno przytuliła.

— Mamo, cokolwiek ci powiedzą, ja nie żałuję tego, co robiłam.

Matka patrzyła Marianne prosto w oczy, głaszcząc ją po policzku, jakby ta pieszczota pomagała jej powstrzymać łzy.

— Cokolwiek powiedzą, kochanie, jesteś moją córką i moja dumą.

Drzwi drgały od uderzeń. Marianne jeszcze raz ucałowała matkę i poszła otworzyć.

*

To był ciepły wieczór. Osna zapaliła papierosa i oparła się łokciami o parapet. Ulicą nadjechał samochód, zaparkował pod domem. Wysiadło z niego czterech mężczyzn w płaszczach. Osna zrozumiała. Zanim wejdą na górę, mogła spróbować się ukryć, ale po tych miesiącach w podziemiu była zbyt zmęczona. A zresztą, gdzie miała się ukryć? Dlatego po prostu zamknęła okno. Podeszła do umywalki, odkręciła kran i opłukała twarz wodą.

Przyszedł czas, szepnęła, patrząc na swoje odbicie w lustrze. W tym momencie usłyszała odgłos kroków na schodach.

*

Dworcowy zegar wskazywał siódmą trzydzieści dwie. Damira była zdenerwowana, wspinała się na palce, mając nadzieję, że w końcu zobaczy światła pociągu, który zabierze ich daleko stąd.

— Chyba się spóźnia?

— Nie — odparł spokojnie Marc. — Przyjedzie za pięć minut.

— Myślisz, że inni jakoś sobie poradzili?

— Nie mam pojęcia, ale o Charles'a raczej się nie martwię.

— Ale ja martwię się o Osnę, Sophie i Marianne.

Marc wiedział, że żadne słowa nie uspokoją dziewczyny, którą kochał. Przytulił ją więc tylko i pocałował.

— Nie martw się, jestem pewien, że w porę ich ostrzeżono. Tak jak nas.

— A gdyby nas aresztowali?

— No cóż, przynajmniej bylibyśmy razem. Ale nikt nas nie aresztuje.

— Nie o tym myślę, tylko o dzienniku Charles'a, przecież to ja mam go przy sobie.

— Och!

Damira spojrzała na Marca, a on uśmiechnął się z rozczuleniem.

— Wybacz, nie to miałam na myśli. Tak bardzo się boję, że zacznę wygadywać głupstwa.

W dali, na zakręcie, pojawił się już nos lokomotywy.

— No widzisz, wszystko będzie dobrze — powiedział Marc.

— Jak długo?

— Pewnego dnia znów nastanie wiosna, zobaczysz, Damiro.

Pociąg sunął przed nimi, koła lokomotywy zablokowały się, strzeliły spod nich iskry. Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem.

— Myślisz, że będziesz mnie jeszcze kochała, kiedy skończy się wojna? — zapytał Marc.

— A kto ci powiedział, że cię Kocham? — odparła, uśmiechając się szelmowsko.

Kiedy pociągnęła go za rękę w stronę drzwi wagonu, czyjaś dłoń ciężko opadła na jej ramię.

Marc leżał już na ziemi, dwaj ludzie skuli go kajdankami. Damira szarpała się, ale siarczysty policzek rzucił ją na ścianę wagonu. Uderzyła twarzą o tablicę z oznakowaniami. Bliska utraty przytomności, zdążyła jeszcze przeczytać napisane wielkimi literami „Montauban”.

W komisariacie policjanci znaleźli przy niej kopertę, którą Charles powierzył Marcowi.

*

Czwartego kwietnia czterdziestego czwartego roku prawie cała brygada była już w rękach policji. Zaledwie kilkorgu się udało. Catherine i Jan wymknęli się z sieci. Policja nie dopadła też Alonsa. Emil wyjechał w ostatniej chwili.

Czwartego kwietnia czterdziestego czwartego roku wieczorem Gillard i jego okrutny zastępca Sirinelli popijali szampana. Wznosząc kieliszki, świętowali z podwładnymi rozbić bandy młodych „terrorystów”.

Dzięki wykonanej przez nich pracy ci cudzoziemcy, którzy działali na szkodę Francji, spędzą resztę życia za kratkami. „Prawdę mówiąc — dodał, kartkując dziennik Charles'a — przy dowodach, które udało nam się zdobyć, jest niemal pewne, że życie tych kundli nie potrwa już długo i że ich rozstrzelają”.

Kiedy zaczynano torturować Marianne, Sophie, Osnę i wszystkich zatrzymanych tego dnia, mężczyzna, który zdradził ich poprzez swe milczenie, ten, który z przyczyn politycznych postanowił nie przekazywać informacji zdobytych przez ludzi ruchu oporu pracujących w prefekturze — ten człowiek przygotowywał się już do objęcia funkcji w sztabie głównym wyzwolenia.

Kiedy nazajutrz dowiedział się, że trzydziesta piąta brygada Marcela Langerera, należąca do MOI, wpadła niemal w całości, wrzucił ramionami i otrzepał przód marynarki dokładnie w tym miejscu, gdzie zawieszona jest Legia Honorowa. Dziś piastuje wysokie stanowisko we francuskiej policji, a niedługo zostanie pułkownikiem.

Komisarz Gillard, wysoko ceniony przez władze, po wojnie objął dowodzenie w brygadzie antynarkotykowej. Tam spokojnie kończy karierę.

25

Już ci mówiłem, że nigdy się nie poddaliśmy. Ci nieliczni, którzy ocalili, natychmiast zaczęli się organizować. Dołączyło do nich kilku kolegów z Grenoble. Dowodzący odtąd Urman nie dawał wrogowi ani chwili wytchnienia i już w najbliższych tygodniach podjął działanie.

*

Już dawno się ściemniło. Claude spał, podobnie jak większość innych. Ja próbowałem zobaczyć gwiazdy na niebie, tam, za kratami.

W ciszy usłyszałem szloch kolegi. Podeszedłem do niego.

— Dlaczego płaczesz?

— Widzisz, mój brat nie był w stanie zabijać, nigdy nie wycelował broni w człowieka, nawet w takie bydlę jak milicjant.

Samuel w zadziwiający sposób łączył w sobie mądrość i gniew. Sądziłem, że te cechy nie dadzą się ze sobą pogodzić, dopóki go nie spotkałem.

Samuel otarł twarz ręką, rozmazując łzy. Wtedy dostrzegłem

bladość jego zapadniętych policzków. Oczy niemal mu wyszły z orbit, wydawało się, że tylko cudem utrzymują się na miejscu, bo w twarzy prawie nie było mięśni, tylko przezroczyista skóra, przez którą prześwitywały kości.

— To działo się tak dawno — ciągnął ledwie słyszalnym szeptem. — Pomyśl, było nas wtedy zaledwie pięciu, pięciu z ruchu oporu na całe miasto, a razem nie liczyliśmy nawet stu lat. Ja strzeliłem raz, z bliska, ale do łajdaka, do jednego z tych, którzy denuncjowali, gwałcili, torturowali. Mój brat nie był w stanie skrzywdzić nawet kogoś takiego.

Samuel zaczął się śmiać, a z jego zzartych przez gruźlicę płuc wydobywał się świst. Miał niezwykle głośny — czasem silny i męski, kiedy indziej jasny i pogodny jak u dziecka. Samuel skończył zaledwie dwadzieścia lat.

— Nie powinienem ci o nim mówić, wiem, że źle robię, bo to podsycia cierpienie, ale kiedy go wspominam, to jakbym pozwalał mu jeszcze trochę pożyć, nie sądzisz?

Nie wiedziałem, co o tym sądzić, jednak skinąłem głową. Nie było przecież ważne, co ma do powiedzenia kolega z celi, skoro chce się komuś zwierzyć, trzeba go wysłuchać. Na niebie nie było gwiazd, a dotkliwy głód i tak nie pozwalał mi zasnąć.

— To się działo na początku. Mój brat miał anielskie serce i zapal dzieciaka. Wierzył w dobro i zło. Od pierwszej chwili wiedziałem, że nie przetrwa, bo z tak czystą duszą nie można przeżyć wojny. A jego dusza była tak piękna, że błyszczała w brudzie fabryk i więzienia. Rozjaśniała drogę o brzasku, kiedy szedłeś do roboty, czując jeszcze na plecach ciepło łóżka.

Nie można było od niego wymagać, żeby zabijał. Chyba już ci to mówiłem, prawda? Wierzył w przebaczenie. Nie myśl, że brakowało mu odwagi, nigdy nie cofnął się przed udziałem w akcji, nie nosił jednak broni. „Po co mi broń, skoro nie umiem nawet strzelać?” — mówił, śmiejąc się ze mnie. To serce nie pozwalało mu w nikogo celować, serce, o, takie

wielkie, mówię ci, zapalił się Samuel, rozsuwając dłonie. Szedł do walki z gołymi rękami, spokojny i pewien zwycięstwa.

Polecono nam dokonać sabotażu na linii montażu w okolicznej fabryce. Produkowano tam pociski. Mój brat powiedział, że musimy to zrobić, twierdził, że każdy niewyprodukowany nabój oznacza ocalone życie.

Wspólnie prowadziliśmy rozpoznanie. Nigdy się nie rozstawaliśmy. On miał dopiero czternaście lat, musiałem go pilnować, musiałem się nim opiekować. Ale prawdę mówiąc, mam wrażenie, że przez cały ten czas to on mnie chronił.

Był bardzo utalentowany, szkoda, że nie widziałeś go z ołówkiem w ręku, potrafił narysować dosłownie wszystko. Paroma kreskami naszkicowałaby portret, który twoja matka zawiesiłaby na ścianie salonu. Dlatego wspinał się na mur fabryki w środku nocy i rysował jej plan, a potem kolorował budynek po budynku na kartce, a one wyrastały jak zboże na wiosnę. Ja go pilnowałem, czekając na dole. Ale któregoś wieczoru, zupełnie nieoczekiwanie, zaczął się śmiać. Ten śmiech w ciemności i ciszy był głośny i jasny. Będę go zawsze pamiętał, aż do grobu, kiedy gruźlica wygra ze mną ostatnią bitwę. Brat śmiał się, bo narysował w tej fabryce człowieka, krzywonogiego faceta, który wyglądał jak dyrektor jego szkoły.

Kiedy skończył rysunek, zeskoczył na chodnik i powiedział: „Chodź, teraz możemy już iść”. Widzisz, mój brat taki już był. Gdyby przechodzili tamtędy żandarmi, wylądowaliśmy w więzieniu, ale on nic sobie z tego nie robił. Patrzył na plan fabryki z krzywonogim ludzikiem i śmiał się na całe gardło. Uwierz mi — ten śmiech wypełnił całą noc.

Kiedy indziej, gdy był w szkole, ja poszedłem do fabryki. Włączyłem się po dziedzińcu, starając się nie zwracać na siebie uwagi, ale podszedł do mnie robotnik. Powiedział, że jeżeli szukam pracy, to muszę iść drogą przy transformatorach i po-

kazał mi je palcem. A ponieważ dorzucił „towarzyszu”, zrozumiałem, co naprawdę chciał mi przekazać.

Po powrocie opowiedziałem o wszystkim bratu, a on uzupełnił plany. I tym razem, patrząc na dokończony rysunek, już się nie śmiał, nawet na widok ludzika na krzywych nogach.

Samuel zamilkł, bo zabrakło mu tchu. W kieszeni miałem jeszcze niedopałek papierosa, zapaliłem go, ale nie proponowałem Samuelowi ze względu na jego kaszel, a on pozwolił mi spokojnie się zaciągnąć i dopiero potem podjął opowieść, którą snuł głosem o zmiennej intonacji, zależnej od tego, czy mówił o sobie, czy o bracie.

— Tydzień potem moja przyjaciółka, Louise, wysiadła z pociągu z tekturowym pudełkiem pod pachą. Przewoziła w nim tuzin granatów. Bóg jeden wie, skąd je wzięła.

Widzisz, nie dostawaliśmy nic ze zrzutów, byliśmy zdani na siebie i potwornie samotni. Louise była niesamowitą dziewczyną, miałem bzika na jej punkcie, a ona na moim. Czasem chodziliśmy się kochać pod stacją przeładunkową, a muszę ci powiedzieć, że trzeba zapamiętała się kochać, żeby nie zwracać uwagi na otoczenie, ale przecież my i tak zawsze bardzo się spieszyliśmy. Następnego dnia po tym, jak Louise przywiozła nam granaty, wyruszyliśmy na akcję. Noc była zimna i pochmurna jak dziś, to znaczy, niezupełnie, bo wtedy jeszcze żył mój brat. Louise towarzyszyła nam do fabryki. Mieliśmy dwa rewolwery zdobyte na policjantach, których pobiłem kolejno w ciemnym zaułku. Brat nie chciał wziąć broni, więc wsadziłem oba do torby przy rowerze.

Muszę ci powiedzieć, co mi się przydarzyło, ponieważ nie uwierzyłybyś w to, nawet gdybym ci przysięgał, że tak było. Jechaliśmy, mój rower podskakiwał na bruku, a za plecami usłyszałem męski głos, który oznajmił: „Proszę pana, coś panu

wypadło". Wolałbym nie usłyszeć tego faceta, ale gość, który jedzie dalej, chociaż coś zgubił, musi wydać się podejrzany, więc oparłem nogę o ziemię i odwróciłem. Na chodniku, przed dworcem, zobaczyłem wracających z fabryki robotników. Niemal wszyscy nieśli chlebaki. Szli grupkami, po trzech, bo chodnik był za wąski dla czterech. Musisz sobie uświadomić, że ulicą sunęła cała fabryka. A przede mną, w odległości trzydziestu metrów, leżał rewolwer, który wypadł z torby. Leżał i błyszczał na bruku. Oparłem rower o mur i podszedłem do mężczyzny, który zdążył się pochylić i podnieść spluwę. Oddał mi ją, jakby to była najzwyczajsza chusteczka do nosa. A potem skinął mi ręką i dołączył do kolegów, którzy na niego czekali. Życzył mi miłego wieczoru. Sam wrócił za chwilę do domu, do żony, która już przygotowała dla niego kolację. Ja wsiałem na rower z bronią pod kurtką i ostro ruszyłem, żeby dogonić brata. Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie, jaką byś zrobił minę, gdybyś zgubił, idąc na akcję, spluwę i ktoś by ci ją oddał?

Nie przyznałem się do tego Samuelowi, zresztą nie chciałem mu przerywać, ale w tym momencie przed oczyma stanął mi niemiecki oficer, który padł z rozkrzyżowanymi ramionami na schodach przy pisuarze, i jego martwe spojrzenie, a także spojrzenie Roberta i mojego kolegi Borisa.

— Fabryka naboí rysowała się przed nami, jakby była nakreślona czarnym tuszem na ciemnym tle nocy. Ruszyliśmy wzdłuż muru. Mój brat wspiał się na niego, wsuwając stopy w szczeliny, jakby szedł po schodach. Zanim zeskoczył na drugą stronę, uśmiechnął się i powiedział, że nic nie może mu się stać, bo kocha Louise i mnie. Ja także wdrapałem się na górę, a potem dołączyłem do niego, zgodnie z planem, przy

oznaczonym na jego szkicu słupie. W naszych torbach podzwaniały granaty.

Musieliśmy uważać na stróża. Spał z dala od budynku głównego, który zamierzaliśmy spalić, a po wybuchu z pewnością miałby czas uciec, więc nic mu nie groziło, natomiast on groził nam, gdyby nas zobaczył.

Mój brat już przemykał we mgle w kierunku hali, ja szedłem za nim, dopóki nasze drogi się nie rozdzieliły — on miał zająć się składem, ja wytwórnią i biurami. Miałem plan terenu w pamięci i nie bałem się nocy, wszedłem do budynku, minąłem taśmę produkcyjną i ruszyłem po schodach do części biurowej. Drzwi były zamknięte na stalowy skobel i potężną kłódkę. To nic, szkło można przecieź stłuc. Sięgnąłem po dwa granaty, odbezpieczyłem je i rzuciłem. Szyby wyleciały, a ja zdążyłem tylko się skulić, zanim ogarnął mnie gorący podmuch. Od-rzuciło mnie, padłem na plecy ogłuszony. Szumiało mi w uszach, miałem piach w ustach, czułem pieczenie w płucach, starałem się wypluć, co mogłem. Usiłowałem się podnieść, zobaczyłem, że pali się na mnie koszula, i przeraziłem się, że spłonę żywcem. W okolicy składów rozległy się inne eksplozje. A ja musiałem dokończyć robotę.

Sturlałem się po metalowych schodach i wylądowałem pod oknem. Niebo poczerwieniało za sprawą mojego brata, pożar ogarniał kolejne budynki, idąc w ślad za serią wybuchów. Sięgnąłem do torby, odbezpieczałem i rzucałem granat po granacie, pędząc do wyjścia w obłokach dymu.

Za moimi plecami następowały detonacje, a każda z nich wstrząsała moim ciałem. Ogień buchał w górę, rozpraszając ciemności, ale chwilami jasność znikwała, a ja pogrążałem się w gęstym mroku. Zawodziły mnie oczy, z których tryskały gorące łzy.

Chciałem żyć, chciałem wyrwać się z tego piekła, wyjść stąd. Chciałem zobaczyć brata, przytulić go mocno i powie-

dzieć, że to tylko absurdalny, koszmarny sen, że po przebudzeniu odnalazłem oba nasze życia, o tak, przypadkiem, w kufrze, do którego mama wkładała moje rzeczy. Te życia — jego i moje — te, w których objadaliśmy się cukierkami w sklepiku na rogu, gdy mama czekała na nasz powrót ze szkoły, a potem odpytywała nas z lekcji... To, co było do chwili, kiedy przyszli zabrać i ukraść naszą młodość.

Tuż przede mną upadła drewniana belka. Paliła się i zagradzała drogę. Było gorąco jak w piekle, ale na zewnątrz czekał mój brat, a wiedziałem, że beze mnie nie odejdzie. Dlatego chwyciłem ogień w dłonie i odrzuciłem belkę.

Trudno sobie wyobrazić, jak parzą płomienie, dopóki się tego nie poczuje. Wyłem jak katowany pies, wyłem jak potężny pień, ale chciałem żyć. Już ci to mówiłem. Dlatego przedzierałem się przez płonące ruiny, modląc się, żeby obcięli mi zbolałe dłonie. Aż wreszcie zobaczyłem małe podwórko, jak na rysunku brata. Nieco dalej stała drabina, którą oparł już o mur. „Zastanawiałem się, co ty tam jeszcze robisz? — mruknął na widok mojej osmalonej jak u kominiarza gęby. I dodał: — Ale się urządziłeś!”. Kazał mi iść przodem, bo zauważył, że jestem ranny. Gramoliłem się na drabinę, podpierając się łokciami, bo dłonie za bardzo mnie bolały. Gdy dotarłem na górę, odwróciłem się i zawołałem, że teraz jego kolej, że nie możemy marnować czasu.

Samuel znowu zamilkł, jakby chciał zebrać siły, żeby opowiedzieć mi tę historię do końca. Potem wyprostował dłonie i pokazał mi je. Wyglądały jak u człowieka, który przez całe życie uprawiał ziemię, a dożył stu lat. Samuel miał ich zaledwie dwadzieścia.

— Mój brat wciąż był na podwórzu, ale na wołanie odpowiedział głos obcego mężczyzny. Strażnik z fabryki celował w nas, krzycząc: *Halt, halt!* Wyciągnąłem z torby rewolwer i zapominając o bólu rąk, chciałem strzelić, ale wtedy mój brat krzyknął: „Nie rób tego!”. Spojrzałem na niego, spluwa wysliznęła mi się z dłoni. Kiedy upadła mu pod nogi, uśmiechnął się, jakby uspokojony, że nie zrobię nic złego. Mówiłem ci, że był dobry jak anioł. Z gołymi rękami odwrócił się do strażnika i uśmiechając się, powiedział: „Nie strzelaj, nie strzelaj, jesteśmy z Resistance”. Mówił, jakby chciał uspokoić tego niskiego grubasa z karabinem, jakby chciał go przekonać, że nie wyrządzimy mu krzywdy.

Mój brat dodał: „Po wojnie odbudują ci nowiutką fabrykę, będzie ci milej jej pilnować”. A potem odwrócił się i postawił stopę na pierwszym szczeblu drabiny. Grubas wrzasnął znowu: *Halt, halt*, ale mój brat nie przerywał marszu ku niebu. Strażnik nacisnął na spust.

Widziałem, jak kula rozrywa jego klatkę piersiową, jak zastygają jego oczy. Uśmiechnął się do mnie i zakrwawionymi wargami wyszeptał: „Uciekaj, kocham cię”. Jego ciało upadło na ziemię.

Byłem już na murze, on leżał w kałuży krwi, czerwonej jak miłość, która konała wraz z nim.

Samuel nie powiedział tej nocy już ani słowa. Kiedy skończył swą opowieść, poszedłem położyć się obok Claude'a, który trochę się rozszłościł, bo go obudziłem.

Z siennika zobaczyłem przez kraty kilka gwiazd, które w końcu zabłysły na niebie. Nie wierzę w Boga, ale tamtej nocy wyobrażałem sobie, że na jednej z nich lśni dusza brata Samuela.

26

Majowe słońce ogrzewało celę. W południe kraty w okienkach kładły się cieniem na ziemi, kreśląc na niej trzy czarne kreski. Kiedy wiatr nam sprzyjał, czuliśmy zapach lipy.

— Podobno nasi zdobyli samochód.

Ciszę przerwał głos Etienne'a. Poznałem go w więzieniu, bo do brygady trafił kilka dni po naszym aresztowaniu. Wpadł razem z innymi w sieci zarzucone przez komisarza Gillarda. Kiedy mówił, próbowałem wyobrazić sobie, że jestem na zewnątrz, że wiodę życie zupełnie inne niż moje. Słyszałem przechodniów, którzy szli ulicą, nie wiedząc, że kilka metrów dalej, za dwoma murami siedzą więźniowie czekający na śmierć. Etienne zaczął nucić, może dla zabicia nudy. Pamiętaj, że zamknięcie jest jak wąż, który bezlitośnie cię dusi. Jego ukąszenie pozbawia czucia, jad szerzy się po organizmie. Dlatego słowa, które śpiewał nasz przyjaciel, przywołały nas do rzeczywistości. Nie, żaden z nas nie był tu sam, wszyscy byliśmy razem.

Etienne siedział na ziemi oparty o ścianę. Jego delikatny głos brzmiał łagodnie, niemal jak głos dziecka, które snuje opowieść, jak głos dzielnego dzieciaka nuącego i nietracącego nadziei:

*Na tym wzgórzu nie spotkasz nigdy dziewczki,
Nie ujrysz alfonsa ani paniczyka,
Bo tak daleko stąd i do Młyna Obfitości,
I do Panamy, rajy oszustów.*

*Tu ziemia upajała się smakiem krwi,
Krwi robotników i chłopców poczciwych,
Lecz ci bandyci, którzy wywołują wojny,
Nie umierają w boju, giną tylko niewinni.*

**Etienne'owi zawtórował Jacques, a ręce towarzyszy niedoli,
które klepały sienniki, zgrały się w rytm refrenu.**

*Czerwone Wzgórze, zwiemy je, chrzest odbył się rankiem,
Gdy każdy, kto wspiąć się tu chciał, staczał się w przepaść.
Dziś porosło winoroślą, a kto z tych winogron
Wino pić będzie, poczuje krew towarzyszy.*

Z sąsiedniej celi dobiegały głosy Charles'a i Borisa, którzy przyłączyli się do chóru. Claude notował na kartce słowa, ale teraz odłożył ołówek i zanucił własny tekst. Wstał i zaśpiewał.

*Na tym wzgórzu nie ma miłości,
To nie Montmartre, gdzie szampan się leje,
Lecz wzgórze łez i szlochów
Biedaków, którzy osierocili swe dzieci.*

*Opiła się łez ta ziemia,
Łez robotników i chłopów.
Bo ci bandyci, którzy prowokują wojnę,
Nigdy nie płaczą, nie płaczą tyrani.*

*Czerwone Wzgórze, zwiemy je, chrzest odbył się rankiem,
Gdy każdy, kto wspiąć się tu chciał, staczał się w przepaść.
Dziś porosło winoroślą, a kto z tych winogron
Wino pić będzie, poczuje łyżę towarzyszy.*

Za moimi plecami śpiew podchwycili Hiszpanie, a ponieważ nie znali słów, nucili z nami melodię. Wkrótce całe piętro śpiewało już chórem *Czerwone Wzgórze*. Śpiew płynął z setki ust:

*Na tym wzgórzu, w czas winobrania,
Nawoływania słyszać i śpiew.
Chłopcy i dziewczęta miłosne czynią wyznania,
I drżąc, wsłuchują się w te piękne słowa.*

*Któż z nich pamięta w namiętnych igraszkach,
Że tu, gdzie dziś się całują gorąco,
Nocą słyszałem bolesne jęki
I chłopców widziałem roztrzaskane czaszki?*

*Czerwone Wzgórze zwiemy je, chrzest odbył się rankiem,
Gdy każdy, kto wspiąć się tu chciał, staczał się w przepaść.
Dziś porosło winoroślą, winne grona daje,
Lecz ja widzę tu krzyże, a na nich znajome imiona.*

Widzisz, Etienne miał rację, żaden z nas nie był tu sam, byliśmy wszyscy razem. Zapadła cisza, wraz z nią noc zajrzała do okien. Wszyscy znowu pogrążyli się w nudzie, poddali strachowi. Już niedługo trzeba będzie wyjść na korytarz, zdjęć ubranie, ale nie kalessony, bo teraz, dzięki kilku hiszpańskim przyjaciółom, mogliśmy w nich zostać.

*

Nadszedł blady poranek. Więźniowie już się ubrali i czekali na posiłek. Korytarzem dwaj dyżurni ciągnęli na wózku kocioł i napełniali miski, które im podsuwaliśmy. Potem więźniowie wracali do cel, drzwi się zamykały i zaczynał się koncert na zasuwę. Każdy się izolował, każdy uciekał we własną samotność, ogrzewając dłonie ciepłem metalowej miski. Usta rozchyłały się i popijały bezbarwną lurę. A tak naprawdę małymi łykami chwytały nadchodzący dzień.

Wczoraj, kiedy śpiewaliśmy, w chórze zabrakło jednego głosu. Enzo leżał w izbie chorych.

— Siedzimy tu i spokojnie czekamy, aż go stracą, ale myślę, że powinniśmy coś zrobić — odezwał się Jacques.

— Tu?

— Widzisz, Jeannot, tu faktycznie niewiele można zdziałać i dlatego będziemy musieli złożyć mu wizytę — odparł.

— Co...?

— Dopóki nie może utrzymać się na nogach, nie pozwolą sobie na egzekucję. Musimy przeszkodzić mu w szybkim powrocie do zdrowia, rozumiesz?

Z moich oczu Jacques wyczytał, że nie zorientowałem się jeszcze, jaką przewidział dla mnie rolę. Podsunął mi dwie słomki — ten, który wyciągnie krótką, ma więc się z bólu.

Nigdy nie miałem szczęścia w grze, a przysłowie mówi, że powinienem mieć je w miłości. To czysta bzdura, zapewniam cię!

I już po chwili wiłem się na podłodze, symulując bóle, które bardzo łatwo było mi sobie wyobrazić.

Upłynęła godzina zanim strażnik przyszedł sprawdzić, kto cierpi aż tak, żeby wyć na całe gardło. Gdy skręcałem się i jęczałem, w celi wszyscy w najlepsze gawędzili.

— To prawda, że nasi mają wozy? — zapytał Claude, nie zwracając uwagi na przedstawienie, które odgrywałem z takim zapalem.

— Tak, podobno — odparł Jacques.

— Sam powiedz, oni tam, na wolności, jadą sobie samochodem na akcja, a my tkwimy tu jak jacyś idioci i nie możemy nic zrobić.

— Myślisz, że mnie to nie irytuje? — odburknął Jacques.

— Nie wiem, może.

— Kto wie, czy uzyskamy jakąś pomoc? — zastanawiał się mój brat.

— Masz na myśli pomoc z zewnątrz? — odpowiedział pytaniem Jacques.

— Tak — potwierdził niemal wesoło Claude. — Może spróbują nas odbić.

— Nie dadzą rady. Przy Niemcach na wieży i francuskich strażnikach na dziedzińcu musieliby użyć całej armii, żeby nas uwolnić.

Mój brat popadł w zadumą, jego nadzieje prysły; siedział oparty plecami o ścianę, a jego blada twarz posmutniała.

— Słuchaj, Jeannot, może zechciałbyś jęczeć trochę ciszej, bo ledwie się tu słyszymy! — warknął, zanim zamilkł na dobre.

Jacques wpatrywał się w drzwi celi. W korytarzu rozległ się stukot podkutych żołnierskich butów.

Uniósł się judasz i zobaczyliśmy czerwoną głowę strażnika. Jego oczy zdawały się szukać źródła jęków. Szczęknął zamek, dwaj strażnicy podnieśli mnie z ziemi i wywlekli na zewnątrz.

— Lepiej, żeby naprawdę ci coś było, bo jeżeli przeszkadzasz nam poza godzinami bez poważnego powodu, to odechce ci się spacerów! — mruknął jeden z nich.

— Możesz na nas polegać — dodał drugi.

Ja jednak nie przejmowałem się ich groźbami, skoro prowadzili mnie do Enza.

Leżał w łóżku pogrążony w niespokojnym śnie. Przyjął mnie pielęgniarz i kazał położyć się na leżance niedaleko Enza. Czekał, aż strażnicy wyjdą, a potem zwrócił się do mnie.

— Udajesz, żeby sobie odpocząć parę godzin, czy naprawdę coś cię boli?

Krzywiąc się, wskazałem brzuch. Obmacał go i spojrzał na mnie niepewnie.

— Usuwali ci wyrostek robaczkowy?

— Chyba nie — wybełkotałem, nie zastanawiając się nad konsekwencjami tej odpowiedzi.

— Pozwól, że coś ci uświadomię — powiedział nieco ostrzejszym tonem. — Jeżeli będziesz się upierał, że nie przeszedłeś tej operacji, być może trzeba będzie otworzyć ci brzuch, żeby usunąć wyrostek. Oczywiście, przyniosłoby ci to pewne korzyści. Na dwa tygodnie przeniósłbyś się z celi do wygodnego łóżka i dostawałabyś lepsze jedzenie. Jeżeli masz stanąć przed sądem, to sprawę trzeba będzie odroczyć, a gdyby twój kolega wciąż jeszcze tu był, kiedy się obudzisz, moglibyście sobie trochę pogadać.

Pielęgniarz wyjął z kieszeni fartucha paczkę papierosów, wsunął jeden do ust i podjął swój wykład.

— Oczywiście, to ma także pewne minusy. Po pierwsze, nie jestem chirurgiem, a tylko praktykantem. Domyślasz się, że gdyby było inaczej, nie pracowałbym jako pielęgniarz w więzieniu Saint-Michel. Wcale nie twierdzę, że ta operacja na pewno mi się nie uda. Podręczniki mam w małym palcu, rozumiesz jednak, że lepiej trafić w ręce doświadczonego lekarza. Poza tym nie zamierzam ukrywać, że nie panuje tu idealna higiena. Trudno uniknąć infekcji, a gdyby do niej

doszło, to nie ukrywam, że gorączka zabiłaby cię znacznie wcześniej niż pluton egzekucyjny. Dlatego teraz wyjdę na papierosa, a ty tymczasem spróbujesz sobie przypomnieć, czy blizna, którą zauważyłem na twoim podbrzuszu, o tu, po prawej, nie jest pozostałością po operacji wyrostka robaczkowego!

Pielęgniarz opuścił salę, zostawiając mnie sam na sam z Enzem. Chwyciłem go za ramię i potrząsałem, prawdopodobnie przerywając jakiś przyjemny sen, bo kiedy na mnie spojrział, uśmiechnął się radośnie.

— A co ty tu robisz, Jeannot? Skatowali cię?

— Nie, nic mi nie jest. Wpadłem tylko, żeby cię odwiedzić.

Enzo uniósł się na łóżku, teraz już uśmiechając się nie do snu, ale do mnie.

— Jakie to miłe! Zadałeś sobie tyle trudu tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć?

W odpowiedzi pokiwałem tylko głową, bo jeśli mam być szczery, spotkanie z przyjacielem głęboko mnie wzruszyło. Im dłużej na niego patrzyłem, tym silniejsze ogarniały mnie emocje, ponieważ miałem przed oczami nie tylko jego, ale także Mariusa, który siedział w kinie Varietes, i uśmiechającą się do mnie Rosine.

— Nie trzeba było się tak wysilać, Jeannot, wkrótce będę mógł chodzić, jestem już prawie zdrowy.

Spuściłem oczy, nie wiedząc, jak powiedzieć mu prawdę.

— Cóż to, stary, tak się cieszysz, że czuję się lepiej?

— Enzo, powiem ci szczerze: byłoby lepiej, gdybyś czuł się gorzej, rozumiesz?

— Właściwie nie!

— Posłuchaj, kiedy zaczniesz chodzić, zabiorą cię na dziedziniec, żeby cię zabić. Dopóki nie jesteś w stanie dojść o włas-

nych siłach do słupa, wyrok pozostanie w zawieszeniu. Teraz już rozumiesz?

Enzo nie odpowiadał. Było mi wstyd, bo moje słowa zabrzmiały okrutnie i sędzę, że na jego miejscu wolałbym ich nie usłyszeć. Ale chciałem mu wyświadczyć przysługę i uratować życie, więc przemogłem się i powiedziałem:

— Nie możesz wyzdrowieć, Enzo. Wkrótce doczekamy się desantu, musimy grać na zwłokę.

Enzo gwałtownie odrzucił koc, odsłaniając nogę. Rany były głębokie i bardzo rozległe, ale prawie się już zasklepiły.

— Co ja mogę na to poradzić?

— Jacques jeszcze nic nie wymyślił, ale nie martw się, znajdziemy jakiś sposób. Tymczasem udawaj, że wróciły bóle. Jeżeli chcesz, żebym ci pokazał, jak się to robi, to chętnie, bo nabrałem już wprawy.

Enzo odparł, że do tego nie jestem mu potrzebny, bo wspomnienie bólu było w nim jeszcze bardzo żywe. Usłyszałem, że pielęgniarz się zbliża, i Enzo pozornie zapadł w drzemkę, a ja wróciłem na leżankę.

Po głębokim namyśle postanowiłem uspokoić mężczyznę w kitlu. Dzięki chwili wytchnienia odzyskałem pamięć i teraz byłem prawie pewien, że jako pięciolatek przeszedłem operację wyrostka robaczkowego. Zresztą ból wyraźnie zelżał, mogłem już nawet wrócić do celi. Pielęgniarz wsunął mi do kieszeni kilka tabletek siarki, do papierosów, rzecz jasna. Strażnikom, którzy po mnie przyszli, powiedział, że dobrze zrobili, przyprowadzając mnie tu, ponieważ miałem początki niedrożności jelit, a to mogło się źle skończyć i gdyby nie ich pomoc, mógłbym się wykończyć.

Głupszemu z tych dwóch, gdy po drodze oświadczył, że zawdzięczam mu życie, musiałem podziękować, i to „dziękuję”

do dziś pali mi usta. Wtedy tłumaczę sobie, że zrobiłem to, żeby ocalić Enza, i uspokajam sumienie.

*

Po powrocie do celi powiedziałem wszystkim, co słychać u Enza, i chyba po raz pierwszy w życiu ujrzałem ludzi, którzy posmutnieli, słysząc, że ich przyjaciel wraca do zdrowia. A dowodzi to tylko, że czasy były naprawdę obłąkane, że życie zatraciło wszelką logikę i świat stanął na głowie.

Wszyscy krążyliśmy po celi ze splecionymi rękami na plecach i zastanawialiśmy się, jak ocalić życie kolegi.

— Właściwie — przerwałem milczenie, pozwalając sobie na śmiałą uwagę — trzeba tylko znaleźć jakiś sposób, żeby rany się nie zagoiły.

— Dzięki, Jeannot — mruknął Jacques — w tej kwestii wszyscy jesteście zgodni!

Mój młodszy brat, który marzył o studiach medycznych, co w tej sytuacji dowodziło znacznego optymizmu, natychmiast podchwycił.

— Wystarczyłoby po prostu zainfekować te rany.

Jacques zmierzył go karcącym spojrzeniem, zastanawiając się, czy obu braci nie łączy jakaś ułomność, skłaniająca do głośnego wyrażania myśli, które wszystkim obecnym chodzą po głowie.

— Problem w tym — dodał Claude — w jaki sposób wywołać zakażenie tych ran. Siedząc tu, trudno to zrobić!

— Dlatego musimy skłonić do współpracy pielęgniarza.

Wyjąłem z kieszeni papierosa i tabletki siarkowe, które dał mi w izbie chorych, i powiedziałem Jacques'owi, że wyczułem w tym człowieku pewne współczucie wobec nas.

— Czy współczuje nam wystarczająco, żeby podjąć niebezpieczną próbę ocalenia więźnia?

— Jacques, pamiętaj, że mnóstwo ludzi gotowych jest ryzykować, żeby ocalić życie młodego chłopaka.

— Jeannot, nic mnie nie obchodzi, co gotowi są zrobić inni ludzie, interesuje mnie wyłącznie ten pielęgniarz. Jak oceniasz szanse na jego ewentualną pomoc?

— Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że to porządny gość.

Jacques podszedł do okna. Zastanawiał się, raz po raz pocierając dłonią wychudzoną twarz.

— Trzeba będzie tam wrócić, pogadać z nim — rzekł. — Powiedzieć wprost, że musi nam pomóc we wpędzeniu naszego przyjaciela, Enza, w chorobę. On będzie wiedział, jak to zrobić.

— A jeśli nie zechce? — wtrącił Claude.

— Opowiemy mu o Stalingradzie, o tym, że Rosjanie są już na granicy Niemiec, że naziści przegrywają wojnę, że niedługo nastąpi desant, a Resistance potrafi mu się odwdziaczyć, kiedy będzie już po wszystkim.

— A gdyby nie udało się go przekonać? — niepokoił się mój brat.

— Wtedy zagrozimy, że policzymy się z nim po wyzwoleniu — odparł Jacques.

Jacques poczuł wstręt do tych słów, które padły z jego ust, jednak cel uświęcał środki — rana Enza musiała się rozjatrzyć.

— Tylko jak to wszystko wytłumaczyć temu pielęgniarzowi? — zapytał Claude.

— Na razie nie mam pojęcia. Jeżeli powtórzmy komedię z chorobą, strażnicy zważą podstęp.

— Myślę, że mam na to pewien sposób — powiedziałem, nie namyślając się długo.

— Jak chcesz się do tego zabrać?

— Podczas spaceru wszyscy strażnicy są na dziedzińcu. Wtedy ucieknę do budynku więzienia.

— Nie pleć głupstw, Jeannot, jeżeli cię złapią, nie będą się z tobą cackali.

— Wydawało mi się, że chcemy za wszelką cenę uratować Enza!

Nadeszła noc, po niej wstał kolejny dzień, równie szary jak poprzedni. Zbliżała się pora spaceru. Odgłos butów strażników, którzy szli korytarzem, przypomniał mi o przestrożach Jacques[^]. „Jeżeli cię złapią, nie będą się z tobą cackali”, myślałam jednak o Enzu. Szczękały zasuw, otwierały się drzwi, więźniowie stawali w szeregu przed Touchinem, który ich liczył.

Każdy pozdrawiał dowódcę straży i cała grupa kierowała się ku kręconym schodom wiodącym na parter. Szliśmy wzdłuż szeregu okien, które wpuszczały do więzienia smętne światło. Nasze kroki odbijały się echem na wytartych kamieniach. Znaleźliśmy się w korytarzu prowadzącym na dziedziniec.

Naprzyżyłem całe ciało — musiałem wyniknąć się na zakręcie, niepostrzeżenie odłączyć od grupy i ukryć za uchylonymi drzwiami. Wiedziałem, że w dzień nigdy nie są zamknięte, żeby strażnik, siedząc na krześle, mógł zerkać na więźniów z celi śmierci. Znałem drogę, wczoraj przebyłem ją pod strażą. Przed sobą miałem luk o średnicy metra, a dalej, na końcu korytarza, kilka schodków do izby chorych. Strażnicy byli na dziedzińcu, los mi sprzyjał.

Pielęgniarz poderwał się na mój widok. Po chwili zorientował się, że z mojej strony nic mu nie zagraża. Kiedy zacząłem mówić, słuchał, nie przerywając, ale nagle opadł na taboret, kompletnie załamany.

— Dłużej nie zniosę tego więzienia — powiedział. — Trudno mi tu wytrzymać, wiedząc, że tam, nade mną, jest wielu

takich jak ty. Nie znoszę swojej bezsilności, tego, że muszę mówić dzień dobry i do widzenia za każdym razem, kiedy mijam tych łotrów, którzy was pilnują i katuja przy lada okazji. Nie mogę już znieść strzelaniny na dziedzińcu. Ale przecież trzeba jakoś żyć, prawda? Muszę wyżywić żonę i dziecko, którego się spodziewamy, rozumiesz?

I tak przypadło mi w udziale pocieszenie pielęgniarza! Ja, Żyd, rudzielec i okularnik w łachmanach, wychudzony i pościęty przez pluskwy, które nie darowały mi tu jeszcze ani jednej spokojnej nocy, ja, więzień, który czeka na śmierć, jakby siedział w kolejce do lekarza, ja, któremu burczy w brzuchu — ja przekonywałem go, że ma przed sobą lepszą przyszłość!

Gdybyś słyszał, jak mówiłem mu o wszystkim, w co jeszcze wierzyłem — o Rosjanach w Stalingradzie, o froncie wschodnim, który się załamał, o rychłym przybyciu aliantów i Niemcach, którzy wkrótce spadną ze swych wieżyczek strażniczych jak jabłka z drzewa na jesieni...

A pielęgniarz słuchał — słuchał jak dziecko, które prawie się już nie boi. Pod koniec tej opowieści staliśmy się niemal kolegami połączonymi wspólnym losem. Kiedy poczułem, że wzbzył się goryczy, powtórzyłem, że w jego rękach spoczywa życie zaledwie siedemnastoletniego dzieciaka.

— Posłuchaj — powiedział. — Jutro przewiozą go do celi śmierci. Do tego czasu, jeżeli się zgodzi, założę mu opatrunek na ranę i przy odrobinie szczęścia dojdzie do infekcji, a wtedy znowu tu trafi. Ale przez najbliższe dni musicie sobie jakoś radzić, żeby ten wybieg się udał.

W jego szafach były środki dezynfekujące, jednak nie istniał żaden, który powodowałby zakażenie. Dlatego naszą szansą było sikać na bandaż.

— Lepiej już idź — powiedział, zerkając przez okno — spacer zaraz się skończy.

Dołączyłem do więźniów, a strażnicy nie zauważyli moich manewrów. Po chwili Jacques podszedł do mnie.

— I co? — zapytał.

— Mam plan!

*

Nazajutrz, a potem następnego dnia i przez wszystkie kolejne, podczas spaceru, przechodząc obok drzwi, szybko wymykałem się z grupy więźniów. Wystarczyło, bym odwrócił głowę, a widziałem Enza, który spał na pryczy w celi śmierci.

— O, znowu tu przyszedłeś, Jeannot — powtarzał za każdym razem, przeciągając się.

I za każdym razem wstawał, pełen niepokoju.

— Co ty właściwie wyprawiasz, jesteś szalony, gdyby cię przyłapali, skatowaliby cię jak psa.

— Wiem, Enzo, Jacques ciągle mi to powtarza, ale trzeba zająć się twoim opatrunkiem.

— Dziwaczny jest ten plan, który obmyśliliście z pielęgniarem.

— O nic się nie martw, Enzo, on jest po naszej stronie, wie, co robi.

— I jak? Macie jakieś nowiny?

— Na jaki temat?

— Oczywiście o desancie! Gdzie są ci Amerykanie? — wypytywał Enzo, jak dziecko, które obudziło się z koszmarnego snu, pyta, czy wszystkie potwory poszły już sobie pod podłogę.

— Słuchaj, Rosjanie zrobili swoje, Niemcy się cofają, podobno wyzwolono część Polski.

— No właśnie, aż miło posłuchać...

— Ale o desancie na razie nic jeszcze nie wiemy.

Powiedziałem to ze smutkiem, który Enzo wyczuł. Zmrużył

oczy, jakby śmierć zarzucała na niego swoją płachtą, podchodząc coraz bliżej.

I twarz mojego kolegi zastygła, a on liczył dni.

Enzo uniósł trochę głowę, żeby na mnie spojrzeć.

— Naprawdę musisz stąd już iść, Jeannot, bo jeżeli cię tu złapią... Wiesz, co cię spotka?

— Jakoś sobie poradzę, ale dokąd właściwie mam iść?

Enzo roześmiał się, a ja z zadowoleniem patrzyłem na jego uśmiech.

— A twoja noga?

Spojrzał na udo i wzruszył ramionami.

— Cóż, mogę ci tylko powiedzieć, że nie pachnie fiołkami!

— Oczywiście, i znowu zacnie cię boleć, ale to przecież lepsze od najgorszego!

— Nie przejmuj się, Jeannot, wiem o tym. Zresztą, ta noga nie może boleć aż tak, jak uderzenie kul, które roztrzaskają mi kości. Ale teraz wynoś się stąd, zanim będzie za późno.

Jego twarz nagle stała się trupio biała, a ja poczułem potężne kopnięcie i rozdzierający ból w plecach. Enzo krzyczał, jak opętany, wymyślał strażnikom od łotrów, jednak oni nic sobie z tego nie robili. Kopali mnie, a ja leżałem na ziemi zgięty wpół. Myślałem, że to się nigdy nie skończy. Widziałem, jak moja krew zalewa posadzki. Enzo wstał, zacisnął ręce na kratkach celi i błagał, żeby zostawili mnie już w spokoju.

— Sam widzisz, że możesz utrzymać się na nogach — zarechotał jeden ze strażników.

W tamtej chwili pragnąłem zemdleć, nie czuć już uderzeń, które spadały na moją twarz niczym sierpniowa ulewa. Jakże daleko było do wiosny w te zimne, majowe dni.

Bardzo wolno odzyskiwałem przytomność. Bolała mnie twarz, wargi były zlepione zaschniętą krwią. Oczy miałem tak opuchnięte, że nie wiedziałem nawet, czy żarówka pod sufitem celi już świeci. Jednak przez judasza słyszałem głosy, a więc żyłem. Inni więźniowie byli na spacerunku.

*

Strużka wody płynęła z kranu w zewnętrznej ścianie. Kole-dzy podchodzili do niego kolejno. Skostniałe palce ,z trudem utrzymywały mydło. Po zakończeniu toalety niektórzy pozwalali sobie na krótką rozmowę, a potem spieszyli rozgrzać się tam, gdzie na dziedziniec padały promienie słońca.

Strażnicy obserwowali jednego z naszych. Ich oczy zwężyły się, jak u czujących krew padlinożerców. Pod chłopakiem ugiwały się już nogi, pozostali więźniowie skupili się wokół niego, otaczając niczym murem.

— Ruszaj się, idziesz z nami! — powiedział dowódca.

— Czego oni ode mnie chcą? — zapytał młody Antoine, nie ukrywając przerażenia.

— No rusz się wreszcie! — ponaglał strażnik, torując sobie drogę pomiędzy więźniami.

A ci wyciągali ręce, żeby uścisnąć Antoine'a, którego chcieli wyrwać z życia.

— Nie martw się — szepnął jeden z kolegów.

— Ale czego oni ode mnie chcą? — powtarzał bez końca nastolatek, kiedy ciągnęli go już za ramiona.

Wszyscy dobrze wiedzieli, czego chcą ci padlinożercy, Antoine także widział już takie sytuacje. Opuszczając dziedzińiec, w milczeniu patrzył na przyjaciół. To ciche pożegnanie stojący nieruchomo więźniowie przyjmują jako ostateczne.

Strażnicy zaprowadzili go do celi. Przed wejściem kazali mu zabrać rzeczy — wszystko.

— Wszystkie moje rzeczy? — jęknął Antoine.

— Głuchy jesteś? Nie słyszysz, co się do ciebie mówi?

Zwijając siennik, Antoine czuł się, jakby pakował całe życie — siedemnaście lat wspomnień... Cóż, szybko robi się taki tobołek!

Touchin kołysał się na piętach.

— No, chodź — powiedział, wykrzywiając w paskudnym grymasie mięsiste wargi.

Antoine podszedł do okna i wziął ołówek, żeby napisać kilka słów do kolegów, którzy zostali na dziedzińcu i których już nie zobaczy.

— Ma się zachcianki, co?! — powiedział Touchin, bijąc go po plecach.

Potem powlekli go za włosy, tak cienkie, że zostały im w rękach.

Antoine podniósł się, chwycił tobołek, przycisnął go do brzucha i ruszył ze strażnikami.

— Dokąd idziemy? — zapytał chłopięcym głosem.

— Zobaczysz, kiedy będziemy na miejscu!

A kiedy dowódca straży otworzył kratę celi śmierci, Antoine podniósł oczy i uśmiechnął się na widok więźnia, który już tam przebywał.

— Co ty tu robisz? — zapytał Enzo.

— Nie mam pojęcia — odparł Antoine. — Przypuszczam, że sprowadzili mnie tu, żebyś nie czuł się taki samotny. Bo o co innego mogłoby im chodzić?

Antoine nie powiedział już nic więcej. Enzo podał mu połowę swojej porcji chleba, ale chłopak odmówił:

— Musisz jeść.

— A po co?

Enzo wstał i krzywiąc się z bólu, na jednej nodze pokonał odległość do przeciwnej ściany. Tam usiadł, opierając się plecami o mur. Położył rękę na ramieniu Antoine'a i pokazał mu nogę.

— Naprawdę myślisz, że skazywałbym się na takie cierpienie, gdyby nie było już nadziei?

Antoine szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w ropiejącą ranę.

— Udało im się? — wymamrotał.

— Jak widzisz, udało się. W dodatku, jeżeli cię to interesuje, mam wiadomość na temat desantu.

— Ty, w celi śmierci, masz takie informacje?

— Dokładnie! Mój drogi, ty wciąż jeszcze niczego nie zrozumiałeś. To wcale nie jest cela, o której mówisz, tylko taka, gdzie znalazło się dwóch nadal żyjących ludzi z ruchu oporu. Chodź, muszę ci coś pokazać.

Enzo szperał w kieszeni, a po chwili wyciągnął zmiażdżoną monetę.

— Miałem ją w podszewce.

— Jak ty się obchodzisz z pieniędzmi! — uśmiechnął się blado Antoine.

— Musiałem przecież usunąć topór rządu Petaina. Teraz jest całkiem gładka i zobacz, co zacząłem na niej grawerować.

Antoine pochylił się nad monetą i odczytał pierwsze litery.

— Jak będzie brzmiało całe zdanie?

— Jeszcze nie skończyłem, ale to ma być: „Trzeba zdobyć jeszcze niejedną bastylę”.

— Będę z tobą zupełnie szczerzy, Enzo, nie wiem, czy to, co robisz, będzie piękne, czy tylko beznadziejnie głupie.

— To cytat. Nie ja wymyśliłem to zdanie, któregoś dnia usłyszałem je od Jeannota. Pomożesz mi skończyć, bo prawdę mówiąc, kiedy ogarnia mnie wysoka gorączka, nie mam już siły.

A kiedy Antoine starym gwoździem rył na monecie litery, Enzo ułożył się na boku i zmyślał dla niego najnowsze wiadomości wojenne.

Emil objął dowodzenie, stworzył prawdziwą armię, która miała teraz samochody, moździerze, a wkrótce mogła liczyć na działa. Brygada została zreformowana, atakowała raz po raz.

— Sam widzisz — podsumował Enzo — to nie my jesteśmy przegrani. Uwierz mi. A nie wspominałem ci jeszcze o desancie. To już naprawdę lada dzień. Zanim Jeannot wyjdzie z karceru, będą tu już Anglicy i Amerykanie, przekonasz się.

Nocą Antoine nie wiedział już, czy Enzo mówi prawdę, czy może mający w gorączce, mieszając rzeczywistość z marzeniami.

Rano zdjął przyjacielowi bandażę i zanurzył je w wiadrze z nieczystościami, a potem owinał nimi ranę. Przez cały dzień czuwał nad nim, wsłuchiwał się w jego oddech. Kiedy przestał

go iskać, zajął się monetą, a gdy udało mu się wyryć kolejne słowo, szeptał do ucha Enza, że rzeczywiście to on ma rację i że obaj doczekają wyzwolenia.

*

Co drugi dzień zaglądał do nich pielęgniarz. Dowódca straży otwierał mu kratę, a potem zamykał w celi z więźniami, dając mu kwadrans na opatrzenie ran Enza i ani minuty więcej.

Antoine, który zaczął już zdejmować bandażę, przeprosił za to pielęgniarza. Ten postawił apteczkę na podłodze i otworzył ją.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, to uśmiercimy go, zanim zrobi to pluton egzekucyjny.

Przyniósł im aspirynę i trochę opium.

— Ale nie dawaj mu tego za dużo. Przyjdę tu dopiero za dwa dni, a jutro ból znacznie się nasili.

— Dziękuję — szepnął Antoine, kiedy pielęgniarz się podniósł.

— Nie ma za co — pielęgniarz spojrział na niego ze współczuciem i żalem. — Po prostu daję wam wszystko, co mam.

Wcisnął ręce do kieszeni fartucha i odwrócił się twarzą do kraty celi.

— Pielęgniarzu, jak panu na imię? — zapytał Antoine.

— Jules, mam na imię Jules.

— W takim razie — dziękuję, Jules.

Pielęgniarz odwrócił się znowu, żeby spojrzeć na Antoine'a.

— Wiesz, wasz przyjaciel, Jeannot, wrócił już na górę.

— A! To dobra wiadomość — powiedział Antoine. — A co z Anglikami?

— Z jakimi Anglikami?

— No, z aliantami, mówię o desancie, nic pan o tym nie wie? — nalegał zdumiony Antoine.

— Słyszałem to i owo, ale nic bliższego.

— Nic bliższego czy nic o ich bliskości? Bo w naszej sytuacji, kiedy tu siedzimy, to oznacza jedno, rozumiesz, Jules?

— A jak ty masz na imię? — zapytał pielęgniarz.

— Antoine.

— W takim razie posłuchaj, Antoine. Okłamałem tego Jean-nota. Okłamałem go, kiedy przyszedł, żeby pomógł twojemu koledze, którego nogę za dobrze wyleczyłem. Nie jestem lekarzem, a tylko pielęgniarzem, i jestem tu, bo dałem się złapać, kiedy kradłem prześcieradła i inne drobiazgi z szaf szpitala, w którym pracowałem. Skazali mnie na pięć lat odsiadki. Tak samo jak ty, jestem więźniem. Wy jesteście polityczni, ja jestem pospolitym przestępcą, to duża różnica: jestem nikim.

— Bzdura, równy z ciebie gość — pocieszał go Antoine, czując, że pielęgniarzowi jest ciężko na sercu.

— Zmarnowałem wszystko, a chciałbym być taki jak ty. Możesz mi powiedzieć, że nie ma czego zazdrościć chłopakowi, którego rozstrzelają, ale chciałbym choć przez chwilę mieć twoją dumę i odwagę. Widziałem tu tylu dzielnych chłopaków! Widzisz, siedziałem tu już, kiedy stracili Langera. Co powiem ludziom po wojnie? Że wsadzili mnie do mamra, bo kradłem jakieś gałgany?

— Posłuchaj, Jules, po pierwsze, możesz mówić, że nas leczyłeś, a to już dużo. I możesz powiedzieć, że co drugi dzień nadstawiałeś karku, żeby zmieniać opatrunki Enzowi. Enzo to mój kolega, którym się opiekujesz, gdybyś nie wiedział. Imiona są bardzo ważne, Jules. To dzięki nim pamiętamy ludzi i nawet kiedy już nie żyją, często używamy ich imion, bo inaczej nie da się ich wspominać. Jules, zrozum, że nic nie dzieje się bez powodu. Tak mówiła moja matka. Nie kradłeś tych cholernych prześcieradeł, dlatego że jesteś złodziejem, ale dlatego, że musieli cię wsadzić, musiałeś tu trafić, żeby nieść nam pomoc. No dobrze, teraz już jest z tobą lepiej, Jules. Widzę to po

twojej twarzy, znowu masz kolory, więc mów, co z tym desan-tem, na kiedy się zapowiada?

Jules podszedł do kraty zawołać strażnika, by otworzył celę.

— Przepraszam cię, Antoine, ale nie mogę już dłużej kła-mać, nie mam siły. Nie wiem nic o tym twoim desancie.

Tej nocy, kiedy Enzo jęczał z bólu, a gorączka rosła, Antoine usiadł na ziemi i dokończył grawerowanie ostatniego w zdaniu słowa: „bastylie”, na wypolerowanej monecie.

Gdy zrobiło się szaro, Antoine usłyszał, że zasuwą sąsiedniej celi otworzyła się, a potem zamknęła, szczękając. Słyszał też oddalające się, miarowe kroki. Po chwili, uczepony krat w oknie, słuchał dwunastu głuchych wystrzałów pod ścianą straceń. Antoine uniósł głowę — w oddali rozbrzmiała *Pieśń partyzan-tów*. Śpiew był potężny, przenikał mury więzienia Saint-Michel i docierał aż tu niczym hymn nadziei.

Enzo uniósł powiekę i szepnął:

— Antoine, myślisz, że przyjaciele zaśpiewają, kiedy to ja zostanę rozstrzelany?

— Tak, Enzo, ale jeszcze głośniej — powiedział łagodnie Antoine. — Tak głośno, że słyhać ich będzie nawet na drugim końcu miasta.

28

Wyszedłem z karceru i wróciłem do chłopaków. Zebrali się wszyscy, żeby dać mi tytoń na co najmniej trzy papierosy.

W środku nocy angielskie bombowce przeleciały nad więzieniem. W dali rozległo się wycie syren. Zawisłem na kratkach, wpatrując się w niebo.

Odległy warkot silników przypominał nadciągającą burzę. Ogarnął przestrzeń, brzmiał nawet w naszej celi.

W smugach światła, które omiały niebo, zobaczyłem dachy naszego miasta. Tuluza, różowa Tuluza. Myślałem o toczącej się za murem wojnie, o niemieckich miastach i o miastach w Anglii.

— Dokąd lecą? — zapytał Claude, siadając na sienniku.

Obejrzałem się i patrzyłem na rysujące się w mroku sylwetki moich wynędzniałych przyjaciół. Jacques oparł się o ścianę, Claude się skulił. Miski uderzały o ściany, a z innych cel dobiegały głosy: „Chłopaki, słyszycie?”.

Tak, wszyscy słyszeliśmy ten głos wolności, tak bliski, a zarazem daleki, tam, kilka tysięcy metrów nad naszymi głowami.

W samolocie, w górze, byli wolni ludzie, termosy z kawą,

ciastka i paczki pełne papierosów. A wszystko tuż nad nami, rozumiesz? A piloci w skórzanych kurtkach pruli chmury i lecieli pośród gwiazd. Pod ich skrzydłami ziemia była ciemna, bez świateł, nawet tych z więzienia, a nasze serca wzbierały nadzieją. Boże, jak bardzo pragnąłem być jednym z nich, oddałbym życie, żeby przy nich usiąść, ale to życie dałem już wolności, tu, w kamiennej celi więzienia Saint-Michel.

— Powiedz, dokąd lecą? — powtórzył pytanie mój brat.

— Skąd mam wiedzieć?!

— Do Włoch! — stwierdził któryś z kolegów.

— Nie, kiedy tam lecą, startują z Afryki — zaprzeczył Samuel.

— Więc dokąd? — nie ustępował Claude. — Co tam robią?

— Nie wiem, nie wiem, ale lepiej trzymaj się z dala od okna, nigdy nic nie wiadomo.

— To dlaczego wtykasz nos między kraty?!

— Patrzę i opowiadam ci, co się dzieje...

Świst rozdarł ciemności, mury więzienia Saint-Michel zadrzały od pierwszych wybuchów, wszyscy więźniowie wstali, krzycząc z radości. „Słyszycie, słyszycie?!“.

Tak, słyszeliśmy. Bombardowano Tuluzę, niebo zapłonęło, jak okiem sięgnąć. Działa przeciwlotnicze odpowiadały ogniem, ale świst wciąż trwał. Koledzy skupili się tuż obok mnie, pod kratami. Cóż to były za fajerwerki!

— Co oni robią? — pytał jęklwym głosem Claude.

— Nie wiem — szepnął Jacques.

Głos jednego z kolegów zaintonował pieśń. Poznałem akcent Charles'a i przypomniał mi się dworzec w Loubers.

Mój młodszy brat stał tuż obok mnie, Jacques na wprost, Francois i Samuel zostali na siennikach. Na dole byli Enzo i Antoine. Nasza trzydziesta piąta brygada nie przestała istnieć.

— Gdyby choć jedna z tych bomb spadła na mury więzienia... — powiedział Claude.

Nazajutrz, po przebudzeniu, dowiedzieliśmy się, że tej nocy sunące pod niebem samoloty torowały szlak desantu.

Jacques miał rację, wiosna wracała, a Enzo i Antoine być może mieli szansę na ocalenie.

*

Następnego dnia o świcie trzech mężczyźni w czerni weszli na dziedziniec. Towarzyszył im oficer w mundurze.

Powitał ich dowódca straży wyraźnie zaskoczony ich przybyciem.

— Proszę poczekać na mnie w biurze — powiedział. — Muszę ich uprzedzić, nie spodziewaliśmy się panów.

Gdy dowódca przechodził przez dziedziniec, przez bramę wjechała ciężarówka, z której wyskoczyło dwunastu ludzi w hełmach.

Tego ranka Touchin i Theil mieli wolne, służbę pełnił Delzer.

— Że też to musiało spaść właśnie na mnie — burczał pod nosem.

Minął luk i podszedł do celi. Antoine wstał, słysząc jego kroki.

— Co pan tu robi, przecież to jeszcze noc, do posiłku daleko!

— Stało się — powiedział Delzer. — Już tu są.

— Która godzina? — spytał chłopak.

Strażnik spojrzął na zegarek. Była piąta.

— To po nas? — zapytał Antoine.

— Nic mi nie powiedzieli.

— Czyli przyjdą po nas?

— Prawdopodobnie za pół godziny. Muszę wypełnić dokumenty, trzeba będzie zamknąć dyżurnych.

Strażnik pogrzebał w kieszeni, wyjął paczkę gauloise'ów i podał ją Antoine'owi.

— Chyba będzie lepiej, jeżeli obudzisz kolegę.

— Ale przecież on nie może się utrzymać na nogach, nie zrobią tego! Kurwa, nie mają prawa! — oburzył się Antoine.

— Wiem — powiedział Delzer, spuszczać głowę. — Pójdę już, może zresztą to ja wrócę tu po was.

Antoine pochylił się nad siennikiem Enza. Poklepał go po plecach.

— Obudź się.

Enzo drgnął i otworzył oczy.

— To już dziś, zaraz — szepnął Antoine. — Już tu są.

— My dwaj? — zapytał Enzo, a jego oczy zasnuły się łzami.

— Nie, ciebie nie mogą wziąć, to by było ohydne.

— Nie mów tak, Antoine, przyzwyczaiłem się, że jesteśmy zawsze razem. Pójdę z tobą.

— Zamknij się, Enzo! Nie możesz chodzić, zabraniam ci wstawać, rozumiesz? Zapewniam cię, że mogę tam iść bez ciebie.

— Wiem, przyjacielu, wiem.

— Zobacz, mamy dwa papierosy, prawdziwe. Możemy je wypalić.

Enzo uniósł się i zapalił zapałkę. Zaciągnął się głęboko, a potem obserwował kłęby dymu.

— Więc alianci nadal nie dokonali desantu?

— Na to wygląda, stary.

*

W celi sypialnej wszyscy czekali. Tego ranka spóźniono się z zupą. Była już szósta, a dyżurni jeszcze nie szli korytarzem. Jacques chodził tam i z powrotem. Na jego twarzy malował się niepokój. Samuel siedział pod ścianą, Claude wspiał się na palce, żeby wyrzeć przez okienko, ale na dziedzińcu panował półmrok, więc odszedł i usiadł.

— Do diabła, gdzie oni się podziewają?—powtarzał Jacques.

- Banda łajdaków! — rzucił mój brat.
- Myślisz, że...?
- Zamknij się, Jeannot! — ofuknął mnie Jacques i usiadł pod drzwiami, opierając głowę na kolanach.

Delzer wrócił do celi śmierci. Miał poszarzałą, smutną twarz.

- Przykro mi, chłopcy.
- Jak zamierzają go wyprowadzić? — zapytał błagalnym tonem Antoine.

— Wyniosą na krzesło. Stąd to opóźnienie. Próbowałem ich przekonać, że tak nie można, że nie robi się takich rzeczy, ale mają już dość czekania na jego wyzdrowienie.

- Łotry! — wrzasnął Antoine.

Enzo usiłował podtrzymać go na duchu.

- Chcę iść o własnych siłach!

Wstał, zachwiał się i upadł. Bandaż zsunął się z jego nogi, odsłaniając ropiejącą ranę.

- Zaraz przyniosą krzesło — westchnął Delzer. — Nie ma sensu, żebyś zadawał sobie dodatkowy ból.

W tle tych słów Enzo usłyszał kroki ludzi, którzy szli po niego i po Antoine'a.

- Słyszałeś? — zapytał Samuel, wstając.

- Tak — szepnął Jacques.

Na dziedzińcu rozbrzmiały kroki żandarmów.

- Jeannot, podejdź do okna i mów, co się dzieje.

Zbliżyłem się do krat, Claude mnie podsadził. Za moimi plecami skupili się koledzy. Czekali, aż zacznę im opowiadać smutną historię świata, w którym dwóch zagubionych chłopców

wleczono wczesnym rankiem na śmierć. Jeden z nich chwiał się na niesionym przez dwóch żandarmów krześle.

Jeden stał i przywiązano go do słupa, drugiego postawiono tuż obok, razem z krzesłem.

Dwunastu ludzi uformowało szereg. Usłyszałem, jak palce Jacques'a strzelają w stawach, tak mocno je zaciskał. A potem usłyszałem dwanaście wystrzałów, które rozdarły ten ostatni ranek. Jacques krzyknął „Nie!” na całe gardło, i jego krzyk wzniosł się nad zaintonowaną pieśń, dłuższy od strofy *Marsylianki*, którą śpiewaliśmy chórem.

Głowy naszych kolegów zakołysały się i opadły, z podziurawionych kulami piersi tryskała krew. Noga Enza jeszcze drgała, wyprężyła się, a krzesło opadło na bok.

Jego twarz legła w piasku i przysięgam ci, że gdy zapadła cisza, on się uśmiechał.

*

Tej nocy pięć tysięcy jednostek, które płynęły z Anglii, pokonało kanał La Manche. O świcie osiemnaście tysięcy spadochroniarzy spadło z nieba, a amerykańscy, angielscy i kanadyjscy żołnierze wylądowali na francuskich plażach. Były ich tysiące. Trzy tysiące z nich oddało życie jeszcze tego samego ranka, a większość poległych spoczywa na cmentarzach w Normandii.

Był szósty czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, godzina szósta rano. O świcie, na dziedzińcu więzienia Saint-Michel w Tuluzie, rozstrzelani zostali Enzo i Antoine.

29

Przez trzy kolejne tygodnie alianci przeżyli w Normandii istne piekło. Każdy dzień przynosił zwycięstwa i nadzieję. Paryż nie został jeszcze wyzwolony, lecz wiosna, na którą tak czekał Jacques, już się zbliżała i nikt nie mógł mieć jej za złe, że tak bardzo się opóźniła.

Co rano podczas spaceru wymienialiśmy z hiszpańskimi kompanami najświeższe wiadomości wojenne. Teraz byliśmy już pewni, że wkrótce zostaniemy uwolnieni. Jednak intendent policji, niejaki Marty, który wciąż pałał nienawiścią do takich jak my, zgotował nam inny los. Pod koniec miesiąca wydał rządowi więziennictwa rozkaz przekazania wszystkich więźniów politycznych nazistom.

O świcie zebrano nas w korytarzu pod szarymi szybami. Każdy niósł tobołek z rzeczami osobistymi i miskę.

Na dziedziniec wjechały ciężarówki, a żołnierze Waffen-SS szwargotali, nakazując nam ustawić się w szeregu. Niemcy wrzeszczeli i popychali nas kolbami karabinów. Stałem obok Jacques'a, Charles'a, Francois, Marca, Samuela, mojego młod-

szego brata i wszystkich kolegów z trzydziestej piątej brygady, którzy dożyli tego dnia.

Splótłszy ręce na plecach, dowódca straży Theil w otoczeniu kilku swoich ludzi patrzył na nas oczyma, z których wyzierał gniew.

Pochyliłem się, żeby szepnąć Jacques'owi do ucha:

— Popatrz na niego, jest błądy jak trup. Wiesz, mimo wszystko nie chciałbym być teraz w jego skórze.

— Zdajesz sobie sprawę, dokąd jedziemy, Jeannot!

— Tak, ale jedziemy tam z wysoko podniesionymi głowami, a on zawsze będzie żył ze swoją hańbą.

Wszyscy mieliśmy nadzieję na wolność i wszyscy szliśmy w szeregu, skuci łańcuchami, gdy otwarły się bramy więzienia. Pod ścianą maszerowaliśmy przez miasto, a nieliczni przechodnie w milczeniu, spoglądali na grupę więźniów prowadzonych na śmierć.

Na dworcu w Tuluzie, gdzie obudziło się tak wiele wspomnień, czekał na nas skład towarowy.

Zatrzymując się na peronie, wszyscy domyślaliśmy się, dokąd zawiezie nas ten pociąg. Był jednym z tych, które od wielu miesięcy przemierzały Europę. Ich pasażerowie nigdy nie wracali.

Stacją końcową było Dachau, Ravensbriick, Auschwitz-Birkenau. Do tego pociągu widma zapędzano nas jak bydło.

CZEŚĆ TRZECIA

30

Słońce było jeszcze niezbyt wysoko, mimo to na peronie, gdzie czekało czterystu więźniów z obozu Vernet, robiło się już bardzo ciepło. Pięciuset ludzi, przetrzymywanych w więzieniu Saint-Michel, dołączyło do tej grupy. W składzie pociągu, między wagonami towarowymi, które przeznaczono dla nas, znalazło się także kilka pasażerskich. Wsiedli do nich Niemcy skazani za drobne przestępstwa. Wracali do kraju pod eskortą. Byli także gestapowcy, którym udało się uzyskać przeniesienie do Niemiec. Towarzyszyły im rodziny. Ludzie z Waffen-SS siadali na stopniach, trzymając karabiny na kolanach. Stojący przy lokomotywie dowódca konwoju, porucznik Schuster, wydawał żołnierzom rozkazy. Na końcu składu dołączono platformę z ogromnymi reflektorami i karabinem maszynowym. Esesmani popychali nas kolbami. Jeden z więźniów nie spodobał się Niemcowi, więc zadał mu potężny cios, uderzając kolbą w głowę. Mężczyzna upadł i z ogromnym trudem, skulony z bólu, wstał, gdy otworzyły się drzwi bydlęcych wagonów. Odwróciłem się, by jeszcze raz spojrzeć na niebo. Nie było na nim ani jednej chmury, zapowiadał się gorący letni dzień, a ja jechałem do Niemiec.

Choć na peronie było aż czarno od ludzi, a przed wagonami więźniowie tworzyli kolejki, ja, o dziwo, nie słyszałem żadnych dźwięków. Gdy pchali nas do wagonu, Claude szepnął mi do ucha:

- Tym razem to już naprawdę ostatnia podróż.
- Zamknij się!
- Jak myślisz, długo wytrzymamy w tym ścisku?
- Tyle, ile będzie trzeba! Zabraniam ci umierać!

Claude wzruszył ramionami, wchodząc na stopień, i wyciągnął do mnie rękę. Poszedłem za nim. Zaraz potem drzwi wagonu się zamknęły.

Dopiero po chwili moje oczy oswoiły się z ciemnością. Okna zabito deskami, po których biegł drut kolczasty. W wagonie stłoczono nas siedemdziesięciu, a może nawet więcej. Uświadomiłem sobie, że położyć się i odpocząć będziemy tu mogli tylko na zmianę.

Zbliżało się południe, upał był nieznośny, a pociąg wciąż stał na dworcu. Gdybyśmy ruszyli, może docierałaby tu choć odrobina powietrza, ale teraz nie mogliśmy liczyć na najlżejszy powiew. Jakiś Włoch, konając z pragnienia, nasikał w splecione ręce i wypił własny mocz. Po chwili zachwiał się i zemdłał. We trzech unieśliśmy go i trzymaliśmy tuż przy deskach, przez które płynął wąły strumyk powietrza. Kiedy jednak staraliśmy się przywrócić mu przytomność, kolejni zaczęli mdleć i upadać.

- Posłuchajcie! — wyszeptał mój brat.
- Nadstawialiśmy uszu, niepewnie patrząc na niego.
- Ciii — uspokajał szemrzących.

Usłyszał pomruk burzy, a już po chwili o dach zadudniły duże krople deszczu. Meyer błyskawicznie przemknął do desek, wyciągnął rękę między drutami, zranił się, ale to nieważne, bo z krwią spływającą po jego ręce mieszała się de-

szczówka, którą zaczął zlizywać. Wkrótce inni podjęli walkę o jego miejsce. Spragnieni, wyczerpani, przerażeni ludzie przeistoczyli się w zwierzęta, jakże jednak mieć im za złe, że tracili rozum, skoro wciśnięto nas do bydłęcych wagonów?

Pociąg drgnął i ruszył. Przejechał kilka metrów i znowu się zatrzymał.

Przyszła moja kolej, teraz ja mogłem usiąść. Claude był tuż obok. Oparty o ścianę, podkuliłem kolana, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Było około czterdziestu stopni i czułem jego dyszenie, jakby siedział przy mnie pies, który ułożył się na rozgrzanych kamieniach do popołudniowej drzemki.

W wagonie panowała cisza. Czasami tylko ktoś kaszlnął, a zaraz potem zemdlał. W tym przedśionku śmierci zadawałem sobie pytanie, o czym myśli człowiek, który prowadzi lokomotywę, o czym myślą siedzące na wygodnych ławkach w przedziałach osobowych niemieckie rodziny, ci wszyscy, którzy dwa wagony od nas piją i jedzą do syta. Czy ktokolwiek spośród nich wyobrażał sobie więźniów, którzy się tu dusili, omdlałych nastolatków, wszystkie te istoty ludzkie, którym chciano odebrać godność, a potem zamordować?

— Jeannot, musimy się stąd wydostać, póki czas.

— Ale jak?

— Nie wiem, chcę tylko, żebyś zastanowił się nad tym razem ze mną.

Nie miałem pojęcia, czy Claude powiedział tak, ponieważ naprawdę wierzył, że ucieczka jest możliwa, czy tylko dlatego, że wyczuł moją desperację. Mama powtarzała nam zawsze, że życie zależy jedynie od nadziei, jaką mu dajemy. Pragnąłem poczuć jej zapach, usłyszeć głos, przypomnieć sobie, że jeszcze kilka miesięcy temu byłem dzieckiem. Zobaczyłem, jak jej uśmiech zagasa, jak wargi układają się w słowa, których nie

słyszę. „Ratuj życie brata — wyczytałem z nich w końcu. — Nie poddawaj się, Raymond, nie poddawaj się!”.

— Mama?

Ktoś wymierzył mi policzek.

— Jeannot?

Potrząsnąłem głową i jak przez mgłę zobaczyłem rozczochraną czuprynę brata.

— Mało brakowało, żebyś mi tu zemdłał — powiedział tytułem przeprosin.

— Przestań nazywać mnie Jeannot, przecież to już nie ma sensu!

Nadszedł wieczór. Pociąg nawet nie drgnął przez cały dzień. Nazajutrz miał kilkakrotnie zmieniać tor, ale nie opuścił dworca. Żołnierze krzyczeli, przyłączano kolejne wagony. O zmroku następnego dnia Niemcy dali wszystkim po bochenku żytniego chleba i porcję marmolady na trzy dni, jednak nie przynieśli nam wody.

Nazajutrz, gdy konwój wreszcie wyjechał, żaden z nas nie miał już siły, żeby od razu to sobie uświadomić.

Alvarez wstał. Wpatrzył się w smugi, które światło rzucało na podłogę, przedostając się przez szczeliny w deskach przybitych do okna. Odwrócił się i spojrzał na nas, a potem chwycił drut kolczasty i, usiłując go rozsunać, kaleczył dłonie.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał jakiś wystraszony mężczyzna.

— A jak myślisz?

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz uciekać?

— A co ci do tego? — burknął Ah/arez, wysysając krew z ran.

— Sporo, bo jeżeli zauważą, że uciekasz, za karę rozstrzelają dziesięciu. Nie słyszałeś, co mówili na dworcu?

— Jeżeli postanowiłeś tu zostać i padnie na ciebie, będziesz mógł mu podziękować, bo przynajmniej skrócą twoje męki. Jak myślisz, dokąd jedzie ten pociąg?

— Nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć! — jęknął mężczyzna, chwytając za kurtkę Alvareza.

— Do obozu zagłady! Tam trafiają wszyscy, którzy wcześniej nie wyzdychają, dusząc się własnym opuchniętym językiem. Rozumiesz?! — wrzasnął Alvarez, uwalniając się od mężczyzny.

— Uciekaj, ale zostaw go w spokoju — wtrącił się Jacques, pomagając Alvarezowi w odrywaniu desek z okna.

Alvarez był u kresu sił. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, był zrozpaczony i ogarnięty gniewem.

Wciągnęliśmy deski do wagonu. Wreszcie powietrze dostało się do środka, więc nawet ci, którzy bali się konsekwencji czynu naszego przyjaciela, wdychali teraz chłód nocy.

— Przekłęty księżyc! — mruknął Alvarez. — Spójrz, jak jest jasno, można by pomyśleć, że to dzień!

Jacques wyjrzał przez okno. W dali, na zakręcie, widać było ciemną plamę lasu.

— Pospiesz się, jeżeli chcesz wyskoczyć, to tylko teraz!

— Kto idzie ze mną?

— Ja — zgłosił się Titonel.

— I ja — dodał Walter.

— Zobaczymy potem — przejął dowodzenie Jacques. — No już, wskakuj, podsadzę cię.

I oto nasz kolega zaczął realizować plan, który zrodził się w jego głowie, kiedy przed dwoma dniami zatrzasnęły się drzwi wagonu. Te dwa dni i dwie noce dłużyły się nam jak wszystkie spędzone w mrocznych otchłaniach piekła.

Alvarez wdrapał się na okno i wysunął najpierw nogę, a po-

tem się odwrócił. Musiał trzymać się ścianki, zsuwając ciało. Wiatr smagał jego policzki, przywracając mu odrobinę sił, które wracały także wraz z narastającą nadzieją ocalenia. Wystarczyło, żeby niemiecki żołnierz z końca składu, ten, który siedział przy karabinie maszynowym, nie zauważył jego manewru, żeby nie patrzył w tę stronę. Zaledwie kilka sekund, tyle żeby pociąg dojechał do lasku, bo tam Alvarez mógł skoczyć. I jeśli nie skręci karku, spadając na nasyp, znajdzie ocalenie właśnie w lesie. Jeszcze kilka sekund i Alvarez puścił futrynę okna. Natychmiast rozbrzmiała seria strzałów. Potem rozległa się strzelanina ze wszystkich stron.

— A nie mówiłem! — krzyknął mężczyzna. — To szaleństwo.

— Zamknij się! — zgromił go Jacques.

Alvarez toczył się po nasypie. Kule rozrywały ziemię wokół niego. Miał połamane zębra, ale żył. Już biegł w stronę lasu, ile sił w nogach. Za plecami słyszał zgrzyt hamującego pociągu. W pościg za nim ruszyła cała sfora i gdy ciężko dysząc, wpadł między pierwsze drzewa, kule roztrzaskały korę świerków, za którymi się skrył.

Las się przeredzał. Dalej Garonna wiła się jak długa, srebrzysta wstęga pośród nocy.

Osiem miesięcy więzienia, osiem miesięcy niedojadania, a potem te straszliwe dni w pociągu — a jednak Alvarez miał duszę wojownika. Miał w sobie także tę siłę, jaką daje poczucie wolności. Dlatego skacząc do rzeki, powiedział sobie, że jeśli mu się uda, przeżyją także inni. Nie mógł pozwolić, żeby pochłoneły go fale, koledzy warci byli wysiłku. Nie, Alvarez nie umarł tego wieczoru.

Czterysta metrów dalej wdrapał się na brzeg. Zataczając się, szedł ku jednemu światłu, jakie przed sobą widział. Było to okno domku pośród pól. Jakiś mężczyzna wyszedł mu na

spotkanie, wsparł na swym ramieniu i niemal zaniósł do domu. Słyszał strzelaninę. Wraz z córką udzielił zbiegowi schronienia pod swoim dachem.

Po powrocie na torowisko esesmani rozwścieczeni nieudającym pościgiem, kopali drzwi wagonów i walili w nie kolbami, jakby chcieli zabronić więźniom nawet szeptów. Musieliśmy liczyć się z represjami, ale nie w tej chwili. Porucznik Schuster zdecydował, że pociąg natychmiast odjedzie. Resistance stawała się w regionie coraz silniejsza, więc lepiej było nie przedłużać postoju. Ktoś mógł zaatakować pociąg. Żołnierze wsiedli do wagonów, lokomotywa ruszyła.

Nuncio Titonel, który miał wyskoczyć zaraz po Alvarezie, musiał zrezygnować z tego zamiaru. Obiecał, że zrealizuje go przy najbliższej okazji. Słuchając go, Marc zwiesił głowę. Nuncio był bratem Damiry. Marca i Damirę rozdzielono po aresztowaniu i od przesłuchania chłopak nie miał informacji o losie dziewczyny. Nie dowiedział się niczego także w więzieniu Saint-Michel. Myślał o niej bez przerwy. Nuncio spojrzał na niego, westchnął i usiadł obok. Jeszcze nigdy żaden z nich nie odważył się podjąć rozmowy o kobiecie, która mogła uczynić ich braćmi, gdyby tym dwojgu nie odebrano wolności i prawa do miłości.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, że ze sobą chodzicie? — zapytał Nuncio.

— Ona mi zabroniła.

— Głupie pomysły!

— Bała się twojej reakcji, Nuncio. Nie jestem Włochem.

— Gwizdź na to, czy jesteś Włochem, czy nie, skoro ją kochasz i szanujesz. Każdy z nas jest dla kogoś obcym.

— Tak, każdy z nas jest dla kogoś obcym.

— A ja i tak wiedziałem o was od samego początku.

- Kto ci powiedział?
 - Gdybyś zobaczył jej minę, kiedy wróciła do domu zapewne po waszym pierwszym pocałunku! Albo kiedy wyruszała z tobą na akcję czy dokądkolwiek, gdzie miała cię spotkać! Szykowała się godzinami. Nie trzeba było szczególnej przenikliwości, żeby się domyślić.
 - Proszę cię, Nuncio, nie mów o niej w czasie przeszłym.
 - Marc, zdajesz sobie sprawę, że teraz jest prawdopodobnie w Niemczech i jej los jest przesądzony.
 - Dlaczego w takim razie właśnie teraz o niej mówisz?
 - Bo przedtem myślałem, że uda nam się przez to przejść, doczekać wolności, i nie chciałem, żebyś się załamał i poddał.
 - Jeżeli spróbujesz uciec, pójdę z tobą, Nuncio.
- Nuncio spojrział na Marca. Położył rękę na jego ramieniu i przytulił do siebie.
- Otuchy dodaje mi świadomość, że Osna, Sophie i Mariannę są razem z nią. Zobaczysz, będą się wspierały. Osna zadba, żeby ją uratować, ona nigdy nie rezygnuje, zaufaj mi!
 - Myślisz, że Alvarezowi się udało? — podjął Nuncio.

Nie wiedzieliśmy, czy nasz kolega uszedł z życiem, z pewnością jednak udało mu się uciec, a dzięki temu w nas wszystkich ożyła nadzieja.

Kilka godzin później dojechaliśmy do Bordeaux.

*

Wczesnym rankiem otwarto wagon. Nareszcie dano nam trochę wody. Najpierw musieliśmy zwilżyć sobie usta, a potem pić małymi łykami, żeby przez gardło przeszła większa ilość płynu. Porucznik Schuster pozwolił nam wysiąść, ale w cztero-, pięcioosobowych grupach i tylko po to, żeby iść za potrzebą za

torowisko. Każdej grupie towarzyszyli uzbrojeni żołnierze, niektórzy nawet z granatami, żeby zapobiec zbiorowej ucieczce. Kucaliśmy na ich oczach. To było dodatkowe poniżenie, ale musieliśmy je przeżyć. Mój brat spojrział na mnie ze smutkiem. Zdobyłem się na uśmiech, chociaż przypuszczam, że był to blady uśmiech.

4 lipca

Wagon został znowu zamknięty i natychmiast zrobiło się gorąco. Skład ruszył. Stłoczeni ludzie szukali odrobiny miejsca, żeby się położyć. My, koledzy z brygady, usiedliśmy pod ścianą w końcu wagonu. Ktoś, kto by nas tam zobaczył, mógłby pomyśleć, że jesteśmy dziećmi tamtych, a przecież... przecież...

Zastanawialiśmy się, jaką pojedziemy trasą. Jacques stawiał na Angouleme, Claude marzył o Paryżu, Marc był przekonany, że celem jest Poitiers, a większość uważała, że Compiègne. Tam właśnie powstał obóz przejściowy, pełniący rolę dworca przesiadkowego. Wszyscy wiedzieliśmy, że wojna toczy się w Normandii, ponoć walki trwały także w rejonie Tours. Wojska alianckie posuwały się w naszym kierunku, ale my zmierzaliśmy na śmierć.

— Wiesz, braciszku, wydaje mi się, że jesteśmy raczej zakładnikami niż więźniami. Może zostawią nas na granicy. Wszyscy Niemcy chcą wrócić do domu, a jeżeli pociąg nie dotrze do Niemiec, to Schuster i jego ludzie trafią do niewoli. Najbardziej boją się, że Resistance może opóźnić transport, wysadzając tory. Dlatego pociąg posuwa się tak wolno. Schuster próbuje precyzyjnie się przez sieć. Z jednej strony czyhają na

niego kumple z partyzantki, z drugiej piekielnie boi się nalotów angielskiego lotnictwa.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Sam to wymyśliłeś?

— Nie — przyznał. — Kiedy poszliśmy się odlać, Meyer słyszał, jak dwaj żołnierze rozmawiali na ten temat.

— To Meyer zna niemiecki? — zainteresował się Jacques.

— Mówi w jidysz...

— A gdzie teraz jest Meyer?

— W sąsiednim wagonie — powiedział Claude.

Ledwie zdążył zamilknąć, gdy pociąg znów stanął. Claude wspiął się na palce, żeby wyjrzeć przez okno. W dali widać było peron małego dworca w Parcoul-Medillac.

Dochodziła siódma rano, na stacji nie było żywego ducha — ani podróżnych, ani nawet kolejarzy. Pobliska wieś zdawała się spać w niezmaconej ciszy. Dzień zapowiadał się na nieznośnie upalny. Dusiliśmy się. Żeby pomóc nam wytrwać, Jacques opowiadał różne historie. Siedzący obok niego Francois słuchał, pogrążony w rozmyślaniach. W głębi wagonu ktoś jęknął, tracąc przytomność. We trzech przenieśliśmy go do okna, przez które docierało do środka trochę powietrza. Inny więzień kręcił się w kółko, jakby oszalał. Po chwili zaczął krzyczeć i przejmująco wyć, aż w końcu i on stracił przytomność. Tak upływał nam ten dzień czwartego lipca, w polu tuż przed stacją kolejową w Parcoul-Médillac.

Minęła czwarta po południu. Jacques, któremu dawno już zaschło w ustach, zamilkł. Tylko pojedyncze szepty przerywały ciszę wyczerpującego oczekiwania.

— Masz rację, trzeba będzie pomyśleć o ucieczce — powiedziałem, siadając obok Claude'a.

— Nie podejmujemy próby, dopóki nie będziemy pewni, że uda nam się uciec razem — stwierdził kategorycznie Jacques.

— Ciii! — szepnął mój brat.

— Co jest?

— Zamknij się i słuchaj!

Claude wstał, ja w ślad za nim. Podszedł do okna i spojrzał przed siebie. Czyżby mój brat i tym razem wcześniej od innych usłyszał pomruk burzy?

Niemcy wyskakiwali z pociągu i biegli w pole. Schuster biegł na czele grupy. Gestapowcy i ich rodziny szukali schronienia pod nasypem. Także tam żołnierze ustawili wycelowane w nas karabiny maszynowe, jakby chcieli zapobiec ucieczkom. Claude patrzył teraz w niebo, nasłuchując.

— Samoloty! Do tyłu, wszyscy do tyłu i na ziemię! — krzyknął.

Usłyszeliśmy warkot nadlatujących samolotów.

Młody kapitan eskadry myśliwców świętował wczoraj, w mesie oficerskiej bazy lotniczej w południowej Anglii, dwudzieste trzecie urodziny. Dziś wzbił się w powietrze. Trzyma rękę na drążku, kciuk na przycisku, który obsługuje broń maszynową na skrzydłach. Przed nim, na torowisku, stoi unieruchomiony pociąg. To będzie łatwy atak. Wydaje rozkaz ustawienia się w szyku, uprzedza o ataku, a jego samolot już pikuje w dół. Na celowniku ma wyraźnie widoczne wagony, nie wątpi, że to niemiecki transport towarowy skierowany na front, żeby armia otrzymała zaopatrzenie. Za nim lecą koledzy i wszyscy pod tym błękitnym niebem są już gotowi. Cel znajduje się w zasięgu ognia. Kciuk pilota wysuwa się lekko. W kabinie samolotu wyczuwa się panujący tego dnia upał.

Teraz! Skrzydła trzeszczą, ostre, długie jak sztylet kule trafiają w pociąg, nad którym przelatuje eskadra. Niemieccy żołnierze odpowiadają ogniem.

W naszym wagonie roztrzaskują się drewniane ściany. Wokół świszczą kule. Ktoś upada z potwornym krzykiem, inny trzyma w rękach trzewia, które wypływają z rozdartego brzucha, kolejny ma rozszarpaną nogę. Istna rzeź. Więźniowie próbują się osłaniać skromnym bagażem, ale to tylko złudna nadzieja na przeżycie szturm. Jacques skoczył na Francois, ochraniając go własnym ciałem. Cztery angielskie samoloty nadlatują kolejno, huk silników rozsadza nam skronie, ale oto już się oddalają, szybując w niebo. Przez okno widać, jak wykonują zwrot i na dużej wysokości wracają nad torowisko.

Bojąc się o Claude'a, ogarnąłem go ramieniem. Miał potwornie bladą twarz.

— Nic ci się nie stało?

— Nie, ale ty krwawisz, tu, na szyi — powiedział mój brat, dotykając palcami rany.

Okazało się, że drobny odłamek powierzchownie mnie skaleczył. Wokół nas panowała rozpacz. W wagonie było sześciu zabitych i tyluż rannych. Jacques'owi, Charles'owi i Francois nic się nie stało. Nie wiedzieliśmy, jakie były straty w innych wagonach. Na nasypie leżał w kałuży krwi niemiecki żołnierz.

Wsluchiwaliśmy się w coraz bliższy warkot nadlatujących samolotów.

— Wracają — szepnął Claude.

Patrzyłem na smutny uśmiech, który majaczył na jego ustach. Wyglądał, jakby chciał się ze mną pożegnać, ale nie śmiał zlekceważyć rozkazu, jaki mu wydałem, by nie ważył się umierać. Nie wiem, co mnie napadło. To było pasmo gestów, podyktowanych wzruszeniem, jakie wywołał we mnie koszmar, w którym mama błagała: „Ratuj życie brata”.

— Daj mi koszulę! — krzyknąłem do Claude'a.

— Co?

— Ściągaj ją natychmiast i dawaj!

Sam także się rozebrałem — moja koszula była niebieska, Claude nosił mniej więcej białą, a ze zwłok leżącego przede mną mężczyzny zerwałem nasiąknięty krwią, czerwony kawałek materiału.

Trzymając te trzy kolory w ręku, doszedłem do okienka. Claude mnie podsadził. Wysunąłem na zewnątrz rękę i patrząc na pikujące na nas samoloty, zacząłem wymachiwać tą prowizoryczną flagą.

Siedzącemu w kokpicie młodemu dowódcy eskadry słońce świeciło prosto w oczy. Lekko odwrócił głowę, żeby go nie oślepiało. Wciąż wodził kciukiem po przycisku. Pociąg był jeszcze poza jego zasięgiem, ale za kilka sekund będzie mógł

wydać rozkaz ataku. W dali lokomotywa dymiła na całej powierzchni, a to znaczyło, że kule przebiły kocioł.

Jeszcze jeden nawrót, a ten konwój prawdopodobnie już nie zdoła ruszyć.

Skrzydło myśliwca kolegi niemal stykało się ze skrzydłem jego maszyny. Dał znak do ataku. Spojrzał na celownik i zamarł na widok kolorowej plamy na wagonie. Wydawało mu się, że się porusza. Czy to odbłask lufy karabinu? Młody pilot dobrze wiedział, jakie figle potrafi płać światło. Ile to razy, tam w górze, przelatywał przez tęczę, która z ziemi wydaje się wielobarwnym pasem łączącym chmury!

Maszyna zaczyna pikować, pilot przygotowuje się do oddania serii. Czerwono-niebieska plama przed jego oczyma wciąż się porusza. Przecież nie istnieją kolorowe lufy broni, a poza tym w środku widać biały pas, który jakby tworzył francuską flagę! Skupia się na szmatach, którymi powiewa ktoś ukryty w wagonie. Krew w żyłach angielskiego kapitana pulsuje coraz szybciej, jego kciuk zawisa w nieruchomieje.

— *Break, break, break!* — krzyczy do pokładowej radiostacji i żeby się upewnić, że podkomendni usłyszeli rozkaz, dodaje gazu i machając skrzydłami, wznosi samolot.

Lecące za nim maszyny zrywają szyk i próbują powtórzyć jego manewr. Wygląda to, jakby spłoszona eskadra trzmieli gwałtownie szybowała w górę.

Przez okienko widzę oddalające się samoloty. Czuję, że ręce mojego brata zaczynają słabnąć i uginać się pod moimi nogami, ale chwytam się obrzeża okna, żeby obserwować dalszy lot myśliwców.

Chciałbym być jednym z nich. Tego wieczoru powrócą do Anglii.

— No i co? — pyta błagalnie Claude.

— Mam wrażenie, że zrozumieli sygnał. Pokiwali nam skrzydłami, to taka forma pozdrowienia.

W górze samoloty ustawiły się w szyku. Młody dowódca eskadry poinformował innych o sytuacji. Ostrzelany pociąg to nie skład towarowy, ale transport więźniów. Widział, jak jeden z nich machał flagą, żeby to zasygnalizować.

Pilot przesunął drążek, samolot przechylił się, ślizgając się na skrzydle. Z dołu Jeannot widział, jak wykonuje zwrot i zawraca, żeby ustawić się na tyłach konwoju. Potem znowu zapikował ku ziemi. Tym razem leciał z niewielką prędkością. Maszyna przesuwiała się nad wagonami, niemal ich dotykała, zawieszona zaledwie parę metrów nad torowiskiem.

Stojący na nasypie niemieccy żołnierze nie wierzyli własnym oczom, żaden nie śmiał nawet drgnąć. Pilot nie odrywał oczu od prowizorycznej flagi, którą więzień wciąż wymachiwał przez okno wagonu. Znalazłszy się nad tym wagonem, lotnik jeszcze bardziej zwolnił, schodząc do minimalnej prędkości. Odwrócił twarz. Przez kilka sekund dwie pary niebieskich oczu wpatrują się w siebie. Oczy młodego angielskiego pilota z pokładu myśliwca Royal Air Force i oczy młodego żydowskiego więźnia, deportowanego do Niemiec. Ręka pilota uniosła się — zasalutował więźniowi, a ten odwzajemnił gest.

Potem samolot wzbił się w górę, raz jeszcze machając skrzydłami na pożegnanie.

- Odlecieli? — zapytał Claude.
- Tak. Wieczorem będą już w Anglii.
- Kiedyś zostaniesz pilotem, Raymondzie, przysięgam!

— Wydawało mi się, że do końca wojny zamierzałeś nazywać mnie Jeannot.

— Braciszku, już prawie wygramy te wojnę, spójrz tylko na smugi na niebie. Nadeszła wiosna. Jacques miał rację.

Czwartego lipca czterdziestego czwartego roku, dziesięć po czwartej po południu, w ogniu wojny spotkały się dwa spojrzenia. Trwało to ledwie kilka sekund, jednak dla dwóch młodych ludzi ta chwila stała się wiecznością.

*

Niemcy wstawali i wychodzili z zarośli. Wracali do pociągu. Schuster podbiegł do lokomotywy, żeby ocenić zniszczenia. Tymczasem jego ludzie ustawiali pod ścianą przydworcowego magazynu czterech więźniów, którzy podjęli próbę ucieczki, wykorzystując zamieszanie podczas ataku myśliwców. Rozstrzelano ich na miejscu z karabinu maszynowego. Cztery bezwładne ciała leżały w kałuży krwi, szkliste oczy zabitych zdawały się nas obserwować, mówić nam, że ich piekło właśnie się skończyło, tu, przy torowisku.

Feldgendarm, który otworzył drzwi wagonu, pobladł i zakrył dłonią usta. Cofnął się o krok i z wymiotował. Dwaj inni żołnierze dołączyli do niego, osłaniając twarz rękami, żeby nie czuć panującego tu smrodu. Była to ostra woń moczu, do której dochodził smród kału i odór z trzewi Bastiena, leżącego z rozprutym brzuchem.

Tłumacz oznajmił nam, że zabici zostaną wyniesieni z wagonów za kilka godzin, a my wiedzieliśmy, że przy panującym upale z każdą minutą ta sytuacja będzie dla nas coraz bardziej nieznośna.

Zadawałem sobie pytanie, czy Niemcy zdobędą się na pogrzebanie czterech zamordowanych więźniów, którzy nadal leżeli parę metrów od pociągu.

Wzywano pomocy z sąsiednich wagonów. W pociągu byli przedstawiciele wszystkich zawodów — widma robotników, notariuszy, stolarzy, inżynierów, nauczycieli. W końcu zezwolono lekarzowi, także będącemu więźniem, udzielić pomocy licznym rannym. Był to niejaki Van Dick. Asystował mu hiszpański chirurg, który przez trzy lata pełnił w obozie Vernet rolę lekarza. Na próżno jednak przez długie godziny obaj robili, co w ich mocy, żeby uratować kilka istnień — nic nie mogli wskórać, nie dysponują dosłownie niczym, a żar lejący się z nieba dobija tych, którzy dogorywają. Niektórzy błagają, żeby powiadomić ich rodziny, inni konają niemal z uśmiechem na ustach, jakby czuli się wyzwoleni od cierpień. Tu, w Parcoull-Medillac, o zmierzchu, umierały dziesiątki ludzi.

Lokomotywa była niezdatna do użytku. Pociąg nie mógł odjechać tego wieczoru. Schuster polecił sprowadzić nową, która miała dotrzeć na miejsce nocą.

Do rana kolejarze będą mieli trochę czasu, żeby i tę uszkodzić. Kiedy kocioł zacznie przeciekać, będziemy musieli zatrzymać się znacznej części, żeby uzupełniać poziom wody.

Noc była cicha. Powinniśmy byli zdobyć się na bunt, ale zabrakło nam siły. Paraliżował nas ciężki jak ołów upał, pograżając w stanie półprzytomności. Zaczynały nam puchnąć języki, coraz trudniej było oddychać. Alvarez wiedział, co mówi.

— Myślisz, że mu się udało? — zapytał Jacques.

Alvarez zasługiwał na szansę, jaką dało mu życie. Ojciec i córka, którzy udzielili mu schronienia, zaproponowali, żeby pozostał u nich aż do wyzwolenia. Mimo to, ledwie wylizał się z ran, podziękował im za opiekę i postanowił podjąć walkę. Mężczyzna nie próbował odwieść go od tego zamiaru, widząc jego determinację. Dlatego wyciął plan regionu z kalendarza pocztowego, który wisiał na ścianie, i dał go Alvarezowi. Podarował mu także nóż i namówił, by udał się do Sainte-Bazille. Tamtejszy zawiadowca stacji kolejowej należał do ruchu oporu. Kiedy Alvarez dotarł na miejsce, usiadł na ławce przy peronie. Zawiadowca, gdy tylko go zauważył, natychmiast podszedł i zabrał do swojego biura. Powiedział mu, że nadal poszukuje go SS. Zaprowadził go do małego pomieszczenia, gdzie przechowywał narzędzia i mundury kolejarskie, wybrał dla niego szarą bluzę, dał kask i lekki młot. Sprawdził, czy wszystko wygląda, jak należy, i razem poszli na tory. Po drodze minęli dwa niemieckie patrole. Pierwszy nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, drugi zasalutował.

O zmroku doszli do domu kolejarza. Tam Alvareza powitała

żona zawiadowcy i dwójka jego dzieci. Nikt o nic nie pytał. Przez trzy dni karmili go i leczyli, okazując bezgraniczną życzliwość. Jego wybawcy byli Baskami. Trzeciego ranka czarny samochód zatrzymał się przed małym domkiem, w którym Alvarez odzyskiwał siły. Przyjechali trzej partyzanci po nowego towarzysza walki.

*

6 lipca

O świcie pociąg ruszył w dalszą drogę. Po chwili mineliśmy wiejską stacyjkę o zabawnej nazwie. Na tablicy widniał napis „Charmant”. W naszej sytuacji ta ironia geografii szczerze nas rozbawiła. Ale nagle skład znowu się zatrzymał. Dusiliśmy się w wagonach, a Schuster szalał rozgniewany kolejnym postojem i zastanawiał się już nad zmianą trasy. Niemiecki porucznik zdawał sobie sprawę, że nie może kierować się na północ. Postępy aliantów były szybkie, a Schuster coraz bardziej obawiał się działań Resistance, która wysadzała tory kolejowe, żeby opóźnić naszą deportację.

Nagle drzwi się uchyliły, potem ze zgrzytem rozsunęły. Oślepieni, ujrzelśmy w nich wrzeszczących Niemców. Claude spojrział na mnie niepewnie.

— Jest tu Czerwony Krzyż, trzeba iść na peron po wiadro — mówi więzień, któremu wyznaczono rolę tłumacza.

Jacques wskazał na mnie. Wyskoczyłem z wagonu i upadłem na kolana. Prawdopodobnie moje rude włosy nie spodobały się stojącemu przede mną feldgandarmowi. Przez ułamek sekundy patrzyliśmy na siebie i to wystarczyło, żeby z całej siły uderzył

mnie kolbą w twarz. Cofnąłem się o krok i upadłem na plecy. Po omacku szukałem okularów. Poczułem je pod palcami i zebrałem ich szczątki do kieszeni. Szedłem jak w gęstej mgłę w ślad za żołnierzem, który zaprowadził mnie za żywoptot. Lufą karabinu wskazał mi wiadro wody i tekturowe pudło z okrągłymi bochenkami czarnego chleba do podziału dla wszystkich więźniów. Tak wyglądał przydział żywności dla poszczególnych wagonów. Szybko zrozumiałem, że przedstawiciele Czerwonego Krzyża nie będą mieli okazji spotkać się z nami.

Gdy wróciłem do wagonu, Jacques i Charles precyzyjnie się do drzwi, żeby pomóc mi wsiąść. Wszędzie wokół widziałem tylko gęstą, czerwoną mgłę. Charles przemył mi twarz, ale mgła się nie rozproszyła. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, co się stało. Wspominałem już, że natura bezlitośnie ze mnie zadrwiła, obdarzając mnie włosami w kolorze marchewki, a jakby tego było mało, uczyniła mnie ślepym jak kret. Bez okularów świat się zamazywał, byłem ślepy, mogłem zaledwie odróżnić dzień od nocy, z trudem rozpoznawałem poruszające się w pobliżu sylwetki. Mimo to natychmiast zauważyłem, że jest przy mnie mój brat.

— Cholera, ta świnia paskudnie cię urządziła.

Trzymałem w rękach resztki okularów: mały kawałek szkła w prawym okularze, niewiele większy zwiślał z lewego. Claude musiał być skrajnie zmęczony, skoro nie zauważył nawet, że jego starszy brat nie ma na nosie nieodstępnych binokli! Wiedziałem, że nie ogarnął jeszcze rozmiarów dramatu — teraz będzie musiał uciekać beze mnie, nie ma mowy, żeby obarczał się kaleką. Jacques w pełni zrozumiał już sytuację. Poprosił Claude'a, żeby zostawił nas samych, i usiadł przy mnie.

— Nie poddawaj się! — szepnął.

— A niby co mogę teraz zrobić?

— Coś wymyślimy.

— Jacques, zawsze wiedziałem, że jesteś optymistą, ale teraz naprawdę przesadzasz.

Claude zbliżył się do nas i prawie mnie odepchnął, żebym zrobił mu trochę miejsca.

— Słuchaj, przyszło mi coś do głowy w związku z twoimi okularami. Wiadra trzeba będzie odnieść, prawda?

— Co z tego?

— Skoro Niemcy nie chcą, żebyśmy zetknęli się z ludźmi z Czerwonego Krzyża, to trzeba będzie je odstawić za żywoplot, kiedy już będą puste.

A więc Claude nie tylko rozumiał moją sytuację, ale już obmyślał plan działania. I jakkolwiek mogło się to wydawać niewiarygodne, przemknęło mi przez myśl, że teraz to ja będę pełnił rolę młodszego brata.

— Wciąż nie rozumiem, do czego właściwie zmierzasz?

— Po każdej stronie oprawki został kawałek szkła. Optykowi wystarczy to, żeby ustalić, jak dobrać okulary.

Słuchając go, usiłowałem naprawić nieodwracalną szkodę za pomocą dużej drzazgi i nitki wyrwanej z koszuli. Claude wziął mnie za rękę, nie mogąc na to patrzeć.

— Przestań się męczyć z tymi okruchami szkła! Posłuchaj mnie, do diabła. Nie uda ci się wyskoczyć przez okno ani pędzić na złamanie karku w takich okularach. Ale jeżeli włożymy to, co z nich zostało, do pustego wiadra, to może ktoś zrozumie, o co chodzi, i zechce nam pomóc.

Przyznaję, że łzy stanęły mi w oczach. Nie dlatego, że pomysł mojego brata zrodził się ze szczerzej miłości, ale dlatego, że w tej chwili, na dnie rozpacz, Claude znalazł w sobie dość siły, żeby zachować nadzieję. Tego dnia byłem z niego niezwykle dumny, a kochałem go tak mocno, że jeszcze teraz nie wiem, czy kiedykolwiek zdołałem to wyrazić.

— Jego pomysł wydaje się sensowny — wtrącił Jacques.

— Nawet na pewno nie jest głupi — dodał Francois, a wszyscy inni z aprobatą kiwali głowami.

Ani przez chwilę nie wierzyłem, że to się może udać. Musiałbym założyć, że wiadro nie zostanie sprawdzone, zanim trafi do rąk ludzi z Czerwonego Krzyża. Musiałbym marzyć, że ktoś znajdzie szczątki okularów i zainteresuje się moim losem, problemem deportowanego do Niemiec więźnia, który bez szkieł jest bezradny. To było całkowicie nieprawdopodobne. Ale nawet Charles uznał plan mojego brata za „fatanstyczny”.

Dlatego, nie dzieląc się z nikim wątpliwościami i nie okazując pesymizmu, zgodziłem się rozstać z tymi okruchami szkła, które pozwoliłyby mi zobaczyć zaledwie ściany wagonu.

Pragnąc wyrazić wdzięczność kolegom, którzy tak szlachetnie starali się we mnie rozbudzić nadzieję, spełniłem prośbę Claude'a, przed wieczorem włożyłem szczątki okularów do pustego wiadra, które miało zostać wyniesione z wagonu. A kiedy drzwi się zamknęły, w cieniu oddalającej się siostry Czerwonego Krzyża ujrzałem czerń pochłaniającej mnie śmierci.

Tej nocy nad Charmant rozszalała się burza. Deszcz dudnił o dach i wdzierał się do wagonu dziurami po ostrzale lotniczym. Ci, którzy mieli jeszcze dość siły, stali i unosząc głowy, chwyтали krople wody szeroko otwartymi ustami.

8 lipca

Ruszyliśmy, więc wszystko przepadło, już nigdy nie zobaczę moich okularów.

O świcie dojechaliśmy do Angouleme. To był przerażający widok. Dworzec został zniszczony podczas alianckich bombardowań. Gdy pociąg zwolnił, oniemiaли patrzyliśmy na rozprute budynki, na zwęglone wagony, które zbiły się w bezkształtną masę. Lokomotywy dopalały się jeszcze na torach, niektóre przewrócone na bok. Żurawie zwisały ponuro, podobne do kościotrupów. A wzdłuż wyrwanych torów, których kawałki sterczały nad rumowiskiem, tu i ówdzie stali robotnicy i trzymając w rękach kilofy lub młoty, z niedowierzaniem i grozą spoglądali na nasz pociąg. Byliśmy niczym siedemset zjaw pośród krajobrazu apokalipsy.

Hamulce zgrzytnęły, pociąg się zatrzymał. Niemcy zabronili kolejarzom podchodzić do wagonów. Nikt nie mógł wiedzieć, co się w nich dzieje, nikt nie mógł być świadkiem tej makabry. Schuster coraz bardziej bał się ataku. Strach przed partyzantami przerodził się w obsesję. Warto zaznaczyć, że od początku podróży pociąg nie zdołał nigdy pokonać więcej niż pięćdziesiąt kilometrów dziennie, a front walk o wyzwolenie powoli się zbliżał.

Surowo zakazano nam prób kontaktu pomiędzy wagonami, mimo to wiadomości obiegały pociąg, zwłaszcza te, które dotyczyły wojny i postępów armii alianckich. Kiedy tylko jakiś odważny kolejarz zdołał zbliżyć się do składu, kiedy pod osłoną nocy podszedł do niego dzielny cywil, pragnący nas wesprzeć, zbieraliśmy informacje. I za każdym razem odradzała się nadzieja, jakiej nie mógł już żywić Schuster.

Nasz pociąg był ostatnim jadącym do Niemiec, po raz ostatni deportowano z Francji więźniów, więc niektórzy chcieli wierzyć, że w końcu uwolnią nas Amerykanie albo Resistance. To przecież dzięki niej dreptaliśmy w miejscu, to za jej sprawą przestawały istnieć tory kolejowe. Daleko od nas feldgendarmi odprowadzili na bok dwóch kolejarzy, którzy próbowali do nas podejść. Teraz wycofujące się wojsko w każdym widziało wroga, a cywil, który pragnął udzielać nam pomocy, zwyczajny robotnik, był dla hitlerowców terrorystą. A przecież to właśnie Niemcy wrzeszczeli, trzymając w garści karabin, mając u pasa granaty, oni bili najsłabszych z nas, maltretowali więźniów tylko po to, żeby rozładować narastające napięcie.

Tego dnia nie pojechaliśmy dalej. Wagony zostały zamknięte, wystawiono strażę. A upał wciąż się nasilał i zabijał nas minuta po minucie. Na zewnątrz temperatura sięgała trzydziestu pięciu stopni, ile było wewnątrz, nikt nie wie, ale prawie wszyscy byliśmy nieprzytomni. Jedyną pociechą w tym piekle był widok znajomej twarzy przyjaciela. Domyślałem się, że Charles się uśmiecha, gdy na niego patrzę, Jacques zdawał się stale nad nami czuwać, Francois trzymał się go jak syn, którego tamten już nie miał. Ja marzyłem o Sophie i Marianne. Wyobrażałem sobie przyjemny chłód nad Kanałem Południowym, widziałem

białą ławkę, na której siadaliśmy, żeby przejąć instrukcje. Siedzący naprzeciwko mnie Marc wyglądał na smutnego, a przecież to jemu dopisało szczęście. Myślał o Damirze, a ja byłem pewien, że także ona o nim myśli, jeśli jeszcze żyje. Żaden strażnik ani kat nie mógł odebrać więźniom takich wspomnień. Uczucia potrafią przenikać przez kraty, nawet ciasne, płyną, lekceważąc odległość, nie znają granic, różnicy języka czy religii i spotykają się poza stworzonymi przez ludzi więzzeniami.

Marc miał tę wolność. Chciałem wierzyć, że Sophie, gdziekolwiek wtedy była, także czasami myślała o mnie. Zadowolilibym się kilkoma sekundami, krótkim wspomnieniem przyjaciela, którym byłem... nie mogąc być dla niej nikim więcej.

Tego dnia nie dostaliśmy ani wody, ani chleba. Niektórzy z nas nie mogli już mówić, tak bardzo byli wycieńczeni. Nie rozstawaliśmy się z Claude'em, co chwila któryś z nas sprawdzał, czy ten drugi nie zemdłał, czy nie kona, a czasami nasze ręce się spotykały, tak na wszelki wypadek...

*

9 lipca

Schuster postanowił jechać na skróty. Resistance wysadziła most, uniemożliwiając ruch na wyznaczonej wcześniej trasie, ruszyliśmy więc w kierunku Bordeaux. Kiedy pociąg oddalał się od Angouleme i zrujnowanego dworca, myślałem o wiadrze, w którym pozostawiłem swą ostatnią szansę, by cokolwiek widzieć. Już od dwóch dni żyłem jak we mgle, jakby noc trwała przez całą dobę.

Dojechaliśmy wczesnym popołudniem. Nuncio i jego przyjaciel Walter myśleli wyłącznie o ucieczce. Wieczorem, dla zabicia czasu, urządzaliśmy polowanie na zżerające nas wszy

i pluskwy. Lęły się w szwach koszul i spodni. Trzeba było dużej wprawy, żeby je stamtąd usunąć, ale i tak, gdy tylko udało się pozbyć jednej kolonii, jej miejsce zajmowała nowa. Na zmianę część z nas kładła się, żeby trochę odpocząć, a tymczasem inni kucali, robiąc im jak największe miejsca. W środku nocy naszło mnie dziwne pytanie — czy jeśli uda nam się przeżyć to piekło, kiedykolwiek zapomnimy o nim choć na chwilę? Czy będzie nam dane żyć jak normalni ludzie? Czy można wymazać tę cząstkę wspomnień, które uporczywie nas nękają?

*

Claude bacznie mi się przypatrywał.

— O czym myślisz? — zapytał półgłosem.

— O Chahinie. Pamiętasz go?

— Owszem. Dlaczego teraz o nim mówisz?

— Bo jego twarz nigdy nie zamaże się w mojej pamięci.

— O czym właściwie myślisz, Jeannot?

— Staram się znaleźć powód, dla którego warto przez to wszystko przejść i trzymać się życia.

— Masz ten powód przed sobą, idioto! Kiedyś odzyskamy wolność. Poza tym obiecałem ci przecież, że będziesz latał, chyba o tym pamiętasz!

— A co ty chciałbyś robić po wojnie?

— Przemierzyć motocyklem Korsykę z najpiękniejszą dziewczyną świata obejmującą mnie w pasie.

Brat pochylił nade mną twarz, żebym wyraźniej go widział.

— Śmiejesz się, co? Może uważasz, że nie potrafię zawrócić w głowie dziewczynie i zabrać jej w podróż?

Robiłem, co mogłem, żeby się powstrzymać, ale czułem, że ogarnia mnie niepohamowany śmiech i że mój brat się złości. Rozbawiony był także Charles, a nawet Marc.

— Co was dzisiaj wszystkich napadło? — zapytał wściekły Claude.

— Po prostu potwornie cuchniesz, braciszku! A gdybyś tak przejrzał się w lustrze! Wątpię, żebyś w tym stanie zdołał uwieść choćby karalucha!

Claude wciągnął nosem powietrze i dołączył do chóralnego, absurdalnego śmiechu, którego długo nie mogliśmy powstrzymać.

*

10 lipca

Już wczesnym rankiem upał był nie do wytrzymania. A ten przekłęty pociąg wciąż nie ruszał z miejsca. Na niebie nie pojawiła się nawet najmniejsza chmurka, nie było nadziei na kroplę deszczu, który ulżyłby cierpieniom więźniów. Słyszałem, że Hiszpanie śpiewają, kiedy jest im źle. I oto usłyszałem pieśń w pięknym języku katalońskim. Jej słowa przedzierały się na wolność przez deski sąsiedniego wagonu.

— Patrzcie! — powiedział Claude, wspinając się do okna.

— Co tam widzisz? — zapytał Jacques.

— Żołnierze biegają po peronie. Podjeżdżają ciężarówki Czerwonego Krzyża, wysiadają z nich siostry. Niosą wodę i idą w naszą stronę.

Podeszły do peronu, ale Feldgendarmi rozkazali im się zatrzymać, odstawić wiadra i odejść. Więźniowie przyjdą po wodę, gdy one się oddalą. Nie zezwala się na żaden kontakt z terrorystami!

Przełożona zdecydowanym gestem odsunęła żołnierza.

— A cóż to za terroryści? — zapytała z oburzeniem. — Starcy? Kobiety? A może to ci wygłodzeni mężczyźni w bydłych wagonach?

Nie kryjąc gniewu, oznajmiła mu, że ma już dość rozkazów. Za jakiś czas prawdopodobnie przyjdzie mu się rozliczyć z tego, co robił. Siostry zaniosą zaopatrzenie aż do wagonów i tym razem tak to się odbędzie! Dodała, że jego mundur nie robi na niej wrażenia.

A kiedy porucznik wyciągnął rewolwer i zapytał, czy może to robi na niej trochę większe wrażenie, siostra spiorunowała wzrokiem Schustera i uprzejmie poprosiła o przysługę. Jeśli oficer odważy się strzelić do kobiety, a zapewne strzeli jej w plecy, to prosiłaby, żeby był tak uprzejmy i celował w środek krzyża, który widnieje na jej mundurze. Dodała, że na szczęście ten znak jest wystarczająco duży, żeby trafił w niego taki dureń jak on. I na pewno przysporzy mu to żołnierskiej chwały, gdy wróci do ojczyzny, a jeszcze większej, jeśli przypadkiem wpadnie w ręce Amerykanów albo Resistance.

Wykorzystując zdumienie Schustera, przełożona poleciła swojemu szczególnemu oddziałowi podejść do wagonów. Stojący na peronie żołnierze wyglądali na rozbawionych jej władczym zachowaniem. A może po prostu czuli ulgę, widząc, że ktoś zmusił ich dowódcę, by okazał odrobinę człowieczeństwa.

Przełożona jako pierwsza otworzyła drzwi wagonu, inne kobiety poszły za jej przykładem.

Siostra przełożona Czerwonego Krzyża z Bordeaux sądziła, że widziała już wszystko. Doświadczenie dwóch wojen i opieka nad najuboższymi dały jej przekonanie, że w tym życiu nic już jej nie zdziwi. Jednak kiedy nas ujrzała, wytrzeszczyła oczy, poczuła mdłości i nie zdołała powstrzymać jęku: „O mój Boże”.

Prerażone siostry patrzyły na nas, a moi towarzysze wyczytali z ich twarzy odrazę i sprzeciw wobec takiego traktowania ludzi. Cóż z tego, że ubraliśmy się najlepiej, jak

możliśmy — wychudzone, blade twarze najlepiej świadczyły, w jakim jesteście stanie.

Siostry podchodziły do wagonów pojedynczo, każda niosła wiadro i częstowała więźniów sucharami, przy okazji zamieniając z nimi parę słów. Ale Schuster zaczął już wrzeszczeć, żądając odejścia przedstawicielek Czerwonego Krzyża, a przełożona uznała, że na dziś wystarczy igrania z losem. Drzwi się zamknęły.

— Jeannot! Chodź, zobacz! — zawołał Jacques, który zajmował się rozdzielaniem sucharów i wody między więźniów.

— Co się stało?

— Pośpiesz się, nie będziesz załował!

Wstawanie wymagało sporego wysiłku, a we mgle, w jakiej żyłem od kilku dni, stawało się jeszcze bardziej uciążliwe. Jednak wyczułem w zachowaniu kolegów coś, co skłoniło mnie, by do nich podejść. Claude ujął mnie za rękę.

— Patrz! — powiedział.

Och, czasami Claude naprawdę przesadzał z żarcikami! Widziałem czubek własnego nosa i niemal nic poza nim, może kilka sylwetek, wśród których rozpoznałem Charles'a, a już raczej odgadłem Marca i Francois, stojących tuż za jego plecami.

W końcu rozpoznałem zarys wiadra, które Jacques przesunął w moją stronę. Nagle, na jego dnie, zauważyłem oprawki nowych okularów. Wyciągnąłem rękę i zanurzyłem ją w wodzie, chwytając coś, co nadal wydawało mi się urojeniem.

Koledzy wstrzymali oddech, czekając w milczeniu, aż wsunę okulary na nos. I nagle twarz mojego brata stała się tak wyrazista, jak dawniej, widziałem już wzruszenie w oczach Charles'a, radosną minę Jacques'a, uśmiechy Marca i Francois, którzy chwycili mnie w ramiona.

Kto zdołał zrozumieć naszą prośbę? Kto potrafił odgadnąć, jaki los czeka pozbawionego nadziei więźnia, gdy znalazł na dnie wiadra potłuczone okulary? Kto miał w sobie dość życzliwości, żeby zamówić nowe i przez wiele dni jechać za pociągiem, bezbłędnie ustalić wagon, z którego pochodziły, i zrobić wszystko, żeby właśnie tam trafiły nowe szkła?

— Siostra Czerwonego Krzyża — odparł Claude. — Któż by inny?

Chciałem znowu patrzeć na świat, nie byłem już ślepy, mgła się rozproszyła. Odwróciłem głowę i rozejrzałem się wokół. Widok, który najpierw ukazał się moim odzyskanym oczom, napawał smutkiem. Claude pociągnął mnie do okna.

— Spójrz, jaka piękna pogoda.

— Tak, masz rację, braciszku, śliczny jest ten dzień.

*

— Uważasz, że jest ładna?

— Kto?

— Siostra!

Pomyślałem, że być może tego wieczoru wreszcie pojawiła się w moim życiu iskra nadziei. Odmowa Sophie, Damiry i, prawdę mówiąc, wszystkich dziewcząt z brygady, z których żadna nie chciała mnie nawet pocałować, być może miała pewien sens. Kobieta mojego życia, tą wymarzoną, musiała być ta, która ocaliła mnie przed ślepotą.

Znalazłszy w pustym wiadrze okulary, natychmiast zrozumiała wołanie o pomoc dochodzące z piekła. Zawinęła oprawkę w chusteczkę, dbając, by nie zgubić tkwiących w niej odłamków szkła. Potem pojechała do miasta, do związanego z Resistance optyka, który szybko i starannie dobrał szkła o mocy tych rozbitych. Kiedy okulary były już gotowe, wsiadła na rower

i posuwała się wzdłuż torów, dopóki nie dojechała do naszego pociągu. Widząc, że kieruje się do Bordeaux, była już pewna, że zdoła doręczyć przesyłkę. W porozumieniu z przełożoną siostr Czerwonego Krzyża przed wejściem na peron rozpoznała z daleka wagon po śladach kul na boku. W ten sposób odzyskałem okulary.

Musiała być kobietą o wielkim sercu, szlachetną i odważną, więc obiecałem sobie, że jeśli zdołam przeżyć, odnajdę ją po wojnie i się jej oświadczę. Już sobie wyobrażałem, jak z rozwianym włosom jadę wiejską drogą, siedząc za kierownicą odkrytego chryslera, a choćby i na rowerze, co tylko dodałoby uroku całej sytuacji. Zastukam do drzwi jej domu, dwa razy, dość cicho, a kiedy mi otworzy, powiem: „To ja jestem mężczyzną, któremu uratowałaś życie, więc teraz to życie należy do ciebie”. A potem zjemy kolację przy kominku i będziemy sobie opowiadać o minionych latach, o wszystkich miesiącach cierpienia na długiej drodze, u której kresu wreszcie się spotkaliśmy. I razem zamkniemy księgę przeszłości, by wspólnie zapisać czyste karty nadchodzących dni. Będziemy mieli troje dzieci, a może więcej, jeśli zechce, i nasze życie stanie się pasmem szczęścia. Tak jak obiecał Claude, ukończę kurs pilotażu, a kiedy uzyskam patent, zabiorę ją w niedzielę w lot nad francuską prowincją. Nareszcie wszystko stało się logiczne, a życie nabrało dla mnie sensu.

Biorąc pod uwagę rolę, jaką Claude odegrał w moim ocaleniu, a także ze względu na łączące nas więzy, uznałem za zupełnie normalne, iż poproszę go, by został moim świadkiem.

Claude zerknął na mnie, pokaszując.

— Słuchaj, stary, w zasadzie nie mam nic przeciwko temu, żeby być świadkiem na twoim ślubie, a nawet czuję się za-

szczycony tą prośbą, muszę ci jednak o czymś powiedzieć, zanim podejmiesz ostateczną decyzję. Pielęgniarka, która przyniosła te okulary, jest jeszcze bardziej ślepa niż ty. Widziałem, jakie grube nosi szkła. Ale mniejsza o to, zresztą prawdopodobnie powiedziałaś mi, że to ci nie przeszkadza. Jednak muszę dodać, bo przecież, kiedy odchodziła, ty jeszcze nic nie widziałeś, że jest od ciebie starsza o jakieś czterdzieści lat, najprawdopodobniej jest mężatką obciążoną tuzinem dzieci. Nie twierdzę, że w naszym stanie możemy pozwolić sobie na wielkie wymagania, ale mimo wszystko...

*

Tkwiliśmy w pociągu stojącym na peronie dworca w Bordeaux przez trzy dni. Ludzie się dusili, czasem ktoś wstawał, licząc, że uda mu się zaczerpnąć łyk powietrza, którego dotkliwie brakowało.

Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego, to jedna z wielkich tajemnic rodzaju ludzkiego. Nie czuliśmy już, jak potwornie śmierdzimy, nikt nie zwracał uwagi na tego, który kucał nad małą dziurą w deskach, przymuszony potrzebą fizjologiczną. Dawno zapomnieliśmy, że dręczy nas głód, a jedyną obsesją stało się pragnienie, zwłaszcza gdy na splekanym języku tworzyła się nowa rana. Powietrza było coraz mniej w wagonie, a także w naszych gardłach, coraz trudniej było nam przełykać. Przywykliśmy jednak do fizycznych cierpień, które trwały już od wielu dni. Przywykliśmy do braku wszystkiego, także snu. A ci, którzy na krótkie chwile mogli się wyzwolić z tego piekła, uciekali w szaleństwo. Wstawali, zaczynali jęczeć albo wyć, niektórzy głośno płakali, a potem padali bez przytomności na ziemię.

Natomiast ci, którzy jako tako jeszcze się trzymali, starali się wspierać kolegów.

W sąsiednim wagonie Walter przekonywał chcących go słuchać, że hitlerowcom nigdy nie uda się wywieźć nas do Niemiec, bo wcześniej uwolnią nas Amerykanie. U nas to Jacques przechodził samego siebie, bez końca opowiadając rozmaite historie, żeby czas płynął nam szybciej. Gdy zupełnie zasychało mu w ustach i nie mógł już mówić, w ciszy natychmiast ożywało przerażenie.

Kiedy moi koledzy konali w ciszy, ja odżyłem, odzyskawszy wzrok. W głębi ducha miałem z tego powodu wyrzuty sumienia.

12 lipca

Było wpół do trzeciej nad ranem, gdy nagle otworzyły się drzwi. Na dworcu w Bordeaux roіło się od żołnierzy, na miejsce przybyło gestapo. Uzbrojeni po zęby Niemcy wrzeszczeli, rozkazując nam zabierać resztki swoich rzeczy. Uderzając kolbami i kopiać, wyrzucili nas z wagonów i ustawili na peronie. Niektórzy więźniowie byli przerażeni tą sytuacją, inni korzystali z okazji, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ustawieni po pięciu w szeregu, szliśmy przez ciemne i ciche miasto. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy.

Nasze kroki dudniły na opustoszałej ulicy, którą ciągnęła długa kolumna. Z szeregu do szeregu przekazywano sobie informacje. Niektórzy mówili, że pędzą nas do fortu Ha, inni byli przekonani, że idziemy do więzienia. Jednak ci, którzy znali niemiecki, dowiedzieli się z rozmów eskortujących nas żołnierzy, że w mieście nie ma ani jednej wolnej celi.

— **Więc dokąd nas prowadzą?** — szepnął więzień.

— *Schnell, schnell!* — krzyknął feldgendarm, waląc go pięścią w plecy.

Nocny marsz przez oniemiałe miasto zakończył się na ulicy Laribat, przed monumentalnym portalem świątyni. Po raz pierwszy ja i mój młodszy brat weszliśmy do synagogi.

35

Wewnątrz nie pozostały już żadne sprzęty. Posadzka była przykryta słomą, a ustawione szeregiem wiadra dowodziły, że Niemcy pomyśleli o naszych potrzebach. Trzy nawy mogły pomieścić sześciuset pięćdziesięciu więźniów z transportu. O dziwo, wszyscy, którzy trafili do więzienia Saint-Michel, zebrali się teraz przy ołtarzu. Kobiety, których nie zauważyliśmy w pociągu, umieszczono w sąsiedniej części świątyni, za kratą.

Tak oto kilka par odnalazło się i stało przy oddzielającej obie części kracie. Niektórzy nie widzieli się od bardzo dawna. Wielu płakało, czując znowu dotyk rąk ukochanego albo ukochanej. Większość milczała, bo kiedy się kocha, spojrzenie potrafi wyrazić wszystko. Inni szeptali bezdźwięcznym głosem, co jednak powiedzieć o sobie po tych wszystkich dniach, by nie zadać bólu drogiej istocie?

Kiedy nadszedł ranek, trzeba było podłości i brutalności naszych strażników, żeby rozdzielić kochające się pary, czasami bijąc kolbą. Bo o świcie zabrano kobiety do miejskich koszar.

Mijały dni, jeden podobny do drugiego. Wieczorem dostawaliśmy miskę ciepłej wody z liściem kapusty, a czasem z kilkoma kluskami. Dla nas była to jednak istna ucztą. Od czasu do czasu żołnierze przychodzili po któregoś z nas — żaden nigdy nie wrócił, a krążyły pogłoski, że Niemcy wykorzystują tych ludzi jako zakładników. Po każdej akcji Resistance w mieście przeprowadzano egzekucję.

Niektórzy myśleli o ucieczce. Więźniów z Vernet łączyła z tymi z Saint-Michel solidarność i sympatia. Tych z Vernet zaskoczyła średnia wieku naszej grupy. Nie mogli uwierzyć własnym oczom, widząc dzieciaki, które prowadziły walkę.

*

14 lipca

Postanowiliśmy należycie uczcić ten dzień. Każdy z nas szukał czegoś, z czego mógłby zrobić kokardę. Przypięliśmy te ozdoby do koszul. Śpiewaliśmy *Marsylianka*. Nasi strażnicy udawali, że tego nie dostrzegają, bo kara musiałaby być brutalna.

*

20 lipca

Dziś trzech ludzi z ruchu oporu, których tu poznaliśmy, podjęło próbę ucieczki. Dali się złapać strażnikom, kiedy odsuwali słomę za organami, gdzie znajduje się krata. Quesnel i Damien, który skończył tego dnia dwadzieścia lat, zdołali w porę uciec.

Roquemaurel został skopany, ale kiedy go przesłuchiwali, miał jeszcze dość odwagi, żeby twierdzić z uporem, że szukał

niedopałka papierosa, który tam zauważył. Niemcy mu uwierzyli i uniknął rozstrzelania. Roquemaurel był jednym z założycieli partyzantki w Bir-Hakeim, działał na terenie Langwedocji i w Sewennach. Damien był jego najbliższym przyjacielem. Obaj tuż po aresztowaniu zostali skazani na śmierć.

Ledwie Roquemaurel wylizał się z ran, a już razem z przyjaciółmi planował nową ucieczkę w jeden z najbliższych dni, wierząc, że nadarzy się jeszcze okazja.

Warunki higieniczne nie były tu lepsze niż w pociągu, szerzył się świerzb, wszystko trzęsło się od pasożytów. Wymyśliliśmy w końcu pewną grę. Rano każdy wyłapywał na sobie wszy i pluskwy. Zamykaliśmy insekty w małych pudełeczkach, a kiedy przechodził obok nas któryś z żandarmów, otwieraliśmy je i wysypywaliśmy na niego te zjadliwe bestie.

Nawet wtedy się nie poddaliśmy i choć nasza zabawa może się wydawać trywialna, dla nas stała się formą oporu, sięgnięciem po jedyną broń, jaka nam pozostała i raniła dzień za dniem.

Ci, którzy sądzili, że tylko oni coś robią, spotykali tu innych, którzy również nigdy nie pogodzili się z rolą, do jakiej chciano nas sprowadzić, ani z poniewieraniem ludzkiej godności. W synagodze zgromadzono wielki ładunek odwagi, czasem brawury zrodzonej z osamotnienia, tak potężnej, że wieczorem nadzieja przepędzała najczarniejsze trapiące nas myśli.

*

Początkowo kontakt ze światem zewnętrznym był absolutnie niemożliwy, ale gniliśmy tu już dwa tygodnie i nasze życie zaczynało się organizować. Za każdym razem, kiedy dyżurni wychodzili na dziedziniec po jedzenie, starsze małżeństwo wyspiewywało na całe gardło wiadomości z frontu. Staruszka

z mieszkania z oknem wychodzącym na synagogę co wieczór pisała wielkimi literami na tabliczce, dokąd dotarły alianckie wojska, i ustawiała tę tabliczkę na parapecie.

Wspomniałem już, że Roquemaurel postanowił sobie jeszcze raz spróbować ucieczki. Gdy Niemcy pozwolili kilku więźniom wejść na piętro po przybory toaletowe (na galerii ułożono bagaże deportowanych), wymknął się z trzema kolegami. Takiej okazji nie można było zmarnować. W końcu korytarza za główną salą synagogi znajdowało się małe pomieszczenie gospodarcze. Plan był ryzykowny, ale realny. Ta komórka przylegała do witraża zdobiącego fasadę. Wystarczyło zaczekać, aż zapadnie noc, a potem wybić szybę i pod osłoną ciemności uciec po dachach. Roquemaurel i jego przyjaciele tam się ukryli. Upłynęły dwie godziny, nadzieje rosły. Ale nagle usłyszeli stukot wojskowych butów. Niemcy przeliczyli więźniów, rachunki się nie zgadzały. Szukali ich. Kroki były coraz bliższe, w końcu w schowku zabłysło światło. Mina żołnierza, który ich odnalazł, zapowiadała, jaki czeka ich los. Uderzenia były tak potężne, że Roquemaurel upadł i nieprzytomny leżał w kałuży własnej krwi. Kiedy odzyskał świadomość, zaciągnięto go przed oblicze pełniącego służbę porucznika. Christian, bo tak miał na imię niedoszły zbieg, nie robił sobie zbędnych złudzeń.

Mimo to nie był mu pisany los, na który się szykował.

Przesłuchujący go oficer wyglądał na trzydziestolatka. Siedział okrakiem na ławce przed synagogą i w milczeniu przypatrywał się Roquemaurelowi. Głęboko westchnął i jeszcze przez chwilę milczał, jakby chciał przeniknąć myśli więźnia.

— Ja także trafiłem kiedyś do niewoli — powiedział nienaganą francuszczyzną. — To było podczas kampanii wschodniej. I także uciekłem. W nieludzkich warunkach przemierzyłem

dziesiątki kilometrów. Nikomu nie życzą cierpień, jakich doznałem, i nie należę do osób, które lubują się w torturach.

Christian bez słowa słuchał młodego porucznika. I nagle ogarnęła go nadzieja, że zdoła ocalić życie.

— Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli — podjął oficer — jestem pewien, że nie będziesz miał okazji zdradzić sekretu, który ci wyjawię. Uważam za normalne, że żołnierz podejmuje próbę ucieczki. To niemal jego prawo. Ale zapewne zgodzisz się ze mną, że ten, który dał się złapać, ponosi słuszną w oczach jego wroga karę. A tak się składa, że jestem twoim wrogiem!

Christian wysłuchiwał wyroku. Przez cały dzień miał stać nieruchomo, na baczność, twarzą do muru, nie mając prawa oprzeć się o ścianę czy jakkolwiek podpierać. Będzie tak stał, trzymając ręce wzdłuż ciała, w prażącym słońcu, które już wkrótce rozgrzeje asfalt na dziedzińcu.

Każde poruszenie będzie karane biciem, każde omdlenie spowoduje dodatkowe sankcje.

Mówi się, że człowieczeństwo niektórych ludzi rodzi się z żywego wspomnienia doznanych cierpień, a ich podobieństwa niespodziewanie tworzą więź między tymi ludźmi a ich wrogami. I z tych dwóch powodów Christian nie stanął przed plutonem egzekucyjnym. Trzeba jednak przyznać, że owo człowieczeństwo ma pewne granice.

Czterej więźniowie, którzy próbowali uciec, stanęli więc pod murem, oddaleni od siebie o kilka metrów. Przez całe przedpołudnie słońce wędrowało po niebie, aż sięgnęło zenitu. Upał był nieznośny, drętwiały im nogi, ręce ciążyły tak, jakby były z ołowiu, sztywniały karki.

Co myślał przechadzający się za ich plecami strażnik?

Wczesnym popołudniem Christian zachwiał się, natychmiast

dostał pięścią po karku i zatoczył się na mur. Z rozbitym szczęką upadł na ziemię, ale zaraz się podniósł, bojąc się dodatkowej kary.

Czego pozbawiona była dusza żołnierza, który tak bacznie obserwował więźniów i delektował się cierpieniem, jakie zadał jednemu z nich?

Potem przyszło stężenie, mięśnie się skurczyły, nie mogąc się rozprężyć ani na chwilę. To potworny ból. Całe ciało ogarniają skurcze.

Jaki smak może mieć woda, która spływa do gardła porucznika, gdy na jego oczach słabną ofiary?

To pytanie do dziś dręczy mnie po nocach, gdy w pamięci ozywają ich obrzmiałe twarze i spalone słońcem ciała.

Po zmierzchu oprawcy przywlekli ich do synagogi. Witaliśmy naszych kolegów brawami, jakie otrzymują zwycięzcy wyścigów, wątpię jednak, żeby zauważyli naszą owacją, gdyż natychmiast osunęli się na słomę.

*

24 lipca

Działania prowadzone przez Resistance w mieście i na jego obrzeżach wprawiały Niemców w coraz większą nerwowość. Teraz ich zachowanie coraz częściej graniczyło z histerią, bili nas bez powodu, wystarczyło jedno niezręczne słowo albo fakt, że ktoś znalazł się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwej porze, by narazić się na ich gniew. W południe zebrali nas wszystkich. Wartownik strzegący ulicy twierdził, że usłyszał w synagodze zgrzyt pilnika. Jeżeli ten, który ukrywa narzędzie mające posłużyć do ucieczki, nie wystąpi w ciągu najbliższych dziesięciu minut, rozstrzelanych zostanie dziesięciu więźniów. Obok oficera stał żołnierz, który celował do nas z karabinu

maszynowego. Sekundy mijały, a człowiek trzymający broń gotową wypluć z siebie całą jego zwierzęcą nienawiść, rozkoszował się swą siłą. Zabawiał się, odbezpieczając i zabezpieczając karabin. Czas mijał, nikt się nie odzywał. Żołnierze okładali nas kolbami, wrzeszczeli, zastraszaali. Upłynęło dziesięć minut. Komendant chwycił jednego z więźniów, przyłożył mu lufę rewolweru do skroni, odciągnął kurek i rzucił ultimatum.

Wtedy jeden z deportowanych wystąpił z szeregu, unosząc drżącą rękę. W otwartej dłoni trzymał pilniczek, taki, jakich używa się do paznokci. Tym narzędziem nie zdołałby nawet zarysować grubych murów synagogi. Takim pilnikiem trudno zaostrzyć drewnianą łyżkę, żeby kroić nią chleb, kiedy się go dostanie. To stara jak świat więzienna sztuczka, tak stara jak więzienia, w których zamyka się ludzi.

Wszystkich ogarnął strach. Sądzieli, że komendant uzna to za kpiny. Jednak „winowajcę” postawiono pod ścianą i strzał roztrzaskał mu czaszkę.

Spędziliśmy tę noc, stojąc w świetle reflektorów i patrząc w wycelowaną w nas broń i tego śmiecia, który, żeby nie zasnąć, wciąż bawił się zamkiem karabinu.

7 sierpnia

Upłynęło już dwadzieścia osiem dni, odkąd zamknięto nas w synagodze. Claude, Charles, Jacques, Francois, Marc i ja zajęliśmy miejsca w pobliżu ołtarza.

Jacques znowu zaczął opowiadać nam swoje historie dla zabicia czasu i odpędzenia strachu.

— Czy to prawda, że ty i twój brat nigdy jeszcze nie byliście w synagodze? — zapytał Marc.

Claude spuścił głowę, jakby poczuł się winny. Postanowiłem go wyręczyć i odpowiedzieć na to pytanie.

— Tak, to prawda, zdarzyło nam się to po raz pierwszy.

— To nietypowe dla kogoś o takim typowo żydowskim nazwisku jak wasze. Nie myśl, że to z mojej strony zarzut — dodał natychmiast Marc. — Po prostu sądziłem...

— Pomyliłeś się, nasza rodzina nie była religijna. Nie wszyscy Dupontowie i Durandowie chodzą w niedzielę do kościoła.

— Nie obchodziliście nawet ważniejszych świąt? — zapytał Charles.

— Jeżeli cię to interesuje, to w piątki ojciec obchodził szabat.

— Tak, a co robił? — zapytał zaciekawiony Francois.

— Właściwie nic więcej niż w inne wieczory, poza tym, że odmawiał po hebrajsku modlitwę, a potem dzieliliśmy wszyscy kieliszek wina.

— Jeden? — zdziwił się Francois.

— Tak, jeden.

Claude się uśmiechnął, zauważyłem, że moje opowiadanie trochę go rozbawiło. Trącił mnie łokciem.

— No, dalej, opowiedz im historię, tę o zasadach.

— Jaka historię? — zapytał Jacques.

— To głupstwo!

Spragnieni opowieści koledzy, których od niemal miesiąca gnębiła nuda, zaczęli nalegać.

— Po prostu w każdy piątek, zanim usiedliśmy do stołu, tata odmawiał po hebrajsku modlitwę. Tylko on ją rozumiał, bo w naszej rodzinie nikt inny nie znał tego języka. Przez długie lata w ten sposób czciliśmy szabat. Któregoś dnia nasza starsza siostra oznajmiła, że poznała mężczyznę, którego chciałaby poślubić. Rodzice przyjęli tę nowinę z zadowoleniem. Zależało im, żeby siostra zaprosiła tego chłopca na kolację, pragnęli go poznać. Alice zaproponowała, żeby przyłączył się do nas w najbliższy piątek, by wspólnie świętować szabat.

Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu pomysł nie przypadł do gustu tacie. Twierdził, że ten wieczór spędza się w gronie rodzinnym i że każdy inny dzień będzie lepszy.

Mama na próżno tłumaczyła mu, że skoro nasz gość zdołał podbić serce jego córki, to w pewnym sensie już niemal stał się członkiem rodziny. Ojciec uporczywie sprzeciwiał się tym odwiedzinom. Uważał, że taka wizyta może odbyć się w poniedziałek, wtorek, środę czy czwartek. Wszyscy stanęliśmy po stronie mamy, nalegając, żeby zaprosić chłopaka w szabatowy wieczór, kiedy posiłek był bardziej wyszukany, a obrus ładniejszy. Ojciec wznosił ręce do nieba i jęcząc, zapytał, dlaczego własna rodzina zawsze jednoczy się przeciwko niemu. Lubił robić z siebie ofiarę.

Dodał, że wydaje mu się to dziwne, skoro on bez wahania, bez żadnych pytań (co świadczy o jego wielkiej otwartości i tolerancji) godzi się wpuścić nieznanego, który w dodatku chce odebrać mu córkę, pod swój dach dowolnego dnia tygodnia, poza tym jednym wieczorem, który mu nie odpowiada.

Mama, osoba z natury uparta, postanowiła się dowiedzieć, dlaczego wizyta w piątkowy wieczór stanowi dla jej męża tak poważny problem.

— Po prostu! — odparł, godząc się z porażką.

Mój ojciec nigdy nie umiał odmawiać żonie. Kochał ją ponad wszystko, myślę, że bardziej niż własne dzieci, i nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek nie spełnił jej życzenia. Krótko mówiąc, tydzień mijał, a ojciec milczał jak zakłęty. A im więcej dni upływało, tym silniejsze stawało się jego podenerwowanie.

W przededniu tak wyczekiwanej przez nas kolacji tata zaciągnął moją siostrę w spokojny kąt i zapytał szeptem, czy jej narzeczony jest Żydem. Kiedy Alice odpowiedziała: „Tak, oczywiście”, ojciec znowu wznosił ręce ku niebu i jęknął: „Byłem pewien!”.

Domyślacie się, że te słowa wprawiły moją siostrę w osłupienie. Zapytała ojca, dlaczego ta wiadomość tak go zdenerwowała.

— Ależ skąd, kochanie — odparł tata z fałszywym uśmiechem. — Co ci znowu przyszło do głowy?

Nasza siostra, która charakter odziedziczyła po matce, chwyciła go za ramię, kiedy próbował wymknąć się do salonu, i stanęła mu na drodze.

— Wybacz, tato, ale twoja reakcja bardzo mnie dziwi! Mógłbyś tak się zachować, gdybym ci powiedziała, że mój narzeczony nie jest Żydem, ale w tej sytuacji?!

Tata powiedział Alice, że to, co jej się wydaje, graniczy z groteską, przysięgał, że nie obchodzi go pochodzenie, wyznanie ani kolor skóry mężczyzny, którego wybiera jego córka, pod warunkiem że człowiek ten okaże się dżentelmenem i uczyni ją tak szczęśliwą, jak on uczynił jej matkę, którą kocha nade wszystko. Nie zdołał przekonać Alice, ale wymknął się jej i natychmiast zmienił temat rozmowy.

W końcu nadszedł piątkowy wieczór. Jeszcze nigdy nie widzieliśmy ojca tak zdenerwowanego. Mama wciąż mu docinała, przypominała wszystkie sytuacje, kiedy jęczał z powodu najłżejszych dolegliwości, bólu reumatycznego i powtarzał, że umrze, zanim wyda za żonę córkę. Tymczasem cieszył się doskonałym zdrowiem, a Alice była zakochana, miał więc wszystko, czego trzeba, żeby się cieszyć, i żadnych powodów do obaw. Tata przysięgał, że nie rozumie, o czym mówi jego żona.

Alice i Georges, bo tak miał na imię narzeczony siostry, zadzwonili do drzwi punktualnie o siódmej. Ojciec aż podskoczył, a mama tylko westchnęła i poszła ich powitać.

Georges był przystojnym chłopakiem, eleganckim i bardzo swobodnym. Można by wziąć go za Anglika. Oboje prezentowali się razem tak pięknie, jakby zostali stworzeni dla siebie.

Rodzina już od pierwszych chwil znajomości zaakceptowała go. Przy aperitifie nawet ojciec trochę się odprężył.

Mama zaprosiła do stołu i wszyscy potulnie czekali, aż ojciec odmówi szabatową modlitwę. Nasze oczy zwróciły się ku niemu, a on głęboko odetchnął, wyprężył tors i zaraz potem... jakby się skulił. Po chwili znowu nabrał tchu i... znowu oklapł. Po trzeciej próbie spojrzął na Georges'a i oświadczył:

— Dlaczego właściwie nie poprosić naszego gościa, by odmówił dziś tę modlitwę? Widzę przecież, że wszyscy już go polubili, a ojciec powinien umieć ustąpić pierwszeństwa swym dzieciom, kiedy przychodzi na to czas.

— Co ty opowiadasz? — zapytała mama. — Na co przyszedł czas? I kto cię prosi, żebyś ustępował pierwszeństwa? Przecież od dwudziestu lat w każdy piątek wypełniasz swój obowiązek, odmawiając modlitwę, której słowa ty jeden rozumiesz, bo żadne z nas nie zna hebrajskiego. Chyba mi nie powiesz, że nagle obleciał cię strach, bo jest z nami przyjaciel twojej córki?

— Nie obleciał mnie strach — uspokajał ją ojciec, otrzepując klapy marynarki.

Georges nie odezwał się ani słowem, wszyscy jednak zauważyliśmy, że lekko pobladł, gdy tata zaproponował, by wyręczył go i odmówił modlitwę. Kiedy mama pospieszyła mu z pomocą, z jego twarzy można było wyczytać ulgę.

— No dobrze — podjął tata. — Może w takim razie Georges zechce przynajmniej przyłączyć się do mnie?

I tata zaczął odmawiać modlitwę, a młody mężczyzna wstał i powtarzał ją za nim słowo w słowo.

Po modlitwie obaj usiedli, kolacja przebiegała w serdecznej atmosferze i wszyscy szczerze się śmialiśmy.

Kiedy kończyliśmy, mama poprosiła Georges'a, by poszedł z nią do kuchni, co da im okazję nieco bliżej się poznać.

Alice zachęciła go do tego porozumiewawczym uśmiechem. Wszystko było w idealnym porządku. Georges zebrał ze stołu

talerze i poszedł za mamą. Już w kuchni zabrała od niego naczynia i poprosiła, żeby usiadł.

— Powiedz mi, Georges, czy naprawdę jesteś Żydem?

Georges poczerwieniał i odkaszlnął.

— Chyba tak, w pewnym sensie, ze strony ojca... albo jednego z jego braci; mama była protestantką.

— Mówisz o niej w czasie przeszłym?

— Zmarła w zeszłym roku.

— Bardzo mi przykro — szepnęła mama.

— A czy to stanowi problem, że ja...?

— Że nie jesteś Żydem? Skądże znowu — zaśmiała się mama. — Ani mąż, ani ja nie przywiązujemy wagi do pochodzenia czy wyznania. Wręcz przeciwnie, zawsze uważaliśmy, że różnice są pasjonujące i mogą stać się źródłem wielkiej radości. Kiedy dwoje ludzi pragnie być razem, najważniejsze wydaje mi się, żeby mieli przekonanie, że nie będą się ze sobą nudzić. Nuda to najgorsze, co może spotkać małżeństwo, to ona zabija miłość. Dopóki potrafisz rozśmieszyć Alice, dopóki będzie pragnęła cię zobaczyć, choć dopiero przed chwilą wyszedłeś do pracy, dopóki to ona będzie twoją powiernicą, a ty człowiekiem, któremu ona lubi się zwierzać, dopóki to z nią będziesz się dzielił marzeniami, nawet tymi, których nie zdołasz nigdy spełnić, to jestem pewna, że bez względu na pochodzenie waszemu związkowi obcy nie będzie jedynie świat podłości i zazdrości.

Mama wzięła Georges'a w ramiona, by powitać go w rodzinie.

— No, idź już do Alice — powiedziała wzruszona niemal do łez. — Może być niezadowolona, że matka wzięła jej narzeczonego na przesłuchanie. A gdyby się dowiedziała, że nazwałam cię narzeczoną, zabiłaby mnie.

Idąc w kierunku jadalni, Georges odwrócił się i zapytał mamę, jak odgadła, że nie jest Żydem.

— Och! — roześmiała się. — Już od dwudziestu lat mój mąż co piątek odmawia modlitwę w języku, który sam wymyślił. Nigdy nie potrafił powiedzieć ani słowa po hebrajsku! Ale jest bardzo przywiązany do tej chwili, gdy co tydzień przemawia przy stole. To taka nasza tradycja, którą kontynuuje mimo niewiedzy. Chociaż jego słowa nic nie znaczą, wiem, że to modlitwa miłości, którą układa dla nas. Domyślasz się więc, że kiedy przed chwilą usłyszałam, jak powtarzasz niemal dokładnie ten jego bełkot, nietrudno było mi odgadnąć... Tylko proszę, niech to zostanie między nami. Mój mąż jest przekonany, że nikt nie podejrzewa go o ten drobny układ z Bogiem, aleja kocham go od tylu lat, że jego Bóg i ja nie mamy już przed sobą żadnych tajemnic.

Ledwie Georges wrócił do jadalni, nasz ojciec odciągnął go na bok.

— Dziękuję za to, co zrobiłeś — mruknął tata.

— Ale za co? — zapytał Georges.

— Za to, że mnie nie wydałeś. To bardzo szlachetne z twojej strony. Domyślałam się, że ci się to nie spodobało. Mnie również trwanie w tym kłamstwie nie sprawia przyjemności. Po prostu od dwudziestu lat... więc jak im to teraz powiedzieć? Tak, nie znam hebrajskiego, to prawda. Lecz świętowanie szabatu uważam za wyraz troski o tradycję, a tradycja jest przecież ważna, rozumiesz?

— Proszę pana, ja nie jestem Żydem — odparł Georges. — Przed chwilą starałem się tylko powtarzać za panem słowa, których nie znałem. Nie miałem pojęcia, co znaczą, i chciałem, podziękować, że pan mnie nie wydał.

— Ach! — westchnął tata, opuszczając ręce.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez długą chwilę, a potem ojciec położył rękę na ramieniu Georges'a i powiedział:

— Dobrze, posłuchaj uważnie. Proponuję, żeby to zostało naszą wspólną tajemnicą. Ja odmawiam w szabat modlitwę, a ty jesteś Żydem!

— Zgadzam się — odpowiedział Georges.

— Doskonale — odparł tata, wracając do salonu. — W takim razie wpadnij do mnie w przyszły czwartek do pracowni, żebyśmy mogli spokojnie powtórzyć sobie słowa, które wygłosimy w piątek, bo odtąd będziemy razem odmawiali modlitwę.

Kolacja dobiegała końca, Alice odprowadziła Georges'a na ulicę, a gdy znaleźli się w ciemnej bramie, wzięła narzeczonego w ramiona.

— Doskonale ci poszło, no i gratuluję, poradziłeś sobie po mistrzowsku, nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale tata nawet nie podejrzewa, że nie jesteś Żydem.

— Tak, chyba rzeczywiście dobrze sobie poradziliśmy — uśmiechnął się Georges.

To, co mówiliśmy, jest prawdą, Claude i ja nie mieliśmy okazji wejść do synagogi, dopóki nas tu nie zamknięto.

*

Tego wieczoru żołnierze, wrzeszcząc, kazali nam pakować naczynia i walizki, jeśli ktoś je miał, a potem złożyć wszystko w korytarzu synagogi. Tych, którzy się ociągali, do porządku przywoływały kopniaki i uderzenia pięściami. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas zabiorą, ale jedno nas uspokajało — kiedy zabierano więźniów, żeby ich rozstrzelać, odchodzący pozostawiali rzeczy osobiste.

Wczesnym wieczorem kobiety sprowadzone z fortu Ha znowu znalazły się w sąsiedniej sali, którą zamknięto. O drugiej nad ranem otworzyły się bramy synagogi i ruszyliśmy w kolumnie przez wyludnione, ciche miasto tą samą drogą, którą pokonaliśmy przed kilkoma tygodniami.

Znowu wepchnięto nas do pociągu. Dołączyli do nas więźniowie z fortu Ha i wszyscy członkowie ruchu oporu, których schwytano w ostatnich dniach.

Teraz na początku składu znalazły się dwa wagony kobiece. Ruszyliśmy w kierunku Tuluzy, więc niektórzy sądzili, że wracamy do domu. Lecz Schuster obmyślił inny plan. Poprzysiągł sobie, że celem naszej podróży będzie Dachau i że nic go nie zatrzyma — ani wojska alianckie, które napierały z północy, ani bombardowania, które niszczyły miasta na naszej trasie, ani wysiłki Resistance, by powstrzymać naszą deportację.

W okolicy Montauban Walterowi udało się wreszcie uciec. Zauważył, że jedna z muterek, które łączyły kraty z drewnianym obramowaniem okna, została zastąpiona sworzniem. Zużywając resztki śliny w ustach i całą siłę palców, cierpliwie starał się go poruszyć, a kiedy brakowało mu już śliny, wykorzystywał krew z ran tworzących się na palcach, licząc, że jej wilgotność wystarczy, by wypchnąć sworznień. Po wielu godzinach męki kawałek metalu zaczął się poruszać. Walter nie przestawał wierzyć, że szczęście mu sprzyja, nie chciał wyzrekać się nadziei.

Gdy osiągnął cel, jego palce były tak opuchnięte, że nie mógł nawet nimi poruszyć. Teraz pozostało już tylko wypchnąć pręt, żeby otwarta przestrzeń była wystarczająco szeroka, by się przez nią przecisnąć. Skulił się w cieniu wagonu, a trzech koledzy — Lino, Pipo i Jean, czyli młodzi rekruci z trzydziestej piątej brygady — bacznie go obserwowali. Jeden się rozplakał, nie mógł już wytrzymać, bał się, że popadnie w obłęd. Trzeba przyznać, że nigdy dotąd upał nie był aż tak dotkliwy. Dusiliśmy się, cały wagon zdawał się dyszeć w rytm charczenia więźniów, którzy nie mogli już oddychać. Jean błagał Waltera, żeby pomógł mu w ucieczce, Walter się wahał, ale jakże mógł

odmówić, jak nie pomóc chłopakom, którzy byli dla niego jak bracia. Dlatego objął ich umęczonymi rękami i szeptem wyjaśnił, czego już dokonał. Trzeba czekać do nocy, żeby wyskoczyć, on pójdzie pierwszy, oni za nim. Półgłosem powtarzali plan. Chwycić się obramowania okienka, wysunąć na zewnątrz całe ciało, a potem skoczyć i biec, jak szybko się da. Jeżeli Niemcy zaczną strzelać, każdy myśli o sobie, i kiedy czerwone światło pociągu zniknie, pójdą wzdłuż torów, żeby się odszukać.

Dzień dogasał, niecierpliwie wyczekiwana chwila była coraz bliżej, ale najwyraźniej pisany im był inny los. Pociąg zwolnił na dworcu Montauban. Ze zgrzytu kół odgadliśmy, że zjeżdżamy na bocznice. Gdy Niemcy z karabinami maszynowymi zajęli pozycje na peronie, Walter pomyślał, że wszystko przepadło. Pograżeni w rozpacz jego trzech przyjaciele skulili się w kątach wagonu, szukając ucieczki w samotności.

Walter chciał zapaść w sen, odzyskać choć trochę sił, ale w opuszkach palców pulsowała mu krew, a ból był o wiele za silny. W wagonie rozległy się rozpaczliwe jęki.

Była druga nad ranem, kiedy pociąg ruszył. Serce Waltera biło teraz nie w zbolałych palcach, ale w piersi. Obudził kolegów i razem czekali na sprzyjający moment. Noc była za widna, księżyc niemal w pełni, więc świecił na niebie tak jasno, że mógłby ich zdradzić. Walter wyglądał przez okienko. Pociąg jechał ze sporą prędkością, w dali majaczył lasek o gęstym poszyciu.

*

Walter i jego dwaj koledzy wyskoczyli z pociągu. On sam wpadł do rowu i długo siedział tam skulony. A kiedy czerwone światło pociągu zniknęło w ciemnościach, wznosił ręce do nieba i krzyknął na całe gardło: „Mamo!”. Przeszedł wiele kilometrów. Gdy dotarł na skraj pola, natknął się na niemieckiego

żołnierza, który poszedł za potrzebą. Jego karabin leżał tuż obok. Chowając się w kukurydzy, Walter wyczekał na sprzyjającą chwilę i rzucił się na wroga. Jak zdołał zmobilizować resztki sił, jakim cudem wygrał w tej potyczce? Wbił bagnet w ciało żołnierza. A gdy przemierzał kolejne kilometry drogi, czuł się, jakby latał niczym motyl.

Pociąg nie zatrzymał się w Tuluzie. Nie wracaliśmy do domu. Przejechaliśmy przez Carcassonne, Beziers, Montpellier.

36

Mijały dni i coraz dotkliwiej odczuwaliśmy pragnienie. W wioskach, przez które jechaliśmy, ludzie robili, co w ich mocy, żeby nam pomóc. Bosca, jeden z wielu więźniów, rzucił przez okno liścik, który podniosła jakaś kobieta. Wiem, że dostarczyła go adresatce. Na skrawku papieru deportowany starał się uspokoić żonę. Informował ją, że jest w pociągu, który dziesiątego sierpnia przejeżdżał przez Agen. Pisał, że czuje się dobrze. A jednak pani Bosca nigdy już nie ujrzała męża.

Podczas postoju w okolicach Nimes dostaliśmy trochę wody, suchy chleb i nadpleśniałe konfitury. Jedzenie było niestrawne. W wagonach coraz więcej ludzi popadało w obłąd. Ślina spływała im z kącików ust. Wstawali, kręcili się wokół własnej osi, a potem, przeraźliwie wyjąc, padali w drgawkach, które poprzedzały śmierć. Zupełnie jak wściekłe psy. Podejrzewaliśmy, że naziści chcą nas wszystkich wykończyć. Ci, którzy jeszcze nie postradali rozumu, bali się nawet patrzeć na konających. Coraz częściej więźniowie zaciskali powieki, kulili się i zatykali uszy.

— Naprawdę myślisz, że obłąd może być zaraźliwy? — zapytał Claude.

— Nie mam pojęcia, ale zróbcie coś, żeby ich uciszyć — jęknął Francois.

W dali słychać było wybuchy bomb spadających na Nimes. Pociąg zatrzymał się w Remoulins.

*

75 sierpnia

Pociąg stał już od wielu dni. Wyniesiono zwłoki więźnia, który zmarł z głodu. Chorym pozwolono chodzić za potrzebą na torowisko. Zrywali źdźbła trawy i rozdzielali je po powrocie. Wygłodniali ludzie kłócili się o to pożywienie.

Amerykanie i Francuzi wylądowali w Saint-Maxime. Schuster szukał sposobu na prześlizgnięcie się między otaczającymi nas liniami alianckimi. Jak jednak pokonać dolinę Rodanu, a przedtem przeprowić się na drugi brzeg rzeki, skoro wszystkie mosty na niej zostały zbombardowane?

*

18 sierpnia

Być może niemiecki porucznik znalazł wreszcie rozwiązanie swojego problemu. Pociąg ruszył. Przy jednej ze zwrotnic kolejarz otworzył skobel wagonu. Trzem więźniom udało się wyskoczyć podczas przejazdu przez tunel. Inni zrobili to samo nieco później, na kilkukilometrowym odcinku dzielącym nas od Roquemaure. Schuster zatrzymał pociąg pomiędzy skalnymi ścianami, gdzie nie musiał obawiać się bombardowania. W osta-

tnich dniach wielokrotnie przelatwały nad nami angielskie i amerykańskie samoloty. Lecz w tym wąwozie nie mogła nas odnaleźć także Resistance. Nie mógł nas też minąć żaden pociąg, ruch kolejowy w całym kraju praktycznie zamarł. Wojna czyniła zniszczenia, wyzwolenie było coraz bliższe, niczym fala, która dzień za dniem rozlewa się na nowe obszary kraju. Ponieważ nie było można pokonać Rodanu pociągiem, Schuster postanowił, że przeprawimy się przez rzekę pieszo. Miał w końcu do dyspozycji siedmiuset pięćdziesięciu niewolników, którzy musieli przenieść rzeczy należące do rodzin gestapowców. Miał też żołnierzy, których przysięgł sobie odwieźć do kraju.

Osiemnastego sierpnia w ostrych promieniach słońca, które paliło naszą pociętą przez wszy i pluskwy skórę, maszerowaliśmy w szeregach. W wychudłych rękach dźwigaliśmy niemieckie walizki i całe skrzynki wina, które naziści ukradli w Bordeaux. Było to kolejne okrucieństwo wobec nas, bo konaliśmy z pragnienia. Ci, którzy upadli, tracąc przytomność, już nie wstawali. Dobijano ich strzałem w tył głowy, jak dobija się niezdolne do pracy konie. Ci, którzy byli silniejsi, pomagali innym utrzymać się na nogach. Gdy ktoś się chwiał, koledzy otaczali go, aby zasłonić upadek i jak najszybciej go podnieść, by strażnicy tego nie zauważyli. Wokół nas, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się winnice. Gałęzie ugiwały się od ciężkich kiści, które dojrzały wyjątkowo wcześniej w to upalne lato. Mieliśmy ochotę je zrywać i rozgryzać owoce, żeby pozbyć się bólu wyschniętych ust, ale tylko żołnierze, wrzaskiem nakazując nam zostać na drodze, napełniali nimi hełmy i zajadali na naszych oczach.

Przechodziliśmy jak zjawy o kilka metrów od dojrzałych kiści.

Wtedy przypomniały mi się słowa *Czerwonego Wzgórza*.

Pamiętasz to? „Kto z tych winogron wino pić będzie, poczuje krew towarzyszy”.

Przeszliśmy już dziesięć kilometrów. Ilu z nas pozostało przy drodze? Kiedy mijaliśmy wsie, ludzie z przerażeniem patrzyli na tę niesamowitą kolumnę. Niektórzy chcieli spieszyć nam z pomocą, biegli, niosąc wodę, ale hitlerowcy brutalnie ich odpychali. Kiedy otwierały się okiennice w którymś z domów, żołnierze strzelali w okna.

Jeden z więźniów przyspieszył kroku. Wiedział, że na czele kolumny idzie jego żona, która wysiadła z wagonu na początku składu. Jego stopy spływały krwią, gdy zdołał się z nią zrównać, bez słowa wyjął jej z ręki walizkę, którą dźwigała.

Szli razem, ramię w ramię, nareszcie złączeni, ale nie mogli sobie nawet powiedzieć, że się kochają. Ledwie odważyli się do siebie uśmiechnąć, bo nawet to mogli przypłacić życiem. Ale co pozostało im z tego życia?

W innej wiosce, na zakręcie, uchyliły się drzwi domu. Żołnierze, także wyczerpani lejącym się z nieba żarem, stali się mniej czujni. Więzień chwycił żonę za rękę i dał jej znak, żeby wślizgnęła się do tego domu. Chciał osłonić jej ucieczkę.

— Idź — szepnął drżącym głosem.

— Zostaję z tobą — odparła. — Nie po to przeszłam całą tę drogę, żeby cię teraz opuścić. Wrócimy razem albo wcale.

Oboje umarli w Dachau.

Przed wieczorem dotarliśmy do Sorgues. Tym razem setki mieszkańców patrzyły, jak przechodzimy przez miasteczko, zmierzając na dworzec. Niemcy byli zmęczeni, nie radzili sobie, a Schuster nie przewidział, że ludność tak licznie wylegnie z domów. Mieszkańcy błyskawicznie zorganizowali pomoc.

Żołnierze nie mogli ich powstrzymać, gdy przynosili nam na peron żywność i wino, które naziści im odbierali. Korzystając z zamieszania, mieszkańcy pomogli uciec kilku więźniom. Zarzucali im na ramiona kolejarские kurtki, wieśniacze koszule, wkładali w ręce kosz z owocami, tak by strażnicy wzięli ich za miejscowych, którzy przyszedli tu pomóc, a potem zabierali ich daleko od dworca, by w końcu ukryć we własnym domu.

Uprzedzona o transporcie Résistance planowała zbrojną akcję, żeby uwolnić więźniów, jednak obstawa była zbyt silna i doszłoby do rzezi. Zrozpaczeni bojownicy bezradnie patrzyli, jak znowu zaganiają nas do czekających już wagonów. Gdybyśmy wiedzieli, że zaledwie tydzień dzieli Sorgues od wyzwolenia przez amerykańskie wojska...

*

Skład ruszył pod osłoną nocy. Rozpętała się burza, która odświeżyła powietrze, spadł deszcz. Woda spływała przez szczeliny w dachu i mogliśmy ukoić pragnienie.

19 sierpnia

Pociąg sunął z dużą prędkością. Nagle zgrzytnęły hamulce, koła mocno tarły o tory, posypały się snopy iskier. Niemcy wyskakiwali z wagonów i biegli na pobocze. Grad kul sypanął się na pociąg, na niebie zaczął się balet amerykańskich samolotów. Ich pierwszy atak spowodował potworne zniszczenia. Wszyscy tłoczyli się przy oknach, machali gałganami, ale piloci byli za wysoko, żeby to zauważyć, i już słychać było narastający huk silników. Maszyny pikowały na nas.

Czas stanął w miejscu, przestałem nagle słyszeć. Wszystko toczyło się tak, jakby czas bez powodu spowalniał każde nasze drgnienie. Claude patrzył na mnie, patrzył także Charles. Na wprost widziałem Jacques'a, który się promiennie uśmiechał. Z jego ust buchała krew, a on wolno osuwał się na kolana. Francois podbiegł, żeby podtrzymać go, zanim upadnie. Chwycił go w ramiona. Jacques miał dużą dziurę w plecach. Chciał nam coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Oczy zasnuły się mgłą. Francois delikatnie podtrzymywał jego głowę, a jednak ta osunęła się na bok. Jacques nie żył.

Francois, który nigdy nie opuszczał najlepszego przyjaciela

przez te lata walki i więzienia, miał na twarzy jego krew, gdy krzyczał rozpaczliwie i przejmująco: „Nie!”. Zanim zdążyliśmy go powstrzymać, dopadł do okna i gołymi rękami zaczął zrywać drut kolczasty. Niemiecka kula świsnęła, odrywając mu ucho. Tym razem to jego własna krew zalewała mu twarz, ale on na to nie zważał — chwycił się ścianki i wysunął na zewnątrz. Gdy spadł, natychmiast się poderwał i podbiegł do drzwi, żeby je odblokować i wypuścić nas wszystkich.

Jeszcze teraz widzę jego sylwetkę odcinającą się na tle jasnego dnia. A za nim, na niebie, krążące samoloty, które znowu nadlatywały, i tu, bliżej, niemiecki żołnierz, który wycelował i strzelił. Ciało Francois runęło, połowa jego twarzy osuwała się po mojej koszuli. Francois konał w konwulsjach, dołączając do zmarłego Jacques'a.

Dziewiętnastego sierpnia w Pierrelatte zginęło wielu naszych. Wśród nich byli dwaj moi przyjaciele.

*

Z lokomotywy buchała para. Wydobywała się przez podziurawione ściany. Pociąg nie mógł odjechać. Było wielu rannych. Feldgendarm poszedł do wsi po lekarza, cóż jednak mógł zrobić ów człowiek, gdy ujrzał leżących przed nim więźniów z rozplatanymi brzuchami i ziejącymi ranami kończyn? Samoloty powróciły. Wykorzystując panikę żołnierzy, Titonel zwinął manatki. Hitlerowcy otworzyli do niego ogień, jedna z kul go trafiła, ale on wciąż gnał przez pola. Tam znalazł go wieśniak i zawiózł do szpitala w Montelimar.

Niebo znowu było ciche i spokojne. Przy drodze wiejski lekarz błagał Schustera, żeby zostawił pod jego opieką tych rannych, których można jeszcze uratować, ale porucznik nie

chciał o tym słyszeć. Wieczorem przeniesiono wszystkich do wagonów, bo do Montelimar przysłano nową lokomotywę.

*

Już od prawie tygodnia siły Wolnej Francji prowadziły ofensywę. Naziści przegrywali i zaczęli się wycofywać. Szlaki kolejowe i krajowa siódemka stały się teatrem zaciekłych walk. Wojska amerykańskie i dywizja pancerna generała Lattre'a de Tassigny, która dotarła do Prowansji, napierały na północ. Dolina Rodanu stała się dla Schustera ślepym zaułkiem. Lecz wojska francuskie wycofały się, by wesprzeć Amerykanów pod Grenoble i teraz były w Sisteron. Jeszcze dzień wcześniej nie mieliśmy szansy na przejazd przez dolinę, jednak pierścień francuskich wojsk chwilowo się rozluźnił. Porucznik wykorzystał ten moment — wiedział, że jeśli nie przejedziemy teraz, to już nam się to nie uda. W Montelimar pociąg zatrzymał się na dworcu, na torze, którym jechały składy zmierzające na południe.

Schuster chciał jak najszybciej pozbyć się trupów i pozostawić je Czerwonemu Krzyżowi.

Na miejscu pojawił się dowódca gestapo z Montelimar. Kiedy przełożona siostr Czerwonego Krzyża poprosiła, aby oddano jej także rannych, kategorycznie odmówił.

Kobieta odwróciła się na pięcie i odeszła. Krzycząc, zapytał, dokąd to się wybiera.

— Jeżeli nie pozwolicie mi zabrać rannych, sami radźcie sobie z trupami.

Richter i Schuster popatrzyli na siebie i po krótkiej wymianie zdań ustalili, że zostawią rannych i przysięgli, że wrócą po nich, gdy ci dojdą do siebie.

Stojąc przy oknach, patrzyliśmy, jak na noszach zabierają naszych kolegów — niektórzy jęczeli, inni nic już nie mówili.

Zwłoki leżały na ziemi w dworcowej poczekalni. Grupka kolejarzy spoglądała na nie ze smutkiem. Mężczyźni zdjęli czapki, składając zmarłym hołd. Czerwony Krzyż przewoził rannych do szpitala, a chcąc zapobiec ewentualnym pokusom ze strony Niemców, którzy wciąż jeszcze okupowali miasto i mogliby zechcieć dobić więźniów, przełożona Czerwonego Krzyża przekazała wiadomość, że ranni są zarażeni tyfusem, zakaźną chorobą, której bano się jak ognia.

Gdy wozy Czerwonego Krzyża ruszyły, zajęto się przeniesieniem zmarłych na cmentarz.

Zwłoki złożono w zbiorowej mogile i już wkrótce ziemia zakryła twarze Jacques'a, Francois i innych kolegów.

*

20 sierpnia

Jechaliśmy w kierunku Valence. Pociąg stanął w tunelu, by schronić się przed eskadrą myśliwców. Brak tlenu powodował, że wielu z nas mdlało. Kiedy skład wjechał na dworzec, jakaś kobieta wykorzystała chwilę nieuwagi feldgendarma i wystawiła w oknie domu tablicę z napisem: „Paryż otoczony, trzymajcie się”.

21 sierpnia

Mijaliśmy Lyon. Kilka godzin potem wojska francuskie podpaliły składy paliwa na lotnisku Bron. Niemiecki sztab opuścił miasto. Front był coraz bliżej nas, ale pociąg wciąż jechał. W Chalons znowu się zatrzymaliśmy. Dworzec legł w gruzach. Natknęliśmy się na podążające na wschód oddziały Luftwaffe. Niemiecki pułkownik o mało nie uratował życia

grapie więźniów, żądając od Schustera dwóch wagonów. Twierdził, że jego podkomendni i sprzęt są znacznie ważniejsi od ludzkich wraków w gałganach, które przewozi porucznik. O mało się nie pobili, ale Schuster był nieugięty. Chciał za wszelką cenę dowieźć tę bandę Żydów, mieszańców i terrorystów do Dachau. Nie uwolnił nikogo i pociąg ruszył.

Drzwi naszego wagonu otworzyły się. Trzej młodzi Niemcy żołnierze, których twarze były nam nieznane, podali nam sery. Potem drzwi szybko się zamknęły. Od trzydziestu sześciu godzin nie dostawaliśmy ani żywności, ani wody. Błyskawicznie podzielono sery między wszystkich.

W Beaune mieszkańcy i Czerwony Krzyż przyszedli nam z pomocą, dostarczając żywność. Niemcy przechwycili skrzynki burgundzkiego wina. Zaczęli pić, a kiedy pociąg ruszał, zabawiali się, ostrzeliwując ściany domów z karabinów maszynowych.

Po zaledwie trzydziestu kilometrach znaleźliśmy się w Dijon. Na dworcu panował straszliwy chaos. Żaden pociąg nie mógł jechać na północ. Bitwa o tory powodowała ogromne zniszczenia. Kolejarze chcieli zapobiec wypuszczeniu naszego składu. Wciąż trwały naloty. Ale Schuster się nie poddawał i mimo sprzeciwu francuskiej załogi lokomotywa wydała gwizd, a koła poszły w ruch i nasz makabryczny pociąg znowu był na trasie.

Nie dotarł daleko, bo tory były uszkodzone. Żołnierze kazali nam wysiąść i zapędzili do pracy. Z deportowanych uczynili galerników. W palącym słońcu, pod nadzorem żandarmów, którzy trzymali nas na muszce, układaliśmy zerwane przez Resistance szyny. Stojąc na lokomotywie, Schuster wrzeszczał, że dopóki nie naprawimy szkód, nie dostaniemy kropli wody.

*

Dijon został za nami. Gdy zapadł zmrok, mieliśmy już nadzieję, że przyszło wybawienie, bo partyzanci zaatakowali konwój. Starali się zachować ostrożność, żeby nie ranić żadnego z nas. Niemieccy żołnierze odpierali atak z platformy na początku składu. Partyzanci cofnęli się, ale wkrótce znowu doszło do walki, ponieważ partyzanci podążali za nami tą piekielną trasą, która nieubłaganie wiodła do granicy z Niemcami. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli ją przekroczymy, nikt z nas nie powróci. Próbując odmierzać pokonywane kilometry, wsłuchani w dudnienie kół, zastanawialiśmy się, jaka odległość dzieli nas jeszcze od Niemiec.

Od czasu do czasu żołnierze ostrzeliwują okolicę. Czyżby dostrzegali cienie, które budzą ich obawę?

23 sierpnia

Ta podróż nigdy dotąd nie była aż tak straszna. Od kilku dni z nieba lał się żar. Nie mieliśmy jedzenia ani wody. Jechaliśmy przez zgłiszcza. Już dwa miesiące minęły od dnia, gdy zabrano nas z więzienia Saint-Michel, dwa miesiące od początku podróży i na naszych bladych twarzach widać już tylko zapadnięte, przygaszone oczy, a nasze ciała zamieniły się w szkielety obciążone schorowaną skórą. Ci, którzy nie popadli w obłęd, zaniknęli się w sobie i milczeli. Mój brat był tak wynędzniały, że wyglądał jak starzec, a jednak, gdy tylko na niego spojrzałem, uśmiechał się do mnie.

25 sierpnia

Wczoraj doszło do ucieczki. Nitti i kilku jego kolegów zdołało oderwać deski i pod osłoną nocy wydostać się na tory.

Pociąg właśnie minął dworzec w Lecourt. Ciało jednego z nich odnaleziono przecięte na pół, drugi stracił nogę. Zginęło sześciu z nich, ale Nitti i kilku innych uciekło. Skupiliśmy się wokół Charles'a. Jeżeli nadal będziemy jechali z taką prędkością, to od przekroczenia granicy dzieli nas zaledwie godziny. Cóż z tego, że krążą nad nami samoloty? One nas nie wyzwolą!

— Teraz możemy liczyć wyłącznie na siebie — mruknął Charles.

— Próbuje? — zapytał Claude.

Charles popatrzył na mnie. Kiwnąłem głową. Co właściwie mieliśmy do stracenia?

Charles przedstawił nam swój plan. Gdyby udało się oderwać kilka desek z podłogi, wysunęlibyśmy się przez dziurę. Koledzy przytrzymywaliby tego, który będzie schodził, puszczając go na dany znak. Wtedy będzie musiał upaść, trzymając ręce przy ciele, aby nie obcięły ich koła. Nade wszystko nie wolno mu będzie unosić głowy, żeby nie obcięła jej pędząca oś. Każdy będzie musiał liczyć przesuwające się nad nim wagony, a było ich dwanaście, może trzynaście. Potem należało nieruchomo czekać, aż oddali się czerwone światło pociągu i dopiero wtedy wstać. Aby mimowolnie nie krzyknąć przy skoku, alarmując w ten sposób żołnierzy, każdy uciekinier musi wcisnąć sobie do ust jakiś gałgan. Gdy Charles powtarzał z nami plan ucieczki, jeden z mężczyzn wstał i zabrał się do roboty. Z całych sił szarpał gwóźdź. Palce ześlizgiwały się z metalu, ale on nieustannie próbował obracać główkę. Czas naglił, nie byliśmy nawet pewni, czy jeszcze jesteśmy we Francji.

Gwóźdź wyszedł. Mężczyzna podniósł go zakrwawionymi palcami i zaczął uderzać nim w twarde drewno. Szarpał deski, które ledwie drgały. Choć jego ręce były dotkliwie pokaleczone, on nie zważał na ból i wciąż pracował. Chcieliśmy mu pomóc, ale nas odepchnął. Robił w podłodze wagonu pociągu widma drzwi do wolności i zależało mu, by dokonać tego własnymi

rękami. Gotów był umrzeć, ale nie na darmo, więc jeśli mógł się przyczynić do ocalenia życia ludzi, którzy na to zasłużyli, czynił to chętnie, aby i jego życie na coś się przydało. Nie siedział za działalność w ruchu oporu, tylko za drobne przestępstwa, przypadkiem trafił do wagonu trzydziestej piątej brygady. Dlatego bardzo chciał nam pomóc, był nam to winien, powtarzał, rozbijając deski.

Jego dłonie zamieniły się w strzępy skóry, ale deska wreszcie się poruszyła. Pierwszy podbiegł Armand, zaraz potem wszyscy pomagaliśmy zrywać deskę po desce. Dziura była dość duża, żeby się przez nią wysunąć. W wagonie zapanował hałas — koła dudniły, podkłady przemykały przed naszymi oczyma. Charles ustalił kolejność ucieczki.

— Ty, Jeannot, skaczesz pierwszy, potem Claude, Marc, Samuel...

— Dlaczego zacząłeś od nas?

— Bo jesteście najmłodszi!

Wyczerpany Marc popatrzył na nas, prosząc oczami, abysmy nie oponowali. Claude milczał.

Musieliśmy się ubrać. Dotyk ubrań był dla pokrytej wrzodami i ranami skóry torturą. Armand, dziewiąty w kolejce do skoku, namawiał mężczyznę, który rozmontował podłogę, żeby uciekł z nami.

— Nie. Będę trzymał tego, który wyjdzie ostatni. Ktoś przecież musi to zrobić — odpowiedział.

— Nie możecie teraz skakać — ostrzegł nas inny więzień, siedzący pod ścianą. Wiem, jaka odległość dzieli słupy, liczyłem sekundy pomiędzy nimi. Pociąg jedzie z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Poskręcilibyście sobie karki. Musicie poczekać, aż zwolnimy do czterdziestu na godzinę, to maksimum.

Ten człowiek wiedział, co mówi, bo przed wojną układał tory kolejowe.

— A gdyby lokomotywa jechała na końcu, a nie na początku składu? — zapytał Charles.

— Wtedy wszyscy byście zginęli — odparł mężczyzna. — Istnieje także ryzyko, że Niemcy zamontowali poprzeczną belkę na końcu ostatniego wagonu.

— Po co mieliby to robić?

— Właśnie po to, żeby nikt nie mógł skoczyć na tory!

I nagle, kiedy rozważaliśmy wszystkie za i przeciw, pociąg zaczął wytracać prędkość.

— Teraz albo nigdy — postanowił mężczyzna, który niegdyś układał tory kolejowe.

— Idź! — ponaglał mnie Claude. — Przecież i tak wiesz, co nas czeka u celu tej podróży.

Razem z Charles'em trzymali mnie pod pachy. Wcisnąłem do ust kawałek materiału i zwiesiłem nogi, zerkając w czarną dziurę pod wagonem. Nie mogłem dotknąć stopami ziemi, dopóki przyjaciele nie dadzą mi znaku. Gdybym to zrobił, moje ciało obróciłoby się i w parę sekund zostałbym poćwiartowany. Bolał mnie brzuch, nie miałem mięśni, które pomogłyby mi utrzymać pozycję.

— Teraz! — krzyknął Claude.

Upadłem, uderzając plecami o ziemię. Nie ruszać się, wytrzymać w tym piekielnym huku. Po obu stronach, w niewielkiej odległości od mojego ciała, przesuwiają się koła, które piszczą, trąc o szyny. Osie niemal mnie dotykają, czuję podmuch powietrza i metaliczny zapach. Trzeba liczyć wagony, ale serce bije mi w piersi tak głośno. Jeszcze trzy, a może cztery? Czy Claude już skoczył? Chcę jeszcze raz przytulić go do siebie, powiedzieć, że jest moim bratem, że bez niego nie przeżyłbym, nie mógłbym walczyć.

Huk ucichł, usłyszałem, że pociąg się oddala i znika za zakrętem. Żyłem. Na niebie księżyc był w pełni.

— Twoja kolej — rzucił Charles.

Claude wcisnął do ust chusteczkę, wsunął nogi między deski. Ale koledzy zaraz go z powrotem wciągnęli. Pociąg zaczął się kołysać, czyżby miał się zatrzymać? Fałszywy alarm. Po prostu stan mostu, po którym jechał, nie pozwalał na utrzymanie dotychczasowej prędkości. Powtórzyli wszystkie manewry i tym razem twarz Claude'a zniknęła.

Armand odwrócił się na chwilę: Marc był za słaby, żeby skakać.

— Zbierz siły, najpierw pójda inni, my wyskoczmy potem.

Marc skinał głową. Samuel już wyskoczył, Armand jako ostatni wcisnął się w dziurę. Marc nie chciał uciekać. Mężczyzna, który rozbijał podłogę, wziął go za rękę.

— Nie masz przecież nic do stracenia.

I wtedy Marc zdecydowanym ruchem zsunął się do otworu. Pociąg gwałtownie zahamował. Feldgendarmi wyskoczyli na nasyp. Tkwiąc między dwiema belkami, widział, jak szli w jego stronę. Nie miał dość silnych nóg, żeby podjąć ucieczkę, i żołnierze wywlekli go spod pociągu. Zabrali go do wagonu, a po drodze tak skatowali, że stracił przytomność.

Armand zawisł, trzymając się osi, żeby nie padło na niego światło latarek żołnierzy, którzy szukali innych zbiegów. Czas mijał. Armand czuł, że dłużej nie utrzyma się na rękach. Ale nie mógł zrezygnować, kiedy był już tak bliski celu. Mówiłem ci już, że nigdy się nie poddawaliśmy. Nagle pociąg drgnął. Armand czekał, aż nieco przyspieszy, i zsunął się na torowisko. Jako ostatni z nas spoglądał na niknącą w dali czerwoną lampę.

Upłynęło może pół godziny od zniknięcia pociągu. Zgodnie z planem ruszyłem wzdłuż torowiska na spotkanie przyjaciół. Czy Claude przeżył? Czy jesteśmy na terytorium Niemiec?

Przede mną majaczył niewielki most strzeżony przez niemieckich wartowników. To tu miał skakać mój brat, ale na szczęście Charles go powstrzymał. Żołnierz nucił *Liii Marlenę*. To swoista odpowiedź na jedno z nurtujących mnie pytań. To drugie dotyczyło mojego brata. A jedynym sposobem pokonania przeszkody wydawało się przejście po balach wspierających most. Zawieszony w próżni, pokonywałem drogę w tę księżycową, widną noc i przez cały czas obawiałem się, że zostanę schwytyany.

*

Szedłem tak długo, że nie mogłem już liczyć ani kroków, ani podkładów na torach, od których się nie oddalałem. I wciąż wokół panowała głucha cisza, nigdzie nie widać było ludzi. Czyżbym tylko ja przeżył? Czy wszyscy inni zginęli? „Wasze szanse wynoszą jeden do pięciu”, powiedział dawny pracownik kolei. A mój brat? Do diabła, tylko nie to! Zabijcie mnie tu jak psa, on musi żyć. Nic mu się nie stało, zabiorę go do domu, przecież obiecałem mamie w najgorszym z koszmarów mojego życia. Myślałem, że nie mam już łez, że nigdy więcej nie będę miał powodu, żeby płakać, a tymczasem, klęcząc na torowisku, sam na tym odludziu, płakałem jak dziecko. Po cóż mi odzyskana wolność, skoro nie mam już młodszego brata? Tory nikną w dali, ale nigdzie nie widać Claude'a.

Szelest w zaroślach sprawił, że odwróciłem głowę.

— Może przestaniesz wreszcie zawodzić jak baba i przyjdiesz mi pomóc? Te kolce sprawiają piekielny ból!

Claude zwiślał głową w dół, uwięziony w kolczastych krzakach. Jakim cudem tak paskudnie się wpakował?

— Najpierw mnie stąd wyciągnij, potem będziesz mógł zadawać głupie pytania! — zrzędził.

Kiedy dosłownie wydłubywałem go spomiędzy gałęzi, w których utknął, zobaczyłem Charles'a idącego w naszą stronę chwiejnym krokiem.

Pociąg zniknął na zawsze. Charles troszkę sobie popłakał, ściskając nas w ramionach. Claude usiłował wyciągnąć jak najwięcej kolców z ud. Samuel trzymał się za tył głowy, zasłaniając paskudną ranę, jakiej doznał przy upadku na torowisko. Wciąż nie wiedzieliśmy, czy znajdujemy się nadal we Francji, czy może już na terytorium Niemiec.

Charles zwrócił nam uwagę, że jesteśmy na otwartym terenie i trzeba się stąd jak najszybciej wynosić. Dotarliśmy do zagajnika, niosąc Samuela, który bardzo osłabł, i czekaliśmy pod osłoną drzew aż nastanie dzień.

26 sierpnia

Zaczynało świtać. W nocy Samuel stracił dużo krwi.

Kiedy tamci jeszcze spali, usłyszałem jego jęki. Zawołał mnie, więc podszedłem i pochyliłem się nad nim. Był trupio blady.

— Co za draństwo, i to tak blisko celu! — szepnął.

— O czym ty mówisz?

— Nie udawaj idioty, Jeannot, nie wylizę się z tego, już teraz nie czuję nóg i jest mi potwornie zimno.

Usta miał sine i drżał, więc otuliłem go ramionami, żeby się rozgrzał.

— A jednak to była niesamowita ucieczka, prawda?

— Tak, Samuelu, rzeczywiście niesamowita ucieczka.

— Czujesz, jak pachnie powietrze?

— Oszczędzaj siły, stary.

— A niby po co? To przecież kwestia paru godzin. Jeannot, któregoś dnia będziesz musiał opowiedzieć naszą historię. Nie może zginąć tak jak ja.

— Nie gadaj tyle, Samuelu, pleciesz głupstwa, a ja i tak nie umiem opowiadać.

— Posłuchaj, Jeannot, jeżeli nie uda się tobie, zrobią to twoje dzieci. Będziesz musiał je o to poprosić. Obiecuj mi.

— Jakie dzieci?

— Zobaczysz — majaczył w gorączce. — Kiedyś będziesz miał dzieci, jedno, dwoje albo więcej, nie zdążyłem ich dokładnie policzyć. Poprosisz je w moim imieniu. Powiesz, że dla mnie to bardzo ważne. To trochę tak, jakby dotrzymały obietnicy, złożonej przez ich ojca w przeszłości, która już nie istnieje i nie będzie istnieć. Przekonasz się, że ta wojenna przeszłość przestanie istnieć. Powiesz im, żeby opowiedziały naszą historię w wolnym świecie. O tym, że walczyliśmy dla nich. Uświadomisz im, że na tym świecie nie ma nic równie cennego i ważnego, jak ta cholerna wolność, która potrafi się podporządkować temu, kto da więcej. I powiesz, że ta dziwka ceni sobie miłość między ludźmi i że zawsze ucieka tym, którzy chcą ją zniewolić, że zawsze daje zwycięstwo temu, kto ją szanuje i nie ma pewności, że zdoła ją zatrzymać w swoim łóżku. Jeannot, poproś, żeby opowiedziały to wszystko w moim imieniu, ale własnymi słowami, językiem nowej epoki. W moim zbyt wyraźnie słychać akcent ojczyzny i pulsowanie krwi, która zalała mi usta i splamiła dłonie.

— Samuelu, przestań, naprawdę męczysz się na darmo.

— Jeannot, daj mi słowo, że kiedyś kogoś pokochasz. Tak bardzo chciałbym móc pokochać. Obiecuj mi, że weźmiesz dziecko na ręce i że w pierwszym spojrzeniu na tym świecie, w pierwszym, jakim je obdarzysz, w spojrzeniu ojca, dasz mu cząstkę mojej wolności. Jeśli to zrobisz, coś ze mnie pozostanie na tej cholernej ziemi.

Obiecałem, a Samuel umarł o wschodzie słońca. Głęboko wciągnął powietrze, krew buchnęła mu z ust, a potem zobaczyłem, jak zaciska szczęki, zmagając się z gwałtownym bólem.

Rana na jego karku stała się szkarłatna. Już nie zmieniła barwy. Myślę, że pod ziemią, w której go pochowaliśmy, na polach Haute-Marne, odrobina czerwieni opiera się działaniu czasu i absurdalnym pomysłom ludzi.

*

Około południa zobaczyliśmy w dali chłopca idącego przez pole. W naszym stanie, głodni i poranieni, nie przetrwalibyśmy długo bez pomocy. Po krótkiej rozmowie ustaliliśmy, że podejść do tego człowieka. Jeśli to Niemiec, podniosę ręce do góry, a moi przyjaciele zostaną w ukryciu, w zagajniku.

Zbliżając się do niego, nie wiedziałem właściwie, który z nas był bardziej przerażony widokiem tego drugiego. W podartych łachmanach wyglądałem jak zjawa i nie wiedziałem jeszcze, w jakim języku mi odpowie.

— Uciekłem z pociągu wiozącego deportowanych, potrzebuję pomocy — zawołałem, wyciągając rękę.

— Jest pan sam? — zapytał po francusku.

— Więc jest pan Francuzem? — ucieszyłem się.

— Do diaska, oczywiście, że Francuzem. Co za pytanie! Chodźmy, zabieram pana na fermę — powiedział zbulwersowany mężczyzna. — Pewnie nawet pan nie wie, jak wygląda!

Skinąłem ręką na kolegów, którzy natychmiast do nas podbiegli.

*

Był dwudziesty szósty sierpnia czterdziestego czwartego roku. Byliśmy ocaleni.

39

Marc odzyskał przytomność po trzech dniach od naszej ucieczki, gdy pociąg pod komendą Schustera dojechał do obozu w Dachau — stacji końcowej, do której dotarł dwudziestego ósmego sierpnia czterdziestego czwartego roku.

Z siedmiuset więźniów, którzy zdołali przetrwać tę makabryczną podróż, ledwie garstka uniknęła śmierci.

Gdy wojska alianckie przejmowały kontrolę nad krajem, ja i Claude przywłaszczylimy sobie porzucony przez Niemców samochód. Ruszyliśmy w kierunku Montelimar wzdłuż torowiska, żeby odnaleźć zwłoki Jacques'a i Francois i oddać je rodzinom.

Dziesięć miesięcy później, wiosennym rankiem czterdziestego piątego roku, zza krat obozu w Ravensbriick, Osna, Damiara, Marianne i Sophie patrzyły na nadciągające oddziały ame-

rykańskie niosące im wyzwolenie. Nieco wcześniej, w Dachau, wolności doczekał się także Marc.

Claude i ja już nigdy nie zobaczyliśmy rodziców.

*

Wyskoczyliśmy z pociągu widma dwudziestego piątego sierpnia czterdziestego czwartego roku, w dniu wyzwolenia Paryża.

Przez wiele kolejnych dni nasz gospodarz i jego rodzina otaczali nas troskliwą opieką. Zapamiętałem wieczór, kiedy na kolację przygotowali omlety. Charles patrzył na nas w milczeniu. Wszyscy mieliśmy wtedy przed oczyma twarze kolegów siedzących przy stole na dworcu w Loubers.

*

Któregoś ranka obudził mnie mój brat.

— Chodź — powiedział, wyciągając mnie z łóżka.

Wyszedłem za nim za stodołę, gdzie wciąż jeszcze spali Charles i reszta.

Szliśmy ramię przy ramieniu, nie odzywając się do siebie, aż znaleźliśmy się na środku rozległego ścierniska.

— Popatrz — powiedział Claude, wyciągając rękę.

Kolumny czołgów amerykańskich i francuskich z dywizji Leclerca sunęły na wschód. Francja odzyskała wolność.

Jacques miał rację, wiosna wróciła... a ja poczułem, jak ręka młodszego brata zaciska się na mojej dłoni.

Na tym ściernisku mój brat i ja na zawsze mieliśmy pozostać dwójką dzieci wolności, zagubionych pośród sześćdziesięciu milionów zmarłych.

Epilog

We wrześniowy ranek roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego, na krótko przed moimi osiemnastymi urodzinami, mama weszła do pokoju. Słońce ledwie wzeszło, a ona oznajmiła mi, że nie pójdę dziś do szkoły.

Usiadłem na łóżku. W tym roku przygotowywałem się do matury, więc zdziwiłem się, że rodzona matka namawia mnie do wagarów. Wyjeżdżała razem z tatą na cały dzień i chciała, żebyśmy oboje z siostrą towarzyszyli im w podróży. Zapytałem, dokąd jedziemy, a mama spojrzała na mnie z uśmiechem, który nigdy nie znikał jej z twarzy.

— Jeżeli poprosisz, to może po drodze usłyszysz od ojca historię, której nigdy dotąd nie chciał wam opowiedzieć.

Do Tuluzy przyjechaliśmy około południa. Na dworcu czekał samochód, który zabrał nas na miejski stadion.

Kiedy zajmowaliśmy z siostrą miejsca na niemal pustej widowni, ojciec i jego brat w towarzystwie grupki kobiet

i mężczyźni schodzili po schodach, kierując się ku estradzie, którą wzniesiono na środku boiska. Ustawili się w szeregu. Podszedł do nich minister, który wygłosił przemówienie.

„W listopadzie 1942 roku imigracyjne siły robocze południowego zachodu utworzyły zbrojny ruch oporu, formując 35. brygadę FTP-MOI.

Żydzi, robotnicy, chłopci, w większości imigranci z Węgier, Czech, Polski, Rumunii, Włoch, Jugosławii — kilkuset ludzi przyczyniło się do wyzwolenia Tuluzy, Montauban, Agen. Stacjali walki, wypierając wroga z terenów Haute-Garonne, Tarn, Tarn-et-Garonne, Ariège, Gers, Pirenejów.

Wielu z nich deportowano, liczni zginęli, jak ich wielki wódz, Marcel Langer...

Ścigani, żyjący w biedzie, wyszli z zapomnienia, by stać się symbolem prawdziwego braterstwa, które wzniosło się ponad różnice i podziały, a także symbolem poświęcenia kobiet, dzieci i mężczyzn, którzy uczynili wszystko, aby nasz wydany w nazistowską niewolę kraj z wolna wyrwał się z odrętwienia i odradzał do nowego życia...

Ta potępiana przez obowiązujące wówczas prawo walka była chlubna. Był to czas, gdy człowiek przekraczał granicę własnych możliwości, lekceważąc rany, tortury, deportację, a nawet śmierć.

Naszym obowiązkiem jest uczyć nasze dzieci, jak wielkim wartościom pozostał wierny ten ruch, jak bardzo zasługuje na pamięć i wpisanie na karty historii Republiki Francuskiej, choćby z racji ciężkich ofiar poniesionych w imię wolności".

Minister przypinał medale do ich marynarek. Kiedy nadeszła kolej mężczyzny, który odróżnił się od innych rudą czupryną,

na estradę wszedł mężczyzna ubrany w granatowy mundur Royal Air Force i białą czapkę. Podeszedł do tego, który niegdyś nosił imię Jeannot, i zaszalutował mu po żołniersku. Wtedy znowu spotkały się oczy dawnego pilota i deportowanego.

*

Tuż po zejściu z estrady ojciec odpiął medal i schował go do kieszeni marynarki. Podeszedł do mnie, objął i szepnął: „Chodź, muszę cię przedstawić kolegom. Potem wracamy do domu”.

*

Wieczorem w pociągu, który wiozł nas do Paryża, zauważyłem, że pogrążony w milczeniu ojciec wpatruje się w przesuwały się za oknem krajobraz. Dłonią gładził dzielący nas stolik. Położyłem na niej rękę, a to znaczyło bardzo dużo, bo nieczęsto się dotykaliśmy. Nie odwrócił głowy, ale zobaczyłem jego odbicie w szybie — uśmiechnął się. Zapytałem, dlaczego nigdy wcześniej nie opowiedział mi o tym wszystkim, dlaczego tak długo z tym zwlekał.

Wzruszył ramionami.

— Cóż miałem ci powiedzieć?

Pomyślałem, że chciałbym wiedzieć, że kiedyś był Jeannotem, że chciałbym nosić jego historię pod szkolnym mundurkiem.

— Wielu moich kolegów padło na tym szlaku, my też zabijaliśmy. Chciałbym tylko, żebyś zapamiętał, że jestem twoim ojcem.

Dopiero później zrozumiałem, że chciał stworzyć mi dzieciństwo odmienne od tego, jakie jemu zgotował los.

Mama nie spuszczała go z oka. Pocałowała go w usta. Z ich oczu oboje z siostrą wyczytaliśmy, że kochają się od pierwszego dnia, kiedy się poznali.

Pamięć podsuwa mi ostatnie słowa Samuela.

Jeannot dotrzymał obietnicy.

To już wszystko, kochanie. Mężczyzna oparty o ladę kawiarni des Tourneurs, ten elegancki i uśmiechnięty, to mój ojciec.

We francuskiej ziemi spoczywają jego przyjaciele.

Zawsze, gdy słyszę kogoś, kto w wolnym świecie wygłasza własne poglądy, myślę o nich.

I wtedy przypomina mi się, że słowo „Obcy” jest jedną z najpiękniejszych obietnic na świecie, obietnicą barwną jak tęcze, piękną jak wolność.